

JULIANA GARNETT

Baron

BRAYETON, YORKSHIRE
Grudzień 1210 r.

Gnana porywem wiatru chmura spowiła najwyższą wieżyczkę Brayeton Keep; szary cień spełzył po zboczu wzgórza. Nagie gałęzie dębu zaklekotały niczym zęby starca, przerywając ciszę żałosnym dźwiękiem.

- Ty także umrzesz, tatusiu?

Dotarł do niego nieśmiały, pełen smutku szept; w lodowatym powietrzu uniósł się obłoczek pary. Aimee spoglądała na ojca, a jej dziecinne usteczka lekko drżały.

Robert Devaux, trzeci baron Brayeton, nie zważając na swój dostojny tytuł, przykłęknął na jedno kolano. Ziemia na grobie była świeża i wilgotna, pokryta cieniutką warstewką szronu. Zabłąkane płatki śniegu przyprószyły ciemne włosy barona.

Gestem pocieszenia położył dłonie na ramionach dziewczynki i zacisnął palce na opończy z czerwonej wełny. Oczy, równie zielone jak jego, spoglądały na niego błagalnie.

Uśmiechnął się zeszywniałymi z zimna wargami.

- Nie, skarbie.

- Ale mama umarła. A teraz Tricket. - Zadrżała. - Obiecuj mi, że nie umrzesz, tatusiu!

Niezręcznie i z zakłopotaniem otarł kciukiem srebrzysty ślad po łzie, która spłynęła po policzku córki. Co ma jej odpowie-

dzieć? Jak wytłumaczyć dziecku zasmuconemu po śmierci ulubionego pieska, że nie może obiecać nieśmiertelności?

Bezradnie przeniósł wzrok poza nią, na wysokie kamienne mury Brayeton Keep, zimne i posępne na tle zimowego nieba, pełniące wartę na horyzoncie. Strzegły ziemi należącej do rodziny Devaux od czasów Wilhelma Zdobywcy. Baron był tylko przedłużeniem potęgi, którą oznaczał jego tytuł, ostatnim z rodu, potomkiem normańskiego dowódcy, który posługując się mieczem, osiągnął chwałę i zdobył ziemię.

- Spójrz, Aimee. - Obrócił ją łagodnie i wskazał na targaną wiatrem chorągiew na szczycie wieżyczki. - Pamiętasz, co to jest?

Skinęła głową, kaptur zsunął się do tyłu, odsłaniając lok złotych włosów.

- Tak. To jest proporzec Devaux.

Nie wstając z klęczek, przyciągnął ją do siebie i otoczył ramionami, chroniąc od zimna.

- Powiewa nad naszymi ziemiami od czasów mego pradziadka. On jest twórcą herbu Devaux, przedstawiającego kruka na złotym polu...

- *Sabie* i *or* - przerwała mu Aimee dziecięcym głosem, wypowiadając słowa w normańskiej francuszczyźnie. - Tak powiedziała madame Marie.

- Jesteś bardzo pilną uczennicą.

- To zrozumiałe, mam już prawie sześć lat. - Smutek ustąpił miejsca dumie.

Przytulił ją do piersi.

- Jesteś już dużą dziewczynką, Aimee. Czy pamiętasz, co jeszcze mówiła madame Marie na temat proporca?

Uniosła głowę.

- Gdy powiewa, kruk jest w domu. - Obróciła się ku ojcu i spojrzała na niego, marszcząc czoło. - Mam nadzieję, że tym razem zostaniesz dłużej, tatusiu.

- Ja także mam taką nadzieję, skarbie.

Nagle opanowało go poczucie winy. Przeklął w myślach swego seniora oraz króla za to, że domagali się jego czasu i pieniędzy. Żądali zbyt wiele. Welburn rujnował go ciągłymi wymaganiami, a król Jan nie był wcale lepszy. Do cna ograbią Brayeton, jeżeli on nie położy temu kresu.

Aimee dostała czkawki; uśmiechnął się do niej i palcem uniósł jej podbródek.

- Madame Marie miała cię nauczyć historii rodziny. Potrafisz wymienić imiona baronów, którzy byli posiadaczami Brayeton Keep?

- Oczywiście. To bardzo łatwe. - W zaróżowionym od wiatru policzku pojawił się dołeczek. - Wszyscy nosili takie samo imię jak ty - Robert Devaux. Ty jesteś trzecim baronem, a kiedy byłeś małym chłopcem, twój kuzyn nazwał cię Tre zamiast *treie*. Niektórzy ludzie nadal nazywają cię Tre. A ja nazywam cię tatusiem.

- Bo tak powinnaś. Chcę, żebyś zapamiętała: jak długo będzie tu stał Brayeton Keep, tak długo przetrwa ród Devaux. A jak długo przetrwa ród Devaux, żaden z jego członków nie umrze.

Przez chwilę zastanawiała się w milczeniu nad jego zapewnieniem, wreszcie powiedziała, marszcząc brwi:

- Madame Marie mówi, że ponieważ król jest eks- eks-komunikowany, a wszyscy księża wyrzuceni z Anglii, wszyscy umrzemy nieoczyszczeni z grzechów.

Stłumił śmiech.

- Księża nie zostali wyrzuceni z Anglii, tylko zabroniono im wypełniania ich powinności.

- Madame Marie powiedziała, że pewnego dnia wszystkich nas pożrą robaki.

- Pozwólmy raczej, by pożarły madame Marie.

Aimee zachichotała. Wstał z klęczek i wziął córkę za rękę, aby poprowadzić ją z powrotem na wzgórze. Wyrwała mu się, podeszła do grobu i poprawiła gałązkę ostrokrzewu. Przez

chwilę stała nieruchomo, opuszczona mała figurka, sprawiająca wrażenie starszej, niż była w rzeczywistości. Gwałtowny powiew wiatru zatrzepotał połami jej opończy i zaklekotał gałęziami wysokiego dębu. Wzgórze, tak czarowne wiosną, teraz było nagie, niegościnne, bez śladu piękna. Doskonałe miejsce na grób, strzeżony przez cień Brayeton Keep, wznoszący się ponad doliną, która w maju znowu powróci do życia, równie nieśmiertelna jak Anglia.

Aimee odwróciła się, podeszła do ojca i wsunęła rączkę w jego dłoń. Podnosząc ku niemu wzrok, mocno zacisnęła palce na jego palcach.

- Tricket też był Devaux.
- Tak.
- Będę za nim tęskniła.

Wypowiedziała to z pełnym rezygnacji smutkiem, ale już bez poprzedniej rozpacz, i Tre skinął głową. Śmierć była częścią życia; to fakt, który pojął równie młodo jak ona.

Własną matkę ledwie pamiętał. Miał brata i siostry, ale nikt z rodzeństwa nie przeżył. Po licznej kiedyś rodzinie pozostał tylko on i jego ojciec, dwaj obcy sobie ludzie, którym przyswiecał wspólny cel: przetrwanie Brayeton. Teraz pozostał sam z dziedzictwem, które pozostawi potomkom.

Matka Aimee umarła na skutek gorączki popołogowej, jeszcze jedna strata, której żałował, lecz z powodu której nie rozpaczał. To zaaranżowane małżeństwo miało połączyć posiadłości, a nie serca.

Ich związek nie był szczęśliwy. Panna młoda uważała, że mąż jest zbyt szorstki i nie potrafi wygłaszać pięknych frazesów oraz nie rozumie kobiecych potrzeb. I tak było rzeczywiście, sam o tym wiedział. Nie miał czasu na umizgi, był na to zbyt niecierpliw. Zaplanowane z góry małżeństwo odpowiadało mu; wszystko zostało postanowione, gdy był jeszcze małym chłopcem. Nie poznał miłości ani za nią nie tęsknił.

Dopóki nie pojawiła się Aimee.

Wrzeszczące niemowlę na początku wydawało mu się odpychające, ale później zachwycała go słodka dziewczuszka o jasnym lokach i radosnym śmiechu. Była jego całkowitym przeciwieństwem: jasnowłosa, podczas gdy on był ciemny, radosna, chociaż on miał ponure usposobienie.

Wesoła drobinka, która wniosła w jego życie cud uśmiechu i odmieniła go na zawsze.

Być może pociągała go świeżość tego stworzenia, nieepsutego przez życie, nieświadomego mrocznych zakamarków ludzkich dusz. Cokolwiek to było, zawładnęła jego sercem. Jej bezpieczeństwo liczyło się ponad wszystko.

Wieczorna mgła snuła się przejrzystymi strumieniami wokół drzew i zarośli, szeptała ponad mostem zwodzonym przez rzuconym przez zamarznąłą fosę. Wracając do warowni, Aimee przeskakiwała z deski na deskę, zapomniawszy o niedawnym smutku.

Sir Guy powitał ich przy kominku, na którym płonął ogień rozświetlający ogromny hol; z uśmiechem spojrzął na Aimee i wskazał na stojącą obok kobietę.

- Madame Marie oczekuje cię, dziecinko.
- Wolę zostać tutaj.

Tre oparł dłoń na jej główce i wzburzył jasne loki.

- Obowiązki wzywają, Aimee. Ten, kto nie nauczy się posłuszeństwa, nie zasłuży sobie na przywileje.

Westchnęła cicho, słysząc jego łagodne napomnienie, i z rezygnacją skinęła głową.

- Zobaczę cię jutro, zanim stąd wyjadę, tatusiu?

- Z całą pewnością, skarbie. Nie wyjeżdżasz na długo. W Yorku jest o wiele ciekawiej niż w Brayeton i będziesz tam pod dobrą opieką do chwili, gdy cię stamtąd zabiorę.

- Tatusiu, dziadek i babcia ucieszyliby się, gdybyś tam ze mną został.

Miał co do tego wątpliwości; rodzice jego zmarłej żony obwiniali go o śmierć córki. Nie powiedział tego jednak, tylko

życzył córce słodkich snów, zanim odeszła w towarzystwie madame Marie.

Kiedy zniknęła, zwrócił się do Guya. Poznał po jego twarzy, że ma złe wieści.

- Jakie nowiny?

- Następna wioska zniszczona, zapasy spalone, a chłopcy wycięci w pień. - Guy podał mu puchar wina. - Widziano, jak ludzie Welburna odjeżdżali stamtąd, ale nie możemy tego udowodnić. Wieśniak zaklina się, że jutro powrócą.

- *Merde!* - Jego miecz zadzwęczał złowrogo. - Zdradziecki lord doprasza się srogiego odwetu. Jeśli powróci zbrojnie, by siać spustoszenie, gorzko tego pożałuje.

Przeniósł wzrok na palenisko, gdzie tańczyły płomienie. Dwa lata. Długi czas, by wciąż żywić urazę za pomyłkę. Pell Ewing, lord Welbura, którego był wasalem, poprzysiągł mu zemstę za śmierć swego ulubionego konia. Odrzucał wszelkie próby ugody; zwykły wypadek spowodował wojnę na śmierć i życie.

Najwyższy czas, by ją zakończyć; poddani barona cierpieli z powodu jego niesnasek z Ewingiem. Poniesiono zbyt wiele strat, stracono zbyt wiele czasu na obronę posiadłości Brayeton i próżne apelacje u króla, który troszczył się wyłącznie o własną kłótnię z papieżem, a nie dbał o wspomagających go baronów. Nadeszła pora, by samodzielnie wymierzyć sprawiedliwość.

- *Ad noctum* - w ciemność. - Sir Guy wskazał herb Devaux, wiszący na ścianie, i wypisane na drewnie motto. - Doskonale pasuje.

Devaux popatrzył z uśmiechem na sir Guya.

- To motto mego pradziada.

Guy chrząknął ze zrozumieniem.

- Ach, pierwszego barona. Był podobny do ciebie. Ciemny jak noc i równie ponury.

- Nie jestem ponury. Po prostu nie mam czasu na umizganie się do głupawych panien, na prawienie im pięknych słówek i popijanie z nimi wina.

- Dobrze by ci to zrobiło. - Guy przeczesał palcami swoje jasne włosy, tak że nastroszyły się jak grzebień koguta. Ziewnął i zmrużył oczy, spoglądając w płomienie. - Pomimo ostrzeżenia, jakie mu wysłałeś, Welburn jest wciąż na tyle szalony, że pładruje wioski na terenie Brayeton. Sądziś, że istotnie będzie dość zuchwały, by zaatakować jutro, czy też są to fałszywe pogłoski?

- Wkrótce się dowiemy.

Rozproszone światło wschodzącego słońca przenikało poprzez gałęzie drzew na brzegach rzeki Ouse. Resztki śniegu zdobiły koronkowym wzorem kępy brunatnej trawy; krew zabarwiła białe zasy na różowo.

Bitwa okazała się brutalniej sza, niż przewidywał. Dwaj najwaleczniejsi spośród jego ludzi polegli na polu, gdzie pozostali, zamienieni w bezkształtne zwłoki. Zabici przeciwnicy także zaścielali pole bitwy, ale lorda wśród nich nie było. Guy ścigał uciekinierów.

Ku niebu wznosił się czarny dym; powietrze przesiąknięte było odorem zwęglonych ciał. Z zabudowania pozostał tylko szkielet. Uwięziono w nim chłopów i podłożono ogień, nie bacząc na ich wrzaski. Za późno było, by ich ratować, lecz nie za późno, by wymierzyć sprawiedliwość ludziom odpowiedzialnym za takie okropieństwa - z wyjątkiem jednego z nich.

Welburn: Anglosas z urodzenia, którym kierowała stara nienawiść pomiędzy plemionami. W gruncie rzeczy nie chodziło mu o stratę konia, lecz o obecność Normanów na ziemi, która uprzednio należała do Anglosasów. W sto czterdzieści cztery lata po najeździe Wilhelma Zdobywcy na Anglię, nadal żywił nienawiść do normańskich władców. Daremną nienawiść.

Smagany wilgotnymi podmuchami wiatru, Tre spoglądał na poległych ludzi Wełburna. Powinien był odczuwać radość ze zwycięstwa, ale nie czuł jej. Nie było dowodów na to, że

wojownicy przybyli na rozkaz lorda. Nie pozostał nikt przy życiu, kogo by można wypytać. A na to, by wykazać podłość Welburna, potrzeba czegoś więcej niż zabici chłopi i żołnierze.

Bieg jego myśli przerwało dudnienie kopyt końskich. Obejrzał się. Nadjeżdżał Guy, prowadząc dwóch pieszych. Mieli odsłonięte głowy i spływali krwią, zataczali się, upadali, lecz Guy podrywał ich na nogi, pociągając za linę otaczającą ich w pasie.

Devaux zsiadł z konia i wbił miecz w rozjeżdżoną kopytami ziemię, rozstawił szeroko nogi i stanąwszy na skraju małej polanki, czekał. Oto, ze strachem w oczach, przybliżyły się dowody, których potrzebował...

Spieniony koń Guya parsknął, a jego chrapy zadrgały i podezły krwią, kiedy jego pan szarpnął za wodze i zatrzymał go naprzeciw barona.

- Twierdzą, że to, co wiedzą, jest warte darowania im życia, lordzie. - Spod hełmu błysnęły piwne oczy Guya. Z zadowoleniem wydał wargi. Jego ogromny rumak tańczył niespokojnie, naciągając linę i pozbawiając więźniów równowagi. Wydawali pełne bólu okrzyki i błagania o litość, które zdradzały ich tchórzliwą naturę.

Najemnicy flamandzcy - pozbawieni skrupułów rzeźnicy. Tre zmierzył jeńców chłodnych wzrokiem. Zaciśnął palce na rękojeści miecza; na ostrzu wciąż lśniła krew.

- Wstańcie i mówcie. Chcę usłyszeć, ile Welburn płaci za rzeź niewinnych ludzi.

Dźwignęli się niezgrabnie; usta im drżały, oczy wypełniał strach. Płatni zabójcy, plaga Anglii.

- Lordzie Brayeton... - rozległ się ochrypły, rozdygotany głos i zaraz zamilkł.

Tre gwałtownie poderwał miecz rozbryzgując wokół błoto. Jego oczy spoglądały bezlitośnie, wargi były napięte.

- Jeżeli wiesz coś użytecznego, mów, bo inaczej utnę ci język!

- Zaczekaj! - Promień słońca zabłysnął na uniesionym ostrzu. - Lord tylko się domaga należnych mu opłat... - wybełkotał pośpiesznie przerażony najemnik.

- To ja ściagam żądane daniny. Nie ma powodu, by robił to osobiście. Zapłaci za samowolę, podobnie jak ty...

Opuścił miecz i przycisnął jego koniec do gardła Flamandczyka. Jeniec pobladł.

- Lordzie, chcesz się mścić na niewinnym, podczas gdy zbrodniarze właśnie teraz niszczą twój skarb.

- Mój skarb? - W jego słowach zabrzmiało rozbawienie. Cofnął miecz. - Myślę, że nawet lord Welburn nie jest aż tak szalony, by oblegać Brayeton Keep.

- Nie. Ale anglosascy bandyci właśnie zasadzili się na orszak zmierzający do Yorku, bo powiadają, że jest w nim skarb.

Przez chwilę nie pojmował. Nawet gdy Guy zaklął szpetnie, Tre nie śmiał dopuścić do siebie tej myśli. Dopiero gdy dosiadł swego rumaka i skierował go na błotnisty trakt do Yorku, dotarło do niego nieuniknione.

Aimee... jego najdroższy skarb.

CZĘŚC II

ZAMEK WINDSORSKI

10 lutego 1213 r.

1

Ciemne oczy nieruchomo wpatrywały się w Tre; płomienie pochodni i świec zdrząły, gdy król przywołał go skinieniem ręki. Komnata była prawie pusta, znajdowali się w niej tylko pisarz i lokaj króla.

Tre zbliżył się do podium, na którym król siedział na tronie, rozwalony bynajmniej nie po królewsku; nie pochylił głowy ani nie ugiął kolana, lecz stanął milczący i nieruchomy, podczas gdy król mówił coś do służącego. Ściana komnaty za podium pokryta była grubymi ozdobnymi gobelinami w barwach złota i czerwieni.

Było zimno, Tre miał ubłocone buty, ale nie zdążył doprowadzić się do porządku, kiedy wezwano go przed oblicze króla Jana. W istocie przysłano po niego strażnika, który natychmiast eskortował go do Windsoru, co było złym znakiem i co rozgniewało go do tego stopnia, że zaciskał szczęki.

Król Jan i Pell Ewing - ludzie tego samego pokroju. Chciwi, bezlitośni wojownicy. Liczyły się dla nich wyłącznie ich własne cele. Nie dbali nawet o życie małego dziecka, za którego śmierć Tre obwiniał w równej mierze króla, lorda i anglosaskich zbrodniarzy.

Od śmierci Aimee minęły już ponad dwa lata. Nie tak wiele, a jednak cała wieczność...

- Lord Devaux, baron Brayeton.

Cierpki ton pisarza przywołał go do terażniejszości. Tre podniósł wzrok i napotkał nieruchome oczy króla. Jan lekko zmrużył powieki i wykrzywił usta, widząc, że poddany nie ugiął kolana i nie pochylił głowy.

- Brayeton, stawienie się na nasze wezwanie zajęło ci sporo czasu.

Ton i wyraz twarzy króla były zgryźliwe; monarcha omdlewającym gestem uniósł jedną dłoń i wsparł na rzeźbionym oparciu tronu. Tre milczał. Czuł ucisk w żołądku.

Jan uśmiechnął się kpiąco. Przygryzł paznokcie i na palcach zabłyśły mu pierścienie.

- Lord Welburn został pozbawiony swej ziemi i tytułu - powiedział nagle.

Tre poczuł dziki triumf, ale nie okazał tego wyrazem twarzy ani tonem głosu.

- W istocie, sir.

- A tak, w istocie, lordzie Brayeton! - Król pochylił się do przodu w swoim rzeźbionym tronie. - I cóż ty na to?

- To wielkie nieszczęście, sir.

- Nieszczęście? - Jan roześmiał się szczekliwie, ale bez wesołości. - Nieszczęście dla Ewinga czy dla ciebie?

- Nie jestem związany z Pellem Ewingiem, sir.

- W istocie, nie jesteś. Lecz ostatnio doszło do naszych uszu, że wycofałeś się ze służby dla mnie. Płacisz wprawdzie tarczowe i należną opłatę rycerską, lecz nie odpowiadasz na nasze wezwania do Nottingham. Wytłumacz się nam z powodów twego postępowania.

- Moje posiadłości wymagają więcej czasu, sir. - Półprawda to zbawienie. - Właśnie wróciłem z waszej kampanii przeciwko Walińczykom - przypomniał królowi.

Król machnął ręką, dając mu do zrozumienia, że to nieistotne.

- Potrzebujemy więcej zapewnień o twojej lojalności. Nie masz rodziny ani żadnych zakładników, których mógłbyś nam

ofiarować, jedynie przysięgę hołdu lennego, której jeszcze nie złożyłeś.

Tre trzymał język za zębami; nawet gdyby to miało uwolnić go od nagany, nie złoży przysięgi, której nie potrafi dotrzymać. Jeżeli ją złamię, dopuści się zdrady. Krzywoprzysięstwo groziło większym niebezpieczeństwem niż odmowa złożenia przysięgi.

Służący zbliżył się do króla, wymamrotał coś do jego ucha i odstąpił w tył. Tre poczuł mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Świeża rana w boku pulsowała boleśnie, pamiątka po walijskim mieczu.

Jan zwrócił się ku niemu, usta wykrzywił mu złośliwy uśmiech.

- Przejęliśmy dobra Welburna na rzecz korony. Ewing jest twoim seniorem, zdrajcą. Uszedł z życiem tylko dlatego, że uciekł do Irlandii. Wskazał cię jako spiskowca. Lordzie Bra-
yeton, wskaż nam przyczynę, dla której mielibyśmy pozostawić cię na wolności.

Tre pohamował ogarniający go gwałtowny gniew.

- Jego królewska mość wie o mojej długotrwałej wojnie z lordem Welburnem. Czy zostanę oskarżony o zdradę wyłącznie na podstawie jego słowa?

- Potrafisz dowieść swej niewinności?

- Nie usłyszałem żadnych oskarżeń, sir. Jeżeli mam zostać oskarżony, żądam przestrzegania przysługujących mi praw barona w rozprawie przed Radą Baronów.

Jan spojrzał na niego zapuchniętymi oczami; jego usta wykrzywił kpiący uśmieszek.

- Sąd zasiada w zamku Nottingham. Ponieważ spotkaliśmy się we wrześniu, zostaniesz pod moim nadzorem do czasu następnego Zgromadzenia Rady.

Rozległ się szcęk broni straży, potwierdzający słowa króla. Tre skamieniał. Niewielu więźniów uszło z życiem z lochów Windsoru.

Odezwał się chłodnym tonem:

- Baronowie Brayeton służą królom Anglii od czasów Wilhelma Zdobywcy, sir. Jeżeli wasza królewska mość wtrąci mnie do więzienia bez sądu, zasłuży sobie na wrogość dotychczasowych sprzymierzeńców. Czy warto zabiegać o nowych wrogów, gdy jest się ze wszystkich stron otoczonym starymi?

Król Jan zmarszczył czoło, spojrzął na lokaja i przez chwilę gryzł paznokieć. Następnie opadł na oparcie tronu, przyciskając wąskie ramiona do złożonego drewna.

- Tracisz swe dobra do czasu, gdy oskarżenie zostanie przedstawione Radzie Baronów. Jeżeli nie kwapisz się do więzienia, możesz się nam okazać przydatny, lordzie Brayeton. Potrzebujemy szeryfa Nottingham.

Zaskoczenie i poczucie zniewagi sprawiły, że Tre przez chwilę milczał. Chytry Jan - nie zdoławszy przymusić go do złożenia jednej przysięgi, zapewnił sobie inną. Nominacja na stanowisko szeryfa zmusi Tre do narzucania praw, których nienawidził. Odmawiając, skaże się na więzienie. Westchnął głęboko.

- Sądziłem, że urząd jest obsadzony, sir.

- Nie na długo - odparł król szorstko. - Eustace de Lowdham zawiódł mnie. Jego chciwe łapska łupią należne mi podatki. Nie udało mu się wyłapać rabusiów, którzy kłusują w Lesie Sherwood i okradają królewskie fundusze. Ścigając Walijczyków, pokazałeś, ile jesteś wart. Udowodnij, że nadajesz się na szeryfa, a w odpowiednim czasie przywrócimy ci tytuł i dobra.

Tre zmrużył oczy; w szarym świetle sączącym się przez otwarte okno tańczyły drobinki kurzu. Była to przemyślna pułapka. Janowi będzie o wiele łatwiej pozbyć się mianowanego urzędnika, niż ryzykować, że zrazi do siebie wszystkich baronów, eliminując jednego z nich bez oczywistej przyczyny.

Zagrażała mu katastrofa. Do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak wielką nienawiścią darzył go Welburn. Przebiegły lord, niszczył wroga prostym oskarżeniem - kusząc króla,

który zawistnie spoglądał na bogate ziemie, by wypowiedział wojnę władcy Francji, Filipowi, i przeciwstawił się papieżowi.

O wiele lepiej iść na kompromis, niż stracić wszystko...

Zapanowało pełne napięcia, ciężkie milczenie. Zniecierpliwiony Jan warknął:

- Decyduj się wreszcie, lordzie Brayeton.

- Skoro nie zasługuję na zaufanie jako baron, jak można zaufać mi jako szeryfowi? - odrzekł lord, a gorzkie słowa paliły go w język.

- Pozbawiony ziemi baron nie jest zbyt potężny. Będziesz stanowił ostrzeżenie dla tych, którzy biorą pod uwagę możliwość zdrady, i staniesz się świadectwem naszej przenikliwości i naszej szczodroblewości, której zawdzięczasz życie i wolność.

Król skinął w kierunku pisarza, a potem znów spojrzał na Tre.

- Przybądź do Nottingham, zanim nadejdzie pierwsza niedziela postu. Za dobrą służbę zostaniesz sownie wynagrodzony, Devaux. Lecz jeśli nas zdradzisz, utracisz wszystko.

Devaux, jakby już utracił tytuł i rangę... Przełknął wściekłość i nierozważny komentarz, ugryzł się w język, gdy oczy Jana załśniły złośliwą satysfakcją.

Brayeton Keep, utracony w mgnieniu oka, odebrany z powodu fałszywego oskarżenia. Teraz należy do króla Jana: kamienna twierdza, gdzie Tre przyszedł na świat, i zbocze wzgórza, gdzie pod starym dębem usypano dwa groby.

Aimee...

Pamięć umknęła przed ostrym bólem, ukryła się w dobrze znanej szarości: w jamie pozbawionej tkliwych uczuć, w bezpiecznej pustce, gdzie nie dosięgnie go ból po stracie.

Ad noctum - w ciemność.

2

Zamek Nottingham, 25 lutego 1213 r.

Padało. Na hełmach i kolczugach normańskich żołnierzy, wjeżdżających przez zewnętrzną bramę zamku Nottingham, lśniły krople deszczu. Kopyta dudniły jak przetaczający się grzmot. Ze spotniałej sierści muskularnych rumaków unosiła się para. Szczęk broni, choć przytłumiony, brzmiał złowieszczo. Na zewnętrznych murach obronnych stał się nagle głośniejszy, ostrzegając tych, którzy jeszcze nie wiedzieli, co ich czeka.

Jane, wdowa po Hugh de Neville, zebrała poły obszytej futrem opończy. Drżącymi palcami naciągnęła kaptur, by okryć włosy. Kiedy rozeszła się wieść, że nowy szeryf znalazł się wreszcie w pobliżu Nottingham, nie było czasu na kwefiehie włosów. Zbyt wiele czasu zabrało jej szykowanie kuzynki, dlatego zdołała tylko zapleść sobie warkocz i wepchnąć jasnobrązowe włosy pod kaptur, kiedy z pobliskiego Gedling obie śpieszyły do zamku. Deszcz zrosił jej rzęsy. Zamrugła, spoglądając przez mżawkę i tłum na zbliżających się Normanów.

Część wojska oddzieliła się od reszty i wjechała na mur wewnętrzny. Ponad hełmami wojowników powiewał na wietrze mokry proporzec, anonując przybycie szeryfa trzepotem podobnym do trzaskania bata. Poczuli, że z napięcia ścisła jej się żołądek. Byli już tak blisko.

Stojąca obok Lissa prychnęła niecierpliwie i brutalnie po-
pchnęła mężczyznę przed nimi.

- Uważaj, gdzie się wpychasz!

- Ejże! - zaprotestował, ale zszedł im z drogi. Dzięki temu
w tłumie powstała luka i obie kuzynki miały teraz lepszy widok.

Cizba była większa, niż Jane się spodziewała; baronowie,
wyzwoleńcy i kupcy uzyskali pozwolenie na to, by przybyć
na wewnętrzne mury i powitać nowego szeryfa lub okazać mu
wrogość. Mowa anglosaska, stary język tutejszej krainy, i nor-
mańska francuszczyzna, język Wilhelma Zdobywcy, mieszały
się w bezsensownym bełkocie. Na opustoszałych wąskich
uliczkach miasta hulał jedynie wiatr i czaił się strach. Całe
Nottingham stłoczyło się w murach zamku. Zbiorowe poparcie
lub opór mieszkańców będą zależały od poczynań nowego
szeryfa.

Drżąc z niecierpliwości i zimna, które przenikało ją do
szpiku kości, pomimo przyodziewku z grubej wełny, Jane
nachyliła się, by wśród uzbrojonej i aroganckiej gromady
wojska dostrzec poszczególnych wojowników.

Który z nich jest szeryfem?

Nie dzierżył żadnej buławy wskazującej na jego urząd, nie
miał na szyi złotego łańcucha, który wyróżniałby go spośród
innych.

Ale gdy kolumna jeźdźców odzianych w czarno-złote tuniki
zwolniła, Jane rozpoznała szeryfa. Jechał otoczony przez innych
Normanów, a jednak coś go wyróżniało.

Stojąca przy niej Lissa westchnęła przeciągle i z zachwytem.

- Od dawna nie ujeżdżałam czegoś równie wielkiego i wspa-
niałego...

Jane oderwała oczy od Normanów i przeniosła wzrok na
kuzynkę.

- Rozumiem, że chodzi ci o konia - mruknęła, a Lissa się
roześmiała.

- Oczywiście, to samo można powiedzieć o rumaku. Oby-

dwaj są wspaniali. Piękne i muskularne zwierzęta, gładkie, ciemne i niebezpieczne.

- Powściągnij swój język. Chcesz, żeby inni usłyszeli te wulgarne dowcipy?

Lissa zlekceważyła ostrzeżenie pogodnym uśmiechem i wzruszeniem ramionami. Jedwabny kwef lgnął wilgotnymi fałdami do jej ślicznej twarzy.

- Myślisz, że to Devaux? - spytała, przyglądając się Normanom.

Jane nie musiała pytać, którego z mężczyzn ma na myśli kuzynka. Podkute żelazem kopyta krzeszały iskry na nierównych kamieniach, gdy okazały czarny rumak arogancko zatańczył pod jeźdźcem. Dosiadający go wojownik robił jeszcze większe wrażenie.

Niedbałym gestem ukrócił narowistego rumaka, zanim wjechał pomiędzy przejętych mieszkańców grodu. Pozornie lekki chwyt był w istocie stalowy, co samowolna czarna bestia doskonale wyczuła. Ogier parsknął i usłuchał niewypowiedzianego polecenia, zwalniając kroku w odległości kilku stóp od Jane. Przeniosła zafascynowane spojrzenie z konia najeźdźca.

Dumny centaur, o nieruchomej twarzy pozbawionej wszelkiego wyrazu, zajęty wyłącznie rumakiem, zdawał się nie dostrzegać tłumu, stłoczonego wewnątrz kamiennych murów obronnych. W ciszy rozlegał się jedynie szczeł zbroi. Nagłe milczenie stanowiło wyraz hołdu, jaki zebrani ludzie złożyli szeryfowi.

Jane doskonale to rozumiała.

Nieskrępowane ciężką kolczugą szerokie bary i wydatna klatka piersiowa były okryte powiewającą opończą z czarnej jak heban wełny. Z przodu widniał delikatny złoty rysunek, emblemat rangi i dziedzictwa. Czarne jak sadza włosy były schludnie przycięte na modłę normańską; zmoczone deszczem pasma opadały na brwi, które zamaszystą linią przecinały czoło rycerza. Szeryf miał twarz znamionującą siłę, kanciąstą, jak

większość Normanów, z wydatnymi kośćmi policzkowymi i pięknie wykrojonymi ustami, które sprawiały wrażenie niezających uśmiechu.

Jane poruszyła się zakłopotana. Na jego bardzo męskiej twarzy niespodziewanie pojawił się wyraz aprobaty, który natychmiast zniknął.

Błagam, niech będzie inny niż poprzedni szeryf, pomyślała.

Wsunęła dłoń pod opończę, rozsunęła różowy aksamit sukni, aż niecierpliwie palce natrafiły na pięknie kutą łańcuch ze złota. Chwyliła mały złoty krzyżyk i potarła kciukiem rzeźbioną powierzchnię.

Po odwołaniu Lowdhama zastępca szeryfa, pozostawiony, by wymierzyć sprawiedliwość okolicznym Anglosasom, okazał się równie brutalny. Jeżeli nowy szeryf będzie tak bezlitosny jak jego poprzednicy, Nottinghamshire czekają ciężkie chwile.

Tłum zafalował, zwarł szyki i Jane straciła szeryfa z oczu. Wspięła się na palce, by spojrzeć ponad głowami gapiów. Wiatr niósł woń świeżego końskiego łajna; brzęczały ostrogi, łańcuszki wędzideł dzwoniły melodyjnie. Konie służby parskwały, niecierpliwie grzebały nogami, wpadały na zwierzęta juczne. Nadbiegli chłopcy stajenni, aby zająć się nimi.

Krótkowate milczenie tłumu zostało zmaćone i czar prysnął. Rozległa się chaotyczna paplanina. Szeryf uniósł głowę, by zlustrować gawieź przenikliwym wzrokiem. Z jego postawy biła wyniosłość i arogancja. Sprawiał wrażenie kompetentnego i bezlitosnego.

Jane westchnęła rozczarowana.

Chłopiec stajenny przytrzymał wodze krnąbrnego rumaka i szeryf zsiadł, zdradzając lekką sztywność ruchów. Jane spodziewała się, że będzie zręczniejszy. Jednak gdy zwrócił się w kierunku baronów, którzy stali w rzędzie, wyglądając jak zmokłe wrony na płocie, uczynił to bardzo zdecydowanie.

Przyglądał się im spod zmarszczonych brwi, powoli zdejmując skórzane rękawice.

- Nie przewidywałem takiego powitania, lordowie. Czemu zawdzięczam takie niespodziewane przyjęcie?

Piękne spółgłoski i samogłoski normańskiej francuszczyzny zabrzmiały w jego ustach jak warczenie, płynny język Wilhelma Zdobywcy stracił swą śpiewność, nabrał tępej modulacji. Jane przepchnęła się naprzód, by stanąć za baronem, którego znała od czasów dzieciństwa. Ten rzucił jej milczące spojrzenie, które wyrażało dezaprobatę dla kobiety, nie umiejącej pozostać na swoim miejscu. Zlekceważyła je, całą uwagę skupiając na szeryfie.

Devaux czekał na odpowiedź. Z jego ust wzlatywały obłoczki marznącej pary. Gdy nikt nie wystąpił naprzód, by odpowiedzieć, Devaux uniósł brwi.

- Nie macie rzecznika?

Kropłe deszczu padały ze szmerem. Normañscy wojownicy poruszyli się, zabręczczała broń. Gdy żaden z Anglosasów nie miał odwagi wystąpić naprzód, w szeregach Normanów rozległ się szyderyczy śmiech.

Devaux wykrzywił usta z nieukrywaną wzgardą.

- Tego się spodziewałem. Zabierajcie się do domu, zanim deszcz zmieni was w zmokłe kury.

Kpiący śmiech Normanów i pogarda w tonie szeryfa popchnęły ją do przodu. Jane wystąpiła przed Gilberta z Oxton. Podniosła głos, by wzniosł się ponad szcęk zbroi i łoskot broni.

- Lordzie szeryfie, przybyliśmy tu, aby spytać, czy będziesz się o nas troszczyć i dasz nam zadośćuczynienie za poniesione krzywdy.

Podmuch wiatru zagłuszył jej słowa, tak że zabrzmiały dziwnie zniekształcone. Lord Oxton spojrział na nią ze smutkiem.

- To nie twoja sprawa, lady Neville...

- Chcesz powiedzieć, że nie jest właściwe, by dama zabierała publicznie głos. - Niecierpliwym gestem strąciła z ramienia powstrzymującą ją dłoń. - Lecz czy kto inny ma dość odwagi,

by powiedzieć to za mnie? Z całą pewnością nie ma jej żaden z tych tu mężnych baronów.

Jej kąśliwe słowa zrobiły swoje. Kilku anglosaskich baronów poczerwieniało z gniewu. Lecz szeryf zażądał:

- Wystap naprzód, lady, bym mógł obejrzeć Anglosasa, który ma dość odwagi, by domagać się zadośćuczynienia za krzywdy.

Wypowiedział to płynną angielszczyzną, ostrzegając baronów, że nie mają nad nim przewagi, bo zna ich język.

Jane zastygła. Poczuła zimny strach. Nie zdoła wystąpić z szeregu. Nagle zdała sobie sprawę, że ściągnęła na siebie powszechną uwagę i to sprawiło, że nie była w stanie się poruszyć. Język stanął jej kołkiem w ustach, zdradliwy i bezużyteczny.

Jestem przecież córką mocarnego rycerza anglosaskiego, wdową po normańskim baronie i żaden mężczyzna nie onieśmieli mnie wbrew mojej woli...

Uniosła dumnie głowę.

- Zaprawdę, sir, to nie odwaga popchnęła mnie, by się odezwać, lecz poczucie sprawiedliwości.

- Sprawiedliwości? - Szeryf uniósł brwi. Usta, które uznała za niezdolne do uśmiechu, skrzywiły się drwiąco. - Dziwne słowa w angielskich ustach.

- Nie aż tak dziwne, lordzie. Lecz z pewnością nieczęste w normańskich sercach.

Ich spojrzenia zwały się na chwilę. Zaniepokojona Jane dostrzegła oczy równie zielone i twarde jak szmaragdy. Oczy kota spoglądające spod wilgotnych czarnych rzęs.

- Twoje stwierdzenia intrygują mnie, lady. - Słowa zabrzmiały gładko, lecz ton był szorstki. Deszcz szemrał, padając na kamienie i głowy. - Taka krewka orędowniczka sprawiedliwości winna się przedstawić. Jak brzmi twe nazwisko, pani?

Czujne oczy, przenikliwe i baczne, czekające na jej odpowiedź i nieostrożność...

- Mój zmarły mąż to Hugh de Neville, baron z Ravenshed. Mój ojciec to Rolf z Ashfield, lojalny rycerz Ryszarda Lwie Serce.

- Neville był twym mężem? - Zamilkł, a po chwili dodał: - Znałem go, lady Neville. Za życia był mężnym rycerzem i uczciwym człowiekiem.

- Takim właśnie był, sir. Jego śmierć jest wielce nieodżałowana.

Słowa zabrzmiały pewnie, ale wypowiadając je, odczuła w środku dziwne dygotanie. Utrata Hugh była bolesna, lecz do przewidzenia. Jane nie przewidziała jednak osamotnienia. Bywały chwile, gdy czuła się bardzo opuszczona...

W oddali przetoczył się cichy grzmot. Deszcz się wzmaczał. Dudnił na murach ze wzrastającym hałasem, bębnił na metalowych hełmach i tarczach.

Devaux wydał zwięzły rozkaz, by baronowie pośpieszyli za nim do zamku, po czym zwrócił się do Jane, wyciągając ramię.

- Uczynisz mi, pani, zaszczyt, będąc moim gościem?

Nie była to prośba, lecz żądanie. Pomimo że jego arogancja odpychała, Jane położyła dłoń na jego ręce. Nie spuszczano z niej oczu. Oxton przyglądał się jej z gniewem, inni ze zdumieniem. Lissa wlepiła w nią oczy okrągłe z podziwu. Znalazłszy się w pułapce, Jane nie okazywała strachu.

Przy ogromnym Normanie jej drobna postać wydawała się jeszcze mniejsza. Nigdy dotąd nie czuła się tak przeraźliwie krucha. Jej palce lekko spoczywały na rękawie szeryfa; pod grubą wełną odgadywała napięte mięśnie i wielką siłę. Doznała wrażenia, że kroczy wprost w paszczę lwa. Zamek Nottingham także budził w niej strach.

Wysokie mury obronne z piaskowca o barwie skóry wołu miały grubość piętnastu stóp. Wznosiły się koncentrycznymi kręgami, by bronić zamku o licznych wieżach i bramach. W świetle dnia zakończone blankami kamienne fortyfikacje

przypominały szczerbate zęby wyszczerzone w kierunku nieba; nocą wyglądały jak grzbiet diabła.

Wznoszący się stromo skalny masyw był nie do zdobycia i zapewniał zamkowi naturalną ochronę. Od południowej strony broniły go skaliste skarpy nad rzeką Leen. Pomiedzy rzekami Leen i Trent rozciągały się jedynie rozległe łąki, obecnie brązowe od zwiędłej trawy i gdzieniegdzie przyprószone śniegiem - nagie obszary bez śladu drzew czy zabudowań, które zapewniłyby kryjówkę podchodzącemu wrogowi. Forteca była zatrważająca, górowała nad miastem i otoczeniem niczym ogromne niezdarne ptaszysko, bacznie lustrujące okolice.

Pełna napięcia, zmarznięta i oślepiąca przez lodowaty deszcz, Jane z wdzięcznością spoglądała na zbliżający się dwór. Wstępując na stopnie, potknęła się i lekko zachwiała. Natychmiast objęło ją silne ramię, które usunęło się, gdy tylko odzyskała równowagę. Imponujący Devaux kroczył u jej boku w milczeniu, stąpając pewnie i sprężysto po stromych i śliskich od deszczu kamiennych stopniach. Weszli do mrocznej wartowni.

Mrugając powiekami, by strącić z rzęs krople deszczu, Jane zsunęła dłoń z ramienia szeryfa i stanęła dygocąc. Jej gruba opończa była przemoknięta i lgnęła do ciała ciężkimi fałdami. Jane zdjęła kaptur i przeciągnęła palcami po wilgotnych, wijących się pasmach włosów, które wymknęły się z warkocza, zawstydzona, że nie zdążyła się odpowiednio odziać. Wyglądała teraz raczej jak karczmarka, a nie wdowa po baronie. Wilgotne włosy podtrzymywała jedynie złocista przepaska spleciona z błękitną wstążką, dobraną do koloru oczu.

W strażnicy panował mrok i unosiła się stęchła woń deszczu, błota i wilgotnego kamienia. Devaux cofnął się i uniósł dłoń. Podbiegł służący, by zdjąć przemoczoną opończę z ramion Jane, podczas gdy zziębniętymi palcami odpinała klamrę.

- Proszę pozwolić, milady - wymamrotał służący i zsunął opończę, po czym zwrócił się do szeryfa: - Lordzie szeryfie, sir Gervaise przesyła wiadomość, że bezzwłocznie pana oczekuje.

Po chwili milczenia Devaux odparł stanowczo:

- Poczekaj dłużej. Najpierw odprowadzę damę. Weź jej opończę i wysusz przy ogniu.

To powiedziawszy, szeryf wpatrzył się w twarz Jane z taką intensywnością, że poczuła nieprzeparłą chęć, by przygładzić włosy.

On mi działa na nerwy, pomyślała.

- Przy ogniu jest cieplej, milady. Chodźmy. Posłucham dalszych skarg.

Milcząc pochyliła głowę. Odseparowana od baronów, czuła zaniepokojenie.

- Moja opończa - powiedziała, wyciągając rękę, gdy służący odwrócił się, by odejść. Nie oddał opończy., tylko śmiechnął się przepraszająco.

- Będzie bezpieczna, milady. Nie umieszczę jej zbyt blisko płomieni.

Odszedł, zanim zdążyła go zatrzymać, i przecisnął się zwinnie poprzez tłum zmokniętych baronów i normanskich straży, którzy teraz stłoczyli się wewnątrz strażnicy. Devaux czekał, niezachwiany mur normańskiej wrogości. Jane nie wiedziała, jak się ma wywinąć, tak by go nie urazić i nie zasłużyć na karę.

- Zastanawiasz się, jak mi umknąć, pani?

Uniosła głowę, zdumiona jego przenikliwością. Policzki zapłonęły jej rumieńcem z zakłopotania.

- Tak - powiedziała śmiało, co zostało wynagrodzone zapowiedzią uśmiechu, która uniosła kąciki jego srogo zacisniętych ust.

- Jestem więc aż tak nienawistny?

- Raczej pański urząd.

- Który reprezentuje prawo i porządek. Anglosasi będą je musieli uznać - powiedział sarkastycznie.

- To nie prawo i porządek są nam nienawistne - odparła gniewnie. - Lecz samowola, z jaką się utrzymuje. Zbrodniarze szerzą zniszczenie, lecz pozostają wolni, podczas gdy ucziwi

ludzie są chwytni i na resztę życia osadzani w więzieniu za to, że nie chcą się bić za króla, który wcale o nich nie dba.

- Widzę, że nie przebierasz w słowach, pani - powiedział tonem nieco mniej sarkastycznym. Przez chwilę przyglądał się jej z namysłem, a potem znów wziął ją za rękę, by przeprowadzić za grubą zasłonę, oddzielającą strażnicę od holu.

Przepaścisty, słabo oświetlony hol o wysokim sklepieniu był teraz gwarny i wypełniony baronami. Obydwa skrzydła drzwi stały otworem, by zapewnić łatwy dostęp. Liczna służba rozstawiała stoły na kozłach.

Jane, której odebrano opończę, była zmarznięta. Aby się nieco rozgrzać, podniosła kołnierz aksamitnej sukni. Miała przemoczone ciżmy, które skrzypiały, gdy stapała obok szeryfa po kamiennej, zabłoconej posadzce.

Szeryf skinął ręką i ci, którzy zajęli miejsca przy ogniu, podnieśli się z niskiej drewnianej ławy. Począł, aż Jane usiadzie, i usadowił się obok niej. Tu było cieplej. Zakłopotana jego bliskością, przykryła kostki nóg rąbkiem spódnicy i poruszała stopami, podczas gdy obejmowało ją ciepło, promieniujące od ognia.

Szeryf poprawił miecz, po czym wyprostował długie nogi obute w obcisłe wysokie buty z czarnej cielęcej skóry. Na złoconym emblemacie z przodu tuniki tańczył blask płomieni; teraz można było rozpoznać wyhaftowany zarys kruka.

Kruk - celtycki symbol ciemności i rozpoczy...

Gdy się ku niej zwrócił, poczuła miłą woń wiatru, wilgotnej wełny i skóry. Pod jego nieruchomym spojrzeniem serce Jane zabiło szybciej. Supeł w żołądku zacisnął się mocniej. W płucach zabrakło powietrza, więc musiała odetchnąć głębiej, by je napełnić... Ten mężczyzna wprawiał ją w zażenowanie.

- Kto pani dziś towarzyszy, milady?
- Moja kuzynka, lady Dunham z Gedling.
- Więc nie ma pani opiekuna?

W tym prostym stwierdzeniu czaiło się niebezpieczeństwo.

- Nie wiedziałam, że będzie mi tu potrzebny opiekun, lordzie szeryfie.

- Nie ma pani lustra? - zapytał, unosząc szerokie brwi.

W jego tonie zabrzmiała kpina i Jane rozejrzała się wokół, aby ukryć zakłopotanie.

Od czasu gdy była tu po raz ostatni, hol nieco się zmienił. Z wysoko sklepionego sufitu, podpartego kamiennymi kolumnami, zwisały chorągwie i ogromne żelazne pierścienie. Kamiennych ścian nie przyozdabiały żadne wełniane tkaniny, umieszczono na nich tylko tarcze i berdysze. Naciągnięty pergamin, przysłaniający wysokie okna, przepuszczał wstęgi mętnego światła, ale większość oświetlenia pochodziła z kilkunastu pochodni umieszczonych w metalowych uchwytach. Ich płomienie osmalały skórę, włosy i ubiór tych, którzy stali najbliżej. Służba opuściła hol, lecz po chwili powróciła szerokimi nawami, niosąc drewniane tace zjedzeniem i pozostawiając je na długich stołach, rozstawionych na podwyższeniu. Nie wiadomo skąd dochodziły dźwięki lutni.

Z całą pewnością forteca, a nie ognisko domowe. Lecz panujący tu nastrój ostatnich dni przed nadejściem Wielkiego Postu można by uznać za pogodny, gdyby nie niepewność związana z przybyciem nowego szeryfa.

Siedzący obok Jane Devaux zmienił pozycję. Silne dłonie wsparł na kolanach. Był teraz szorstki i obcesowy, maska uprzejmości opadła.

- Stałaś się raptem bardzo nieśmiała, milady. To cecha Anglosasów. Można się było tego spodziewać, ale ja miałem o pani lepsze zdanie.

Zdziwiona podniosła na niego oczy.

- Nie odpowiadam za to, czego się spodziewasz, lordzie szeryfie.

- Nie. - Wąska linia zaciśniętych ust złagodniała. - Nie odpowiadasz, pani.

Drażnił się z nią. Lecz ona nie da mu satysfakcji i nie spuści

wzroku. Nie będzie taka jak inni. Nie postąpi zgodnie z oczekiwaniami.

Ale nie było jej łatwo wytrzymać jego wzrok, gdy pragnął, by ustąpiła. Prowadziła milczącą walkę z determinacją i czymś jeszcze, z małą iskierką, która rozpałała w niej zachwyt nad symetrią jego męskiej twarzy: nad szeroko rozstawionymi oczyma, prostym nosem, ładnie wykrojonymi ustami, gładko wygolonym podbródkiem, który swym kształtem zdradzał upór. Starożytni przodkowie jego rasy pozostawili mu dziedzictwo w postaci wysokiej i umięśnionej figury.

Niepokojący, niepokojący mężczyzna - przerażający w swej dumie, niebezpieczny, gdy milczy...

Wytrzymując jej wzrok, powiedział:

- Król rozkazał, by do następnej niedzieli wszystkie angielskie statki powróciły do swych portów. Nakazano mi, bym wezwał wszystkich, którzy złożyli hołd i ślubowali wierność swemu królowi, by przed Wielkanocą stawili się z końmi i bronią w Dover. Jest moją powinnością nakazać wszystkim zamieszkującym ten okręg, by dołączyli do króla, bóg w przeciwnym razie spotkają ich represje.

Jane uniosła brew.

- Zaprawdę, wizyta u nowych nieszczęśników musi być dla ciebie bardzo bolesna, lordzie szeryfie, choć ja myślałam, że jest inaczej.

Po krótkiej, pełnej napięcia, chwili Devaux rzekł:

- Intrygujesz mnie, lady Neville.

Zacisnęła palce na różowym aksamicie sukni.

- Dlaczego? Ponieważ wypowiedziałam na głos twoje myśli? Czy dlatego, że mam odwagę mówić, gdy inni milczą?

- Z obydwu powodów. Powinnaś, pani, pozostać w domu, tkając materiał lub doglądając służby, a nie mieszać się w sprawę, będące domeną mężczyzn - odparł szyderczo.

Jane zeszytniała.

- Nieliczna służba, która mi pozostała po naborze na dwór

króla, może tkać bez mego nadzoru. Lecz masz rację, lordzie, powinnam była pozostać w domu. Jest oczywiste, że tracę swój czas i marnuję pański, przybywszy tutaj, by błagać o pomoc.

- Niekoniecznie. - Jego wzrok stał się tak natarczywy, że z trudem oddychała. - Rozważę twe prośby z wielką uwagą, milady. Lecz nie myl namysłu ze słabością. Mówię wprost, że służę królowi i przybywam tu, by w jego imieniu wymierzać sprawiedliwość oraz przywrócić porządek w hrabstwie.

- Sprawiedliwość - oto wszystko, czego może żądać każda kobieta i każdy mężczyzna. Modlę się o to, abyś był tym, za kogo się podajesz, lordzie szeryfie.

- Za nikogo się nie podaję. - Zmrużył oczy. Jego ton znowu stał się szorstki i beznamiętny. - Zostałem mianowany szeryfem. Będę wypełniał moją powinność wobec króla Jana. To ma przekonać baronów, że król pragnie, by byli zadowoleni. Gdybyś, pani, miała okazję przekazać tę informację nieszczęśliwym baronom, którzy tu z tobą przybyli, byłoby lepiej dla wszystkich.

- Nie jestem posłańcem, lordzie. - Gdy iskra nadziei zgasła, gniew wziął górę nad ostrożnością. Czy on sobie wyobraża, że jestem tak naiwna, by uwierzyć, że chodzi mu wyłącznie o dobro Anglosasów? - Nie zamierzam dyktować innym, co mają sądzić, lecz spodziewam się, że dokonają samodzielnego wyboru, tak jak ja to uczyniłam - dodała cierpko.

Zaległo pełne napięcia milczenie; podczas gdy w holu rozbrzmiewały coraz głośniejsze tony lutni i harfy, mężczyźni śmiali się, psy poszczekiwały. Płonące polano trzasnęło i posypały się iskry, tworząc lśniący łuk. Jane notowała te wszystkie szczegóły i zdawała sobie sprawę, że serce wali jej młotem, a zmarznięte stopy rozgrzewają się coraz bardziej. Lecz najważniejszy był siedzący obok mężczyzna, pan życia, śmierci i wolności.

Wstał. Na ustach igrał mu lekki, ironiczny uśmieszek.

- Widzę, milady, że nie jest pani posłańcem. Szkoda. Zaoszczędziłoby to wiele czasu i kłopotów.

- Być może. Ale nie sądzę, by mi to wyszło na dobre.

Tym razem uśmiechnął się szczerze.

- Masz cięty język i jesteś bystra, lady Neville.

Już miała się znowu odciąć, ale zamilkła i westchnęła głęboko. Uznała, że najrozsądniej będzie zachować ostrożność.

- Lordzie szeryfie - chrząknął uprzejmie sługa. - Sir Ger-
vaise zaczyna się niecierpliwić.

- Nie wątpię. Lady Neviłle zaczeka tu na mój powrót. Giles,
bądź do jej usług. - I oddalił się bezceremonialnie, a Jane
patrzyła, jak kroczy przez hol.

Służący znowu zakaszłał i zapytał, czy nie napiłaby się wina.

- Nie. Przynies mi moją opończę.

Służący zastanowił się i odparł:

- Przyniosę ją, gdy mój pan tak rozkaże. Podać wino?

- Tak. Podaj mi wino.

Rozgniewana Jane siedziała nieruchomo, wpatrując się w tań-
czące płomienie. Czuła się rozdarta. W innych okolicznościach
opuściłaby hol pomimo zakazu. Jednak teraz zawahała się.

W zatłoczonym holu rozbrzmiewały rozmowy. Strzępy zdań
docierały do niej, jak odgłos fal uderzających o brzeg. Od czasu
do czasu rozbrzmiewał ostry i napięty śmiech. Tylko Nor-
manowie czuli się tu swobodnie.

W powietrzu rozeszła się drażniąca woń pieczonego mięsiwa.
Jane spojrzała z odrazą na stoły, na których piętrzyły się stopy
jedzenia. W Ravenshed miano się dobrze, ponieważ Jane ostroż-
nie rozporządzała zapasami. Słabe zbiory mogłyby ich zrujnować.
Zawsze miała dosyć jedzenia i pieniądze, by go dokupić, jednak
wyzwoleńcy, którzy byli jej winni rentę dzierżawną, srodze by
cierpieli, gdyby ich zmusiła do spłaty. Podatki były zbyt wysokie,
nalażało je płacić zbyt często, od wszystkiego, począwszy od
chleba, po wodę do picia. W skrzyniach zaczynało prześwitywać
dno.

Anglosascy baronowie stali zakłopotani, zbici w gromadkę.
Lordowie Oxton i Creighton mieli miny zdradzające napięcie.
Jane na próżno wypatrywała kuzynki, która z pewnością miała

dość rozsądki, by powrócić do siebie, do Gedling. Ludzie szeryfa przechadzali się nonszalancko. Nie stanowili jawnego zagrożenia, jednak atmosfera przesycona była poczuciem niepewności. Uzbrojeni wojownicy dyskretnie pilnowali drzwi.

Nagle Jane poczuła się przytłoczona. Giles odszedł, by przynieść jej wino. Teraz, gdy szeryf zniknął, nikt nie zwracał na nią uwagi. Jane wstała z ławy przy kominku z leniwym wdziękiem. Buty wyschły jej niemal całkowicie. Zesztywniała skóra trzeszczała, gdy szła przez hol i zniknęła za dwuskrzydłowymi drzwiami wzmocnionymi żelazem.

Lodowaty deszcz zmienił się w śnieg, oprószający kamienne mury. Środkowy podwórzec wypełniony był przez wojsko szeryfa. Czarno-złote barwy odcinały się na tle śnieżnej zasłony. Zajęci czekającym ich odpoczynkiem i jedzeniem, nie zwracali uwagi, gdy Jane przeszła przez bramę, przecięła zewnętrzny podwórzec i przeszła przez wysoki barbakan, broniący zewnętrznej fosy, a potem przez bramę z opuszczaną kratą. Była wolna.

W Nottingham sprzedawcy zamykali stragany na Rynku. Jane ślizgała się nieco na stromych stopniach, prowadzących z zamku. W ciemnych przejściach pomiędzy domami leżał śnieg. Zimno maskowało smród zwierzęcych i ludzkich odchodów, który zwykle wisiał w powietrzu. Jane słyszała kroki strażników, którzy patrolowali ulice miasta, maszerując po zlodowaciałym błocie.

Drżąc z zimna, przeczekała, aż przejdą, kuląc się za pochylonym budynkiem piwiarni. Następnie ruszyła w stronę Gęsiej Bramy. Rozległy się przenikliwe tony dzwonów na Wieży Mariackiej, oznajmiając nonę. Zimowe światło było słabe i szybko bladło. Dzień miał się ku schyłkowi.

Chuchnęła w dłonie, by je rozgrzać. Żałowała utraty opończy. Gedling leżało niecałą milę od murów miasta, ale czekał ją spacer w lodowatym mroku nocy. Jane popadała w coraz bardziej ponury nastrój.

Nic się nie zmieniło. Tylko drastyczne kroki obroną Anglię przed zachłannością króla i... przed nowym szeryfem.

3

Gdy Tre wszedł, okazało się, że Gervaise Gaudet oczekuje go z nieukrywaną wrogością. Był to jasnowłosy mężczyzna, średniego wzrostu, bogato przystrojony. Okiennice zamknięto, lecz w komnacie było widno dzięki płonącym świecom, umieszczonym w kilku kandelabrach. Po obu stronach drzwi przycupnęły rzeźbione skrzynie z drewna. Na stole stał dzban z winem i dwa srebrne puchary. Gaudet przystanął obok stołu. Ujął w dłoń puchar. Spojrzał na wchodzącego z urazą.

Tre poczuł wielkie znużenie. Zlekceważył ponurą minę Gervaise'a i jego zwyczajowe fanaberie.

- Zdaję sobie sprawę, że jesteś kuzynem mego pechowego poprzednika, Gaudet, więc nie traćmy czasu na wymianę nieuprzejmości. Król uznał za słuszne mianować szeryfem mnie, a nie ciebie. Ale to wcale nie oznacza, że musimy być wrogami.

- Nie? - Na ustach Gaudeta zaigrał krzywy uśmieszek. - Zostałeś mianowany na to stanowisko, zanim odwołano z niego Eustace'a. Dziwny zbieg okoliczności.

- Może na to wyglądać. - Tre przyjrzał się swemu rozmówcy. Widząc jego zaciśnięte szczęki i ledwie powściąganą nienawiść, która sprawiała, że drżały mu dłonie, uznał, że nie warto wysilać się na uprzejmość.

Gaudet przerwał złowrogie milczenie.

- Jeżeli mniemasz, że Anglosasi zastosują się do twoich dekretów, jesteś w błędzie. Będą stawiać opór. Mój kuzyn przekonał się o tym, gdy usiłował ich zmusić do płacenia legalnych podatków.

- Błąd Eustace'a de Lowdhama polegał na przywłaszczaniu sobie zabranych pieniędzy, a nie na tym, że zmuszał opornych baronów do ich płacenia. Pokrewieństwo z nim nie powinno pozbawiać cię zdrowego rozsądku.

Blade oczka w mięsistej twarzy Gaudeta zmieniły się w wąziutkie szparki. Nie był on wysokiej postury, lecz dzięki mocnej budowie sprawiał wrażenie wysokiego i mocarnego. Jego pierś uniosła się gwałtownie, gdy warknął z gniewem:

- Kłamstwo! Popadł w kłopoty, przywołując do posłuszeństwa najbardziej zatwardziały baronów. Na dodatek przez cały czas piastowania urzędu był napastowany przez wyjętych spod prawa zbrodniarzy. Jeżeli pragniesz zachować swoje stanowisko, musisz zrozumieć, że nie jest możliwe przekazanie królowi pieniędzy, jeżeli zostaną skradzione...

- Twoja troska wrzusza mnie do łez, ale nie martw się o mnie. Ze zbrodniami srogo się rozprawię.

- Wieść niesie, że żywisz wielką nienawiść do rozbójników. Zwłaszcza anglosaskich.

- Ludzie słuchający plotek, powtarzając je, ściągają na siebie kłopoty.

Tre powiedział to cicho i spokojnie, lecz cel został osiągnięty. Gaudet zamilkł.

Chcąc wreszcie doprowadzić do końca spotkanie z anglosaskimi baronami, zniecierpliwiony Tre zwrócił się ku drzwiom.

- O obowiązkach szeryfa porozmawiamy później. Czekał jutro.

Nie był to dobrze wróżący początek urzędowania na stanowisku szeryfa. Najpierw baronowie, teraz Gaudet. Nie zdziwiłby

się, gdyby przed końcem nocy został zbesztany przez dworskie pomywaczki.

Pozostawieni w holu anglosascy baronowie rozprawiali, rozglądając się niepewnie.

Lady Jane ma więcej odwagi niż oni wszyscy razem, pomyślał Tre na ich widok. Właśnie ta jej cecha przykuła jego uwagę. Pełna ognia odwaga nadawała jej przeciętnym rysom niezwykłego piękna. Prawość czyniła ją niebezpieczną. Lady Neville była przeciwniczką pełną temperamentu, zasługującą na uwagę i podziw.

Tre omiół wzrokiem zatłoczony hol, lecz nie spostrzegł jej na ławie przy ogniu ani przy żadnym ze stołów. Z całą pewnością przykre, lecz wcale nie zaskakujące.

- Dokąd ona poszła, Giles? - zapytał cicho, lecz z tajonym gniewem.

- Nie wiem, lordzie - odparł służący. - Kiedy wróciłem, niosąc dla niej wino, nie zastałem jej przy kominku. Nie sądziłem, że wyjdzie stąd bez opończy.

- Pozostawiła przyodziewek?

- Tak jest, lordzie.

- Przynieś mi jej opończę. A potem odszukaj sir Guya i przyslij go do mnie.

Giles odszedł pośpiesznie. W holu rozbrzmiewały hałaśliwe rozmowy, głosy odbijały się od wysokich murów i od sklepienia. Smród niemytych ciał był nie do zniesienia. Dym przesiąkał ubrania i szczypał w oczy. Tre ruszył w stronę podium. Na jego widok gwar rozmów ucichł; idąc pomiędzy stołami, czuł na sobie badawcze spojrzenia.

Przyglądają mi się czujni, jak szczury w spichlerzu, i równie uporczywie jak nieprzyjaciele w ukryciu, pomyślał.

Znalazłszy się na podium, zajął miejsce za długim, przykrytym lnianym obrusem stołem, przeznaczone dla szeryfa. W holu zapanowała teraz cisza, tylko od czasu do czasu rozlegał się śmiech w pomieszczeniu dla służby. Zebrani

Normanowie zachowywali się swobodniej, lecz Anglicy przyglądali mu się z wyteżoną uwagą.

Czekali, by odpowiedział im na pytania, na które nie znał odpowiedzi. A już na pewno nie miał odpowiedzi, które pragnęliby usłyszeć. Czuł odrazę do złośliwych i rżących Anglosasów, do ich domagania się sprawiedliwości, w chwili gdy cała Anglia ledwie zipała pod ciężką ręką króla Jana. Jak może im dać coś, czego sam nie posiada?

Krawędź ogromnego rzeźbionego krzesła wbijała mu się w nogi i sprawiała ból, lecz mimo to nie siadał. Jeszcze nie teraz. Czekał, aż zapanuje całkowite milczenie, a baronowie zaczną się denerwować. Wtedy skinął ręką, wykonując szeroki gest, obejmujący cały hol.

- Z pełnym żołądkiem łatwiej znieść prawdę, lordowie. Zasiądźcie przy moim stole.

Zebrani wymienili nerwowe spojrzenia. Zapach pieczonego mięsiva i miodowego sosu był kuszący.

Tre zasiadł, jakby to było zwyczajne przyjęcie. Służący pośpieszył ze srebrnym dzbanem wypełnionym wonną wodą oraz z ręcznikiem do wytarcia rąk. Był to znak, by podawać jadło.

Inne stoły nie były nakryte obrusami, ale podano dużo wina i kielichów. Normanowie bez wahania zasiedli na długich ławach i wkrótce pozostało niewiele wolnych miejsc. W końcu dołączyli do nich Anglosasi, zbijając się w gromadkę po jednej stronie stołu.

Tre opadł na wyściełane oparcie, które nadal nosiło niebieskie i srebrne barwy poprzedniego szeryfa. Miał w zwyczaju jadać wstrzemięźliwie. Gdy uniósł wzrok znad drewnianej deszczułki, służącej mu za talerz, spostrzegł Guya, przepychającego się przez zatłoczony hol, w stronę podwyższenia, by zająć miejsce obok.

- Wśród baronów zapanowała różnica zdań. Pytłują jak wściekłe łasice. - Guy wcisnął swoją długą postać pomiędzy stół i krzesło. - Zauważyłeś?

- Twoje dowcipy są nie na miejscu. - Tre wskazał głową zatłoczony hol. - Nottingham to teraz prawdziwe gniazdo szerszeni.

- Każ im dolać wina. Odpowiednio dużo wina nawet twarzym Anglosasom doda poczucia humoru.

- I sprawi, że baronowie poczują się swobodnie.

- Oni poczują się swobodnie dopiero w grobie. - Guy przyglądał mu się przez chwilę. - Gdzie się podziała dama?

- Odeszła. Czmychnęła w noc, niczym wystraszony zając. Guy roześmiał się cicho.

- Ty przerazisz każdą kobietę, ale nie sądziłem, że ta da się tak łatwo wystraszyć.

Zirytowany Tre nic nie odpowiedział. Wodził kciukiem po rzeźbionej nóżce kielicha, a potem podniósł go do ust.

Spojrzał sponad pucharu na jasne włosy Guya, w których lśniło światło pochodni i świec.

- Robi się późno, nawet dla Anglosasów - powiedział zatroskany, odstawił puchar i wstał.

Zebrani zwrócili ku niemu głowy, rozmowy ucichły w pełnym napięcia oczekiwaniu.

- Lordowie - powiedział spokojnie. - Moje zamiary w Nottingham są nieskomplikowane. Król Jan mianował mnie seryfem, abym pilnował jego interesów, a także interesów mieszkańców Nottingham. Tak uczynię. W zamian za to wy dostarczycie mi ludzi i broni dla króla. Do Wielkanocy.

Malujący się na ponurych twarzach Anglosasów wyraz nieufności zmienił się teraz w oburzenie. Wzrok Tre padł na rudowłosego Gilberta z Oxton.

- Z indywidualnymi sprawami zgłaszajcie się do Guya Beauforta, który siedzi po mojej prawej ręce. Załatwi on audiencję u pisarza każdemu, kto zechce wyrazić mi swoje niezadowolenie.

- Wyjawszy strój, ludzie ściągający podatki niczym się nie różnią od rzezimieszków.

- Właśnie że się różnią - dodał jego sąsiad. - Bo ci drudzy, w przeciwieństwie do królewskich urzędników, zostawiają nam dość pieniędzy, żebyśmy nie wyzdychali z głodu!

W holu zawrzało. Normañskie straże rozglądały się czujnie.

- Uskarżacie się na zbrodniarzy, którzy łupią wasze ziemie. Błagacie mnie, abym pomógł się wam ich pozbyć. Dlaczego miałbym pośpieszyć wam ze zbrojną pomocą, skoro wy nie chcecie pomóc mnie?

- Jesteś szeryfem! - wykrzyknął Oxton. - To twój obowiązek...

- Otóż to. Tak samo jak waszym obowiązkiem jest pomoc dla króla i kraju. - Zapadło milczenie. Tre spoglądał na poczerwieniałe z gniewu twarze. - Pomóżcie mnie, a ja pomogę wam.

Gdy nikt się nie odezwał, Tre dał do zrozumienia obecnym, że poczęstunek jest skończony, przywołując służącego z dzbanem wonnej wody i ręcznikiem do wytarcia rąk. Był to sygnał, by opuścić hol. Metaliczny szczęk broni przekonał baronów, że nie mają tu już nic do zrobienia.

Niedbale rozwalony w krzesle, Guy spojrzął na Tre porozumiewawczym wzrokiem. Jego piwne oczy błysnęły kpiąco.

- Dobrze poszło.

- Jestem pewien, że Oxton nie zapłaci podatków.

Guy bawił się złotym łańcuchem, który przytrzymywał jego opończę na ramionach.

- Jeśli tak uczyni, inni pójda w jego ślady.

- Tego się spodziewam. - Tre odwrócił się, by zejść z podwyższenia, lecz unieruchomił go gwałtowny ból w boku. Przez chwilę nie mógł złapać tchu.

Guy natychmiast porzucił niedbałą pozę i zerwał się gorliwie.

- *Merde!* Jesteś bładny jak całun... Rana znów się otwarła? Sprowadzę medyka.

- Nie. - Przeszywający ból nie pozwalał mu oddychać. Wymacał dłonią oparcie krzesła i wsparł się na nim, by nie stracić równowagi. - To przejdzie.

- Rana jeszcze nie wydobrzała i może cię zabić, jeśli się na nowo otworzy - zauważył Guy.

Tre z trudem wciągnął powietrze ustami; ból powoli ustępował.

- Wylizę się.

- Zaledwie od miesiąca możesz nosić kolczugę. Przekląty Jan, że wysłał cię tutaj, w tej przegranej sprawie...

- Guy - szepnął Tre, przypominając mu cicho, że ściany mają uszy.

Powoli wypuścił oparcie krzesła i ignorując pomocną dłoń Guya, stanął prosto. Ból powrócił. Nie mógł ufać nawet własnemu ciału; na próżno rozkazywał mu, by wyzdrowiało.

Zatrzymał młodego sługę.

- Giles - powiedział, by ukryć swoje kalectwo przed wścibskimi oczyma. - Jesteś opieszasty. Przynieś wreszcie opończę, którą pozostawiła dama.

Po chwili wahania Giles odparł:

- Przyniosłem ją, panie, ale byłeś zajęty czym innym. Zaraz po nią wrócę.

- Dama? - Guy przyglądał mu się z nieukrywaną ciekawością. - Szybkie zawieranie przyjaźni nie jest w twoim stylu.

- To nie była jaka dama. Lady Neville z Ravenshed.

- Ach, tak.

W tych dwóch krótkich słowach kryło się mnóstwo niedomówień i insynuacji. Tre nie życzył sobie dalszej rozmowy na ten temat. Powrócił Giles z opończą. Tre podał ją Guyowi. Poczuli nikły zapach mięty.

- Zajmij się nią do czasu, aż będzie okazja oddać ją właścicielce.

- Co bez wątpienia uczynisz osobiście.

- Bez wątpienia.

4

Maj 1213 r.

Jane podążała wąziutką, prawie niewidoczną ścieżką, piaszczystą wstęgą, wijącą się wśród dziewiczego lasu, pachnącego nadchodzącą wiosną. W szmaragdowej trawie lśniły kępy niebieskich i żółtych pączków, pyszniły się wielkie paprocie. W poskręcanych gałęziach prastarych drzew poświs-tywał wiatr.

Padało, ale w sherwoodzkich kniejach deszcze łagodniały. Jane czuła na twarzy ciężkie, wilgotne powietrze. Z wełnianego kaptura kapały krople. Miała na sobie zielone trykoty i kaftan, wtapiające się w otaczające ją odcienie umbry i oliwek, dzięki czemu była prawie niewidoczna.

Ostrożnie stawiała stopy w sznurowanych wysokich butach, stając po grubym poszyciu leśnym. Czuła się tu intruzem i nie chciała mącić otaczającej jej ciszy.

Zmierzała w stronę Dębu Kogucie Pióro, gdzie czekał na nią Fiskin. Przystanąła, bo natrafiła stopą na pnącze. W jednej ręce trzymała łuk, który teraz stanowił nieporęczne obciążenie. Wiele lat temu był jej nieobcy, ale to już przeszłość. Poprzednie życie. Była wtedy kimś zupełnie innym. Młoda dziewczyna, która odeszła. Pozostała bezdzietna wdowa, samotna od siedmiu lat, prawdziwa starucha.

Przeciagnęła dłonią po gładkim drewnie łączyska, badając

pięć stóp hiszpańskiego cisu, wystruganego z wysuszonej dłużyca bez kolanek, i przymocowaną do niego sprężystą cięciwą ze skrzyconego lnu, nasączonego pszczelim woskiem. W kołczanie miała strzały z drewna jesionu, zakończone lotkami z gęsich piór. Piękne, śmiercionośne i umiłowane. Natura obdarzyła Jane talentem łuczniczym.

Powietrze przesiąknięte było aromatem wigotnej, rozmiękłej ziemi. Jane oddychała powoli, z jej nozdrzy wydobywały się obłoczki pary, rozpraszające się we mgle. Ścieżka wiodła poprzez gąszcz drzew i splątanych pnączy. Bujna korona Dębu Kogucie Pióro była ledwie widoczna; dominowała nad małą polanką niedaleko Edwinstowe Road.

Powietrze rozdarł wysoki trel siewki. Jane przyśpieszyła kroku. Kiedy zbliżała się do opasłego Dębu Kogucie Pióro, Fiskin przesłał jej uśmiech z dziupli wydrążonej przez czas i naturę. Jane także się uśmiechnęła.

- Na siewkę jest już trochę za późno. Odpowiedniejszym sygnałem byłaby kawka. - Jej krytyczna uwaga nie wywarła większego wrażenia niż drobny deszczyk, który nie przenikał przez gęstą koronę dębu, prawie sięgającą ziemi.

Fiskin wyszedł z dziupli. Strzepnął liście z grubego włnianego kaftana.

- W tym roku nie za późno, milady. W zimie na polach brakowało pożywienia dla ptaków.

- Nie tylko dla ptaków. Czy inni już czekają?

- Tak, milady. Na skarpie przy drodze Birklands. Orlice są już tak wielkie, że sięgają na wysokość ludzkiej głowy, bo korony drzew są rzadsze i przepuszczają więcej światła.

Jane poczuła napięcie w mięśniach ramion i pleców, ucisk w żołądku i drżenie kolan. Rzuciła okiem w stronę drogi. Poruszały się tylko liście drzew.

Fiskin zerknął na łuk Jane. Miał ciemnoniebieskie oczy, jasne i sterczące niczym strzecha włosy, a figurę wiotką jak młode drzewo.

- Mogę z tego strzelać, milady - powiedział, wskazując na łuk. - Skoro dama jest w stanie napiąć cisową gałąź...

- Nie.

Cofnął rękę i przygładził włosy słuźalczym gestem. Jane nie lubiła tego gestu; zmarszczyła czoło.

- Nie ma potrzeby, Fiskin. Chodziło mi tylko o to, że po to, by strzelać, musiałybyś poćwiczyć, a dziś nie ma na to czasu, - Znowu spojrzała na pustą drogę. - I miejsce jest nieodpowiednie.

- Czy oni przyjadą, milady?

- Mam nadzieję, że tak. Teraz idź. Zobacz, co u Willa i reszty, a potem wracaj do Ravenshed.

Fiskin był szybki i zręczny jak zając. Podskakując, zbiegł w kierunku drogi, nie dbając o śliskie błoto. Jane została sama. Towarzyszyły jej tylko własne myśli.

Kępy trawy tłumiły odgłos jej kroków, gdy zbliżała się do dębu, omijając błoto. Majestatyczne drzewo o długich konarach i zwisających nad ziemią gałęziach powoli wynurzało się z mgły. Po jednej gałęzi przemknęła zdziwiona wiewiórka.

Jane oparła dłoń na splekanej korze; poczuła chłód i wilgoć. Od strony północy, pień pokryty był zielonym mchem. Zajrzała do dziupli, w której niedawno ukrywał się Fiskin, i stwierdziła z radością, że jest ona równie duża, jak w czasach jej dzieciństwa.

Wewnątrz poczuła zapach próchniejącego prastarego drewna i zdała sobie sprawę z krótkotrwałości ludzkiego życia. Przychodziła tu ze swoim wujem. Dawno, dawno temu. Odszedł człowiek, minęły jego czasy, przybladła legenda. Teraz zdawało jej się, że to tylko sen.

I wtedy zaczęła wspominać. Strzępki rozmowy, błysk promieni słońca, wpadających poprzez drżące liście, dźwięk rogu. Zrozumiała, że to jednak nie sen, lecz jawa.

Przykłęła na jednym kolanie i ścisnęła łuk w dłoniach. Poczuła chłód cisowego drewna. Dostała ten łuk od wuja. Ten podarunek rozgniewał jej matkę. Jane podsłuchiwała później ich

rozmowę. Myśleli, że już zasnęła, i mówili podniesionymi głosami. Matka protestowała, wuj się bronił. W końcu pozwolono Jane zatrzymać łuk, choć nie wiedziała, czemu zawdzięcza ten cud.

Oparła ręce na zgiętej nodze. Utkwiła wzrok na zewnątrz dziupli i czekała. Powietrze było tak ciche i nieruchome, że od razu go usłyszała. Rozpoznała ciężkie kroki i uśmiechnęła się pod nosem. Wiedziała, że mnie nie zawiedzie, pomyślała.

Cień zbliżającej się osoby przysłonił światło. Odezwał się znajomy głos:

- Jesteś tam, milady?

- Tak, Johnie Lyttle, jestem tutaj. Co słyhać?

Cichy śmiech poprzedzał ogromną postać, która przystanęła i pochyliła się, by zająrzeć do próchniejącej dziupli. Następnie pojawiła się wielka stopa, a potem reszta wielkoluda. Jak na tak ogromnego mężczyznę, poruszał się zadziwiająco zwinnie. Jane spojrzała na jego naznaczoną piętnem czasu twarz, otoczoną złocistorudą brodą, na jasnyniebieskie oczy i szeroki uśmiech.

- Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedykolwiek ujrzę cię we wnętrzu drzewa.

Jane uśmiechnęła się uradowana, że znowu go widzi. Czuła też wdzięczność, że jej nie zawiódł.

- To już tyle czasu.

- Ano. Zbyt długo. Czuję to w moich starych, obolałych kościach. - Zmienił pozycję, zgiął długie nogi odziane w kraciate trykoty i wysokie buty, aby zrobić w dziupli więcej miejsca. Z namysłem poskrobał się w brodę, gestem dobrze znanym Jane z dawnych lat. - Robimy z siebie durniów?

- Nie. - Jane głęboko odetchnęła zatęchłym powietrzem. - To jest do zrobienia.

John znowu poskrobał złocistorudą, usianą siwizną, brodę.

- Byłoby - powiedział w końcu. - Gdyby nie zabrakło nam Robina. Ale już go nie ma.

- Jest Will. I Alan z Dales. Przeprowadzili z sobą innych, którym sprzykrzyły się puste brzuchy i kieszenie.

- Widziałem ich - mruknął John, układając nogi na grubej kępie mchu, przykrytej suchymi liśćmi. Pachniał wilgotną wełną. - To jest niebezpieczne, milady.

- Ano, jest. Odkąd to Mały John utyskuje jak stary dziad?

- Od czasu, gdy się nim stałem. - Zamilkł. - Czy aby będą żył dość długo, by zobaczyć księcia na tronie królewskim?

- Dożyliśmy dzisiejszego dnia.

- Nie wszyscy.

Nie musiał wypowiadać imienia, Jane dobrze je znała, słyszała je od dziecka i kochała, odkąd stała się wystarczająco duża, by towarzyszyć wesołemu zbójnikowi Robin Hoodowi, który był jej wujem, lordem i człowiekiem wyjętym spod prawa.

- Tak. Nie wszyscy dożyli. - Mocniej zacisnęła dłonie na gładkim cisowym drewnie. - Ale jest nas wystarczająco wielu. Tutaj. Teraz. I mamy dość siły, by pokrzyżować plany szeryfa.

- Milady...

- Ludzie ściągający podatki przyjeżdżają drogą Birklands. Cztery. Jest ich tylko czterech. A nas jest dziesięcioro.

- Dziewięciu - powiedział John z rezygnacją. - Jeżeli ja mam zostać, pani musi odejść.

- Będziesz mnie potrzebował. - Potrząsnęła łukiem. - Zostanę bezpieczna w dziupli, ale moje strzały wleczą w powietrze. Bystra strzała przebije nawet kolczugę żołnierza, a poborcy są ubrani jak mnisi.

- Jak mnisi? A nie jak żołnierze? - John uniósł brwi. - Ten nowy szeryf musi być albo głupi, albo arogancki.

- Myśli, że tak przebrani uśpią naszą czujność. Ale Tuck przysłał wiadomość, że ci mnisi mają pod habitami kolczugi.

- I podróżują przez Sherwood. - John pokiwał głową z powątpiewaniem. - Nie sądziłem, że Devaux jest głupcem. Wiedziałem, że bezwzględnie ściąga pieniądze oraz ludzi do królewskiej armii, ale nie spodziewałem się, że będzie tak

głupi, by wysłać w Lasy Sherwood czterech mężczyzn obciążonych srebrem.

- Rozmawiałeś z Wiłem?

- Ano, rozmawiałem. Nie wspominał o mnichach. Mówił o żołnierzach. Powiedział: żołnierze normañscy. Ludzie szeryfa, a zarazem króla. Jeżeli nas złapią, zawisniemy na stryczku.

- Jeżeli nas złapią. - Położyła dłoń na jego ramieniu. Poczwała pod palcami twarde mięśnie. - Dzieci są głodne, bo to, co zostawił król, zabrali rozbójnicy. Jeżeli zabierzemy pieniądze szeryfa, zacznie w końcu ścigać tych zbrodniarzy.

- Co to da? Zabijając ludzi szeryfa, ściagniemy tu więcej Normanów.

- Nie będzie zabitych. Nawet Normanowie nie zlekceważą strzał długości jarda. Porzucą pieniądze z podatków. A gdy szeryf powróci z Canterbury, przypomni mu się, że sprawiedliwość, o której mówi, może być mieczem obosiecznym.

Wspomniała zielone oczy w silnej twarzy i władcze ramię, na którym się wspierała. Przeniknął ją dreszcz.

- Rozpacz. - Własny głos zabrzmiał obco. Spojrzała na Johna i dojrzała w jego oczach zrozumienie. - Will przyszedł do mnie z rozpaczą i nadzieją. Nie wiedziałam, co zrobić. Tylko to - wskazała ręką drogę - wydawało mi się sensowne. Szeryf wyjechał z Nottingham, aby przedstawić królowi spis tych, którzy są posłuszni, i tych, którzy odmówili posłuszeństwa. Pozostał jedynie mały oddział, zbyt mały, by osłaniać poborców podatków.

- Obawiam się, pani, że pozwoliłaś, by Will Scarlett swoją brawurą narażał innych na niebezpieczeństwo. To ryzykant lekceważący to, co działo się w poprzednich latach. - John ciężko westchnął. Oparł ogromne dłonie na zgiętych kolanach. - Ja także przyniosłem łuk. I strzały. Ale nie użyję go, dopóki pani stąd nie odejdzie.

- Mam się nie mieszać w męskie sprawy? - powiedziała głosem napiętym jak cięciwa. Wspomniała z goryczą urągania szeryfa. - Robin dobrze mnie wyszkolił. Znam się na rzeczy.

- Tak, tak. Stała śpiewka!

Jane wstała. Nie była przygotowana na świst strzały, która następnie z hałasem wbiła się w spękana korę dębu. John wychylił się na zewnątrz i chwycił drżącą jeszcze strzałę. Na jej końcu znajdowały się pawie pióra przymocowane czerwonym szpagatem.

- Nie ma czasu na sprzeczki. Oto znak, że już tu są. - John spojrzął na Jane. - Bądź ostrożna, milady. Nawet czterej Normanowie mogą być śmiertelnie niebezpieczni.

- Wiem. - Wyjrzała z dziupli i popatrzyła na las. - Will dobrze to zaplanował.

- Nieraz ucierpiałem z powodu partackich planów Willa Scarletta, milady. Proszę na siebie uważać. Będę w pobliżu.

Pochylił się i wyszedł z dziupli, zasłaniając jej wylot szerokimi barami. Przystanął, zabrał łuk, który zostawił oparty o brzozę, przebiegł przez polanę i zniknął w ciemnej gęstwinie, która jakby go połknęła.

Jane naciągnęła cięciwę, potraściła ją palcami jak strunę lutni. Rozległ się cichy brzęk. Wyjęła strzałę z kołczana.

Deszcz ustał. W powietrzu unosiła się lekka mgła. Liście drzew znieruchomiały w dusznym powietrzu. Za dębem rozległ się cichy szelest liści, zwiastujący nadejście mężczyzn. Byli uzbrojeni i to ona dała na to pieniądze. Tętent kopyt końskich przybliżał się. Jane pośliniła pióra strzały, nasadziła ją na cięciwę i czekała.

Palce dygotały jej z niecierpliwości, niebieska stal grota na końcu strzały drżała.

Wypuszczaj strzałę lekko, pewnie, a zarazem ostro. Nie przymrużaj jednego oka. Obydwa muszą być otwarte. Stój prosto i nieruchomo jak dąb, mała Jaie... Nie, naciągaj cięciwę całym ciałem, a nie samym ramieniem.

Robin znowu był przy niej. Jego dobre rady rozbrzmiewały jak echo.

Uśmiechnęła się ośmielona i dostrzegła pierwszego jeźdźca,

wynurzającego się spośród drzew, zasłaniających drogę Birklands, Wzięła głęboki wdech, aby się rozluźnić, ujęła łuk lewą dłonią, podczas gdy strzałę trzymała luźno trzema palcami prawej.

Nie naciągaj zbyt szybko, Jaie, bo strzała nie ustawi się tak, jak powinna.

Za pierwszym jeźdźcem pojawili się trzej następni. Fałszywi mnisi w kapturach przemykali się pod mokrymi drzewami. Nagle strzała z białymi piórami świsnęła ostrzegawczo, przesywając powietrze, i wbiła się w błoto przed pierwszym jeźdźcem. Koń zarżał, stanął dęba i upadł na bok.

Przysuń łuk do ciała, Jaie, naciągaj nie tylko ramieniem, ale z uda i z biodra.

Jane uniosła łuk, wysunęła lewą stopę do przodu i ustawiła łuk pionowo. Prawą ręką odciągnęła cięciwę do tyłu, aż knykcie i gęsie pióra musnęły jej zuchwę. Krótka przerwa, zanim z pstryknięciem uwolniła palce i strzała odskoczyła od cięciwy z syczącym świstem. Gładki ruch po niezauważalnej pauzie - uwolnione napięcie i wypuszczona strzała. Za nią pięć następnych; i wreszcie śmiercionośny deszcz jesionowych strzał, wypuszczanych tak szybko, że głośne brzęczenie nie cichło, dopóki mnisi nie zostali otoczeni przez ciernistą zapórę.

- Zostawcie skrzynie i jedźcie w spokoju! - dał się słyszeć głos zza gęstego listowia. Głos Willa, ostry i stanowczy. - Nie uczynimy wam krzywdy!

Przebrani w brązowe habity Normanowie wstrzymali splecione konie. Odbili krótką naradę, po czym odpięli rzemienie podtrzymujące kufer na grzbiecie jednego z koni. Ciężka skrzynia grzmotnęła, spadając na błotnistą drogę.

- To wszystko, co mamy - odezwał się stłumiony głos spod kaptura. - Okradacie kościoły?

Odpowiedział im śmiech.

- Czemu nie? Nawet król okrada kościoły. A ja straciłem cierpliwość do tłustych, galaretowatych mnichów, którzy obżerają się, gdy mnie z głodu kiszki marsza grają.

Nadleciała ze świstem następna strzała i wbiła się w zarośniętą trawą poboczne drogi.

- Czas w drogę. Spłaciliście dziesięcinę. Na dzisiaj wystarczy, bracie mnichu.

Jane opuściła łuk i westchnęła z niedowierzaniem. Poborcy podatków szybko zawrócili konie i odjechali w kierunku Edwinstowe. Wszystko poszło łatwiej, niż można by sobie wymarzyć. Obyło się bez oporu dumnych Normanów. I oto mają porzuconą skrzynię. Prawdziwy majątek, o ile Will się nie mylił; podatki ściągnięte w opactwie Welbeck i w wioskach położonych wzdłuż drogi do Nottingham. Pieniądze wydarte ludziom, którzy ledwie wiązali koniec z końcem. Z radością powitają zwrot krwawicy.

Jane oparła się o chropowatą krawędź dziupli i obserwowała drogę, pustą, jeśli nie liczyć strzał i skrzyni ze srebrem. Ciszę zakłócił trzepot skrzydeł kruka, który usiadł na szczycie dębu rozdartego przez piorun. Od ciemnej gęstwiny oderwał się cień, to Will Scarlett wyszedł z ukrycia i ruszył w kierunku drogi.

Poruszał się z wielką ostrożnością, trzymając przed sobą łuk z gotową do wypuszczenia strzałą. Ciszy nie maćił nawet tętent koni, na których umykali Normanowie. Will przykleknął obok kufra. Na żelaznych uchwytach, spinających drewno i nabijaną ówiekami skórę, umieszczony był ciężki zamek. Will poruszył zamkiem, zaklął i zawołał Małego Johna.

- Użyj swojej siły, bo w przeciwnym wypadku zmitrężymy tu cały dzień.

- Zabierzmy ją stąd - powiedział Mały John, wyłaniając się spośród drzew. - Otworzymy ją później.

Will spojrzał na niego spode łba.

- Jest zbyt ciężka i nieporęczna, a poza tym, niosąc ją, będziemy wyglądać podejrzanie. Przynieśliśmy worki konopne, aby łatwiej przenieść monety. Nie potrafisz otworzyć tego przeklętego pudła?

- Rusz tyłek i zejźdź mi z drogi, to zobacę, co się da zrobić, żebyśmy stąd jak najszybciej odeszli.

Will posłusznie się odsunął. John odłożył na bok swój łuk i drag, po czym przykłęknął na drodze. Drewno i żelazo stawiało zacięty opór jego nadzwyczajnej sile. John napiął mięśnie, a twarz z wysiłku nabiegła krwią, gdy usiłował otworzyć zawiasy.

Jane pozostała w dziupli, podczas gdy mężczyźni wyszli z lasu, aby służyć radą i pomocą. Przyglądała się towarzyszom z minionych lat i na jej ustach igrał lekki uśmiezek. Alan z wiekiem przytył w tali, ale nadal był urodziwym mężczyzną. Clym z Clough uklęknął obok Małego Johna, szturchnąwszy łokciem zniecierpliwionego Williama Cloudisely.

Naszły ją wspomnienia dzieciństwa, spędzonego z Robinem, kiedy dreptała za wujem po zielonych ścieżkach, łaknąca jego towarzystwa pomimo utyskiwania matki, zmartwionej, że zbuntowana córka przedkłada przygody ponad światowe nauki, które bardziej przystoją jedynej córce anglosaskiego rycerza.

Porzuciwszy wspomnienia, powróciła do rzeczywistości i spostrzegła nadeżdżających jeźdźców. Rozległy się gromkie okrzyki Normanów. Wśród splecionych drzew błysnęły obnażone miecze, zwiastujące pomstę i śmierć. Tam, gdzie zniknęli czterej fałszywi mnisi, ukazał się oddział żołnierzy w pełnym rynsztunku. Normañskie kusze szybko wypluły cały zapas strzał i stały się bezużyteczne. Groźniejsze okazały się ciężkie konie Normanów i umiejętność zadawania morderczych ciosów mieczem; śmiercionośne ostrza i kopyta skutecznie przerzedzały uciekinierów.

Kilku umknęło pomiędzy drzewa, inni co sił w nogach biegli drogą. Czterech leżało nieruchomo - poskręcane ciała w zielonych ubraniach i purpurowa krew, rozlewająca się wokół.

Jane instynktownie skryła się w ciemnej dziupli Dębu Kogucie Pióro. Serce waliło jej młotem, w ustach zaschło z przejęcia, gdy przerażona spoglądała na to, co się dzieje. Wpiła

palce w nieużyteczny już łuk. Strzały, z wyjątkiem dwóch ocalałych, leżały połamane i stratowane przez końskie kopyta.

Na tle zieleni drzew pojawił się czarny koń. Jane spostrzegła rękę żołnierza w kolczudze. Najpierw rozpoznała rumaka, potem jeźdźca. Straszliwe przecucie zmroziło jej krew w żyłach: Tre Devaux. Nie w Canterbury, nawet nie w Nottingham, lecz tu, na Edwinstowe Road, obrócił wniwecz jej nadzieje.

Rozpacz...

5

Związać ich!

Nie zsiadając z konia, Tre patrzył na skrwawionych mężczyzn, stojących nieruchomo na drodze. Podniecony walką wierzchowiec przesunął się bokiem w stronę porośniętą trawą pobocza drogi, dopóki jeździec nie wstrzymał go cierpliwą dłonią. Skrępowani mężczyźni spoglądali na niego wyzywającym wzrokiem. Uśmiechnął się.

- Prowadźcie ich do Nottingham - powiedział kpiącym tonem, celowo posługując się angielszczyzną. - Widząc ich, uczciwi mieszkańcy hrabstwa zastanowią się, czy warto brać przykład z rzezimieszków.

Jeden z pojmanych - ogromny mężczyzna o jasnych, sięgających ramion włosach - patrzył na Tre prowokującym wzrokiem.

- Uczciwi mieszkańcy hrabstwa mieli mnóstwo czasu, by wziąć pod rozwagę złodziejstwo Normanów. Uważaj, żebyś się na nich nie natknął na bagnach Sherwood, gdzie jeszcze nie pojawiły się kundle, które bardziej się troszczą o pieniądze niż o honor.

- Honor? Dziwne słowo w ustach kogoś, kto właśnie brał udział w grabieży. Lepiej zamilcz, Anglosasie.

To wystarczyło, by uciszyć zbója; niebieskie oczy posmutniały, ogromny mężczyzna zacisnął porośniętą rudawą brodą

szczęki. Pomimo spętania, promieniował wielką siłą. W krótkotrwałej walce zdążył rozłupać swój drag na normańskim hełmie, roztrzaskując nie tylko drewno. Rozpłątany czerep nie był jedynym obrażeniem, jakie ponieśli ludzie szeryfa. Kilku z nich miało rozkwaszone nosy i połamane kości, co było zaskakujące w tak błyskawicznej bijatyce, która skończyła się druzgoczącym zwycięstwem Normanów.

Większość przeciwników zbiegła lub zginęła; pozostali tylko ci trzej żywi, teraz już spętani, rabusie oraz czterech martwych - dobra robota.

Przybliżył się Guy.

- Łapiemy pozostałych? - spytał z krnąbrnym wyrazem twarzy.

- W tych lasach to daremne. Rozpierzchli się jak łasice. Teraz są już w pół drogi do Cuckney.

- Wioska nazwana na cześć króla, jak mniemam, jako że Jan lubi przyprawiać mężom rogi.

W oddali przetoczył się grzmot, zapowiadając ulewę.

Tre skierował swego wierzchowca ku wielkiemu drzewu po drugiej stronie drogi. Odwrócił się i rzucił przez ramię:

- Każdego roku w październiku nadal urządzają Horn Fair na cześć króla i rogaczy.

Dobiegł go śmiech Guya. Tre zsiadł z konia pod rozłożystą koroną największego drzewa, jakie widział w życiu, liściastego olbrzyma, który jeszcze bardziej zasługiwał na miano giganta niż pojmany niebieskooki zbój.

Czekała go długa droga powrotna, a miał pełny pęcherz.

Jan. Plama na rodzaju ludzkim. Gdyby natura dobrze spełniła swoje zadanie, król przyszedłby na świat martwy.

Tre stanął obok pnia, uniósł skraj tuniki, by rozwiązać troki przytrzymujące trykoty. Nogi grzęzły mu w próchniejących szczątkach liści, kory i gałązek.

Na opadłych liściach zarysował się mokry wzór, świadczący o tym, jak bardzo był przepełniony jego pęcherz.

Od czasu gdy został mianowany szeryfem Nottinghamshire, upłynęły dwa miesiące, dwa miesiące nieustannego nękania przez króla, żądającego coraz więcej ludzi i pieniędzy, podczas gdy poddani i tak uginali się pod ciężarem podatków i grabieży. Jednak złożył przysięgę. Nie miał wyboru, podobnie jak mieszkańcy hrabstwa Nottingham, choć nie uwierzyłyby w to żaden z nich.

Z zamyślenia wyrwał go cichy dźwięk; Tre uniósł wzrok, lecz nie zdążył się odwrócić, gdy poczuł na gardle chłód stali. Instykt walki podpowiadał natychmiastowe odparowanie ciosu, ale zdrowy rozsądek zwyciężył. Tre nie miał na głowie hełmu, bo przebrany był za mnicha. Skórzana kolczuga okrywała go od szyi po kolana, co nie dawało ochrony przed żelaznym grotem strzały, przytkniętym do odsłoniętego gardła.

Nieświadom niebezpieczeństwa pęcherz nadal się opróżniał.

Spod przepaścistego kaptura dobiegł go lekko kpiący głos:

- Jako że nie mam zamiaru przerywać panu, lordzie szeryfie, muszę zażądać, by uwolnił pan moich ludzi.

Tre odchrząknął; stalowy grot poruszył się lekko, a potem wzmógł ucisk, ograniczając odpowiedź do prostego:

- Nie.

Stal grotu naparła mocniej. Kątem oka dostrzegł ciemną postać i kaptur.

- Owszem, uwolnisz albo doigrasz się dziury w gardle.

Wreszcie opróżnił pęcherz. Że też musiało się to zdarzyć w takiej chwili...

Poczuwszy się lepiej, skoncentrował się na brzmieniu głosu tajemniczego łuczника. Słowa wypowiedziane zostały w anglosaskiej angielszczyźnie, nie w szorstkim dialekcie chłopów i rozbójników. Łagodne brzmienie. Anglosaski młodzieniec z dobrej rodziny, być może przesiąknięty nienawiścią do wszystkiego co normańskie.

- Opuść łuk, młodzieńcze - powiedział spokojnie. - Zostaw mnie i oddal się, a ja nie będę cię ścigać.

Można by się spodziewać, że jego rozsądna propozycja zostanie przyjęta: w odległości zaledwie pięćdziesięciu stóp znajdowało się dwudziestu kilku normańskich żołnierzy i jeden znamienity rycerz. Ocenivszy sytuację, łucznik powinien inteligentnie się wycofać, nawet jeśli był anglosaskim młodzikiem.

Ku zdumieniu Tre, ostry grot strzały zagłębił się mocniej w jego skórę, a nawet jąprzeciął. Poczł ciepłą ciecz spływającą po szyi. Zacisnął szczęki. Młodzieniec znajdował się poza jego zasięgiem. Nikt nie był w stanie wstrzymać wypuszczonej strzały.

- Zawołaj do nich. Powiedz, żeby uwolnili schwytyanych. - Dotarł do niego stanowczy, dziwnie znajomy głos spod kap-tura. - *Niemam nic do stracenia. Jeśli odmówisz, uśmiercę cię.*

To prawda. Została przelana krew. Tre nie miał zamiaru pozwolić, by zuchwały łucznik umknął. Milczący i nieruchomy, rozważał możliwości. Uniknięcie strzały było niemożliwe; przesyje go, zanim zdąży się obejrzeć. Widział żołnierzy z przestrzeloną na wylot zbroją i skórzaną kolczugą - strzały weszły w nie jak w wilgotny chleb. Angielscy łuczniczy słynełi ze skuteczności.

Nawet w stosunku do konnych normańskich rycerzy.

- Po pięknie mówiącym Angliku spodziewałem się więcej rozsądku - powiedział, by zyskać na czasie. Oceniał odległość, planując błyskawiczny zwrot i unik w bok...

Poczł napominający ucisk strzały na gardle.

- Nie odpowiadam za to, czego się spodziewasz, lordzie szeryfie.

Ten ton, te słowa. To niemożliwe.

Jednak zdanie było to samo, dobrze pamiętane przez ostatnie dwa miesiące, tak jak inne słowa, które Jane wypowiedziała owego pierwszego wieczoru w Nottingham. Ale to niemożliwe. Córka rycerza, wdowa po normandzkim baronie... ubrana w jasnozieloną tkaninę wyrabianą w Lincoln, z determinacją wbijająca strzałę w jego gardło.

Nadal mam jej opończę; bezsensownie przemknęło mu przez myśl.

Ostrożnie wypuścił z dłoni dół tuniki, aby okryć pachwinę i rozsznurowane trykoty. Strzała naparła mocniej.

- Czas ucieka, lordzie szeryfie. Czas bystry jak strzała.

Zawarta w tych słowach pełna ironii pogrożka nie uszła jego uwagi. I wtedy podjął decyzję. Słyszał głosy Guya i żołnierzy, zbyt przejętych własnym zwycięstwem i myślami o czekającym ich poczęstunku zakrapianym piwem, by zauważyć, że do nich nie dołączył. Gdyby podnieśli wzrok, ujrzeliby pasącego się rumaka, który przesłaniał swego jeźdźca i jego niespodziewanego towarzysza.

- Zmniejsz nacisk, abym mógł zawołać - powiedział i wy-czuł wahanie zakapturzonej postaci. Wiedział, że rozważa, czy może mu zaufać. Mógłby jej powiedzieć, że nie należy.

Nie odezwał się jednak i gdy wreszcie lekko się cofnęła, zawołał do Guya:

- Uwolnijcie pojmanych!

Odpowiedział mu okrzyk zdumienia i protestu.

- Czy dobrze cię zrozumiałem?

- Usłyszałeś rozkaz, by uwolnić pojmanych! Wykonaj go bez zwłoki!

Był to ton nie znoszący sprzeciwu. Ton, jakim nauczył się wydawać rozkazy od swego ojca oraz setek innych mężczyzn nawykłych do władzy. Ton wymagający natychmiastowego posłuszeństwa.

Tre czekał. Świadom jej obecności, zdał sobie sprawę z tego, czego przedtem nie zauważył: z nikłej woni mięty, którą niósł wilgotny powiew. Ta woń również była znajoma. Poczul ją w zimie, gdy inne ubiory i ciała domagały się mycia i prania. Ona pachniała miętą, którą przesiąkała jej opończa. Okrycie wisiało na żerdzi w jego prywatnym apartamencie, czekając na zwrot właścicielce, ale królewskie polecenia wciąż stawały mu na przeszkodzie.

Może teraz nadszedł czas, by ją zwrócić.

Stał nieruchomy i milczący, przyglądając się uwolnionym rozbójnikom. Słyszał ich pełen zachwytu śmiech, a potem głośne gwizdy, gdy się zorientowali, że został zaskoczony podczas oddawania moczu. Bez wątpienia w Nottingham będzie głośno o tym, że szeryf olał szansę powieszenia rabusiów.

Rozległ się trzask gałązki, zadziwiająco suchej w wilgotnym lesie, i grot strzały opuścił jego szyję. Tre ani drgnął. Nie miał zamiaru chwycić uciekinierki.

Kiedy zbójcy odeszli, Guy zbliżył się do szeryfa, który wiązał troki u trykotów.

- Boże miłosierny, musiałeś mieć nie lada powód, by kazać puścić ich wolno!

- Tak - odparł sucho. - Wolę mieć tylko jedną dziurę w gardle.

- Szkoda. Mieliszmy ich w garści.

- Znalazłem się w bardzo podobnej sytuacji. Wbrew swej woli - odparł Tre.

Guy ochłonał z gniewu. Jego usta rozciągnął szeroki uśmiech.

- Obawiam się, że sprawa stanie się głośna.

- Nie mam co do tego wątpliwości. - Tre podszedł do rumaka, pogładził go po lśniąącym zadzie i wskoczył na siodło. - Możemy to obrócić na naszą korzyść.

- Ach. - Guy spojrział na niego z nagłym zrozumieniem. - Pojmuję. Zanim minie tydzień, ich nazwiska będą znane wszystkim w Nottingham. Zbóje nie odmówią sobie przyjemności i pochwałą się, kto uciekł, a kto przyłożył ci strzałę do gardła.

- Właśnie. - Tre skinął głową. - Poznamy nazwiska olbrzyma i pozostałych, ale nie sądzę, byśmy usłyszeli nazwisko najbezpieczniejszego bandyty.

- Nie? - Guy podążył piechotą za Tre. - Taki z niego skromniś? To nie w stylu zbójników. Wygląda na to, że wołą się przechwalać wyimaginowanymi sukcesami. - Podszedł do swego wierzchowca i ujął cugle. - Założę się, że nie masz

racji. Ten zuchwały rabuś roztrąbi swój wyczyn, jak Anglia długa i szeroka.

Tre wiedział, że to niemożliwe.

Gdy wjechali na drogę wiodącą do Edwinstowe, znów zaczęło padać i ulewa zmieniła błotnisty trakt w prawdziwe bagno. Nieszczęśni, przemoknięci do suchej nitki, pomimo kolczug i tunik, sponiewierani Normanowie jechali w milczeniu, uwożąc swoich rannych oraz odbitą zbójcom skrzynię, która posłużyła za przynętę.

Z hełmu Guya spływała woda. Łypnął spod przyłbicy jasnoniebieskimi oczami.

- Jak zamierzasz ich złapać następnym razem?

- Myślę - odparł Tre cicho - że powinniśmy ich zwabić do nas.

- I otoczyć?

- Coś w tym rodzaju. - Jechał, nie zważając na strumienie wody, spływające mu po twarzy. - Najpierw musimy zwrócić opończę damie.

Dwór Ravenshed usadowił się na obłym wzgórzu, które górowało ponad polami. Na horyzoncie, poniżej dworu, rysowała się linia lasu.

Z dworu biegła kręta wstęga drogi pociętej przez koleiny, wiodąca w stronę Wielkiego Traktu Królewskiego, antycznej drogi Rzymian, który prosto jak strzełił prowadził do Nottingham. Pogoda była wyjątkowo piękna; ciepłe słońce złociło łąki i szczyty drzew, odbijając się od hełmów w oddali. Normanowie zbliżali się szybkim krokiem.

Pierwszy spostrzegł ich Fiskin. Popędził do kuchni w tyle dworu, wrzeszcząc co sił w płucach:

- Milady! Nadchodzą!

Jane wyrzała przez kuchenne drzwi. Zadyszany i czerwony na twarzy, z rozchełstaną tuniką i zabłoconymi butami, przypominał perkoza.

- Kto nadchodzi, Fiskin?

Dobrze wiedziała kto. Spodziewała się ich. Zaciśnęła palce na gałązce suszonej mięty, którą trzymała w dłoni; drobne kawałeczki przyprószyły stół.

- Normanowie i sze-szeryf!

Jane wyspała pokruszoną miętę do miski i otrzepała palce.

- Uspokój się, Fiskin. Trzeba było wytrzeć buty. Dena zbeszta cię za to, że zabłociłeś jej świeżo wymytą podłogę.

Jane wzięła następną gałązkę mięty, która miała spocząć w skrzyniach z ubraniem i bielizną, by odpędzić mole i muchy. Mięta była twarda i sucha, ale nadal wonna.

- Co mamy robić, milady? - Z bladej twarzy usianej piegami spoglądały na nią szeroko otwarte oczy. Fiskin czekał na odpowiedź.

- Ugoszczę ich, gdy przybędą na dwór, ale nie mam zamiaru wybiegać im na spotkanie, jak jakaś wioskowa gęś. Przeprowadź Enid do kuchni. Powinna być przy matce.

Pozornie spokojna, Jane wyszła z kuchni i skierowała się na podwórze. Kamienne schody i chodniki oświetlało jaskrawe słońce; zmrużyła oczy.

Powinam być staranniej oddziana, jak przystoi pani na dworze.

Nieważne. Bo jakież strój byłby najodpowiedniejszy dla damy w drodze na własną egzekucję? Być może czysty kaftan i lniany czepiec. Czepiec - Jane uniosła dłoń, by przygładzić wzburzone włosy. Brak odpowiedniego nakrycia głowy stał się u niej zwyczajem. Wetknęła w warkocz trzymaną w dłoni gałązkę mięty i przygładziła przybrudzony przód bluzki. Nie ma czasu, by zmienić suknię. Powita przeznaczenie w poplamionym ubraniu, świadczącym o pracach domowych. Ironia, którą jej matka przyjęłaby z aprobatą...

Musi zachować zimną krew. Bezpieczeństwo - jeżeli w ogóle wchodziło w grę - zależało od jej postawy. I od kłamstwa. Nie wolno jej okazać poczucia winy. To by ją zniszczyło.

Jednakże planowanie było łatwiejsze niż wprowadzenie zamierzeń w czyn. Gdy Devaux zsiadł z konia przed zbudowanym z polnych kamieni dworem, drżące nogi odmówiły Jane posłuszeństwa.

On na pewno nie wie... Nie wie...

Skrzyżowała ramiona na piersi i czekała w otwartych drzwiach. Stanowiła zaporę. Uprzejmą, ale nie serdeczną.

Rysy ciemnej twarzy szeryfa nie zdradzały jego nastroju. Z odsłoniętą głową i w czarnej tunice, emanował siłą i zdecydowaniem. Poruszał się zwinnie, kilkoma susami pokonał dzielącą ich odległość i stanął przed płaskimi stopniami, wiodącymi do domu.

- Witam, lordzie szeryfie - powiedziała z chłodną uprzejmością, pomimo że strach plątał jej język. - Czemu zawdzięczamy ten honor?

Oparł niedbale stopę na najniższym stopniu i spojrzął na Jane. Spozrzęła intensywną zieleń jego oczu pod czarnymi brwiami.

- Opończy.

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc. Skinął ręką. Wysoki, jasnowłosy Norman wystąpił naprzód z przewieszonym przez ramię okryciem. Za nim kilkunastu mężczyzn w czarno-złoty barwach zsiadło z koni i poprowadziło je przez podwórze w stronę płytkiego rowu z wodą przy studni. Kopyta stukwały na kocich łbach. Promienie słońca lśniły na hełmach, kolczugach i broni, lecz nie docierały pod przyłbice.

Jane przyjrzała się ciemnoniebieskiej wełnianej opończy na ramieniu jasnowłosego Normana.

- Ach, tak - powiedziała, nagle ją rozpoznając. - Tak. Moja opończa. Jak to miło z pana strony, szeryfie, że przywiózł mi ją pan z tak daleka.

- Nie przyjechałem z tak daleka, aby okazać się miłym.

Harda odpowiedź wystraszyła jajeszce bardziej, lecz uśmiechnęła się, unosząc brew.

- Rozumiem. Jakakolwiek kieruje panem pobudka, cieszę się z odzyskania opończy.

I wyciągnęła po nią rękę. Jasnowłosy Norman zawahał się, ale Devaux skinął dłonią i rycerz oddał okrycie właścicielce. Miał miłą powierzchowność. Jasne włosy, dłuższe niż u innych, sięgały ramion, otaczając twarz. Nieprzysłonięte przyłbicą piwne oczy spoglądały śmiało i z humorem. Spojrzął na Jane z nieukrywaną ciekawością.

- Do usług, milady.

Devaux zmienił pozycję, przybliżając się do progu. Jego buty lśniły.

- Pragnę z panią porozmawiać, milady. Sam na sam.

Serce Jane zabiło mocniej, lecz zdołała się uśmiechnąć i pokręcić głową.

- Obawiam się, że przybywa pan w bardzo nieodpowiednim czasie, lordzie szeryfie. Moje gospodarstwo nie jest przygotowane na goszczenie tak szacownej osobistości i...

- Nie rozumiała mnie pani, lady Neville. Nie jest to uprzejma prośba o spędzenie czasu w pani miłym towarzystwie.

Nie pozostawił jej wyboru. Odparła najspokojniej, jak potrafiła:

- Najmocniej przepraszam, lordzie. Nie zdawałam sobie sprawy, że przybył pan ze specjalną misją.

Nie odpowiedział. Brak wyjaśnień, po co przyjechał, trochę ją uspokoił. Zdając sobie sprawę, że postępuje za nią, weszła do domu. Kiedy jej wzrok przywykł do mroku, spostrzegła Dena, przyglądającą się jej od drzwi. Jej oczy były wielkie z przerażenia. Jane wydała jej polecenie:

- Dena, przynieś nam coś do picia.

- Tak, milady. - Dena przelotnie spojrzała na wysokiego Normana i spuściła oczy. Wiek i nadwaga sprawiały, że poruszała się niezręcznie. Wykonała dyg w stronę szeryfa i szybko odeszła.

Devaux milczał. Był pełen wdzięku i stanowczości. Węzeł w żołądku Jane zacisnął się mocniej; westchnęła głęboko, aby dodać sobie odwagi.

Weszli do holu.

Pobielone wapnem gipsowe ściany nabrały odcieni ochry w świetle wpadającym przez witrażowe okna. W połowie holu biegły dwie linie drewnianych słupów, podtrzymujących sufit. Jedną ścianę zajmowało nowe kamienne palenisko, nadzwyczaj efektywnie odprowadzające dym do komina.

Jane słyszała za sobą jego kroki na czystej plecionce z sitowia. Czuła go za sobą. Jego cicha obecność zdawała się wypełniać

cały hol. Onieśmielał ją. Zaciśnęła dłonie w pięści. Gdyby zechciał ją aresztować, byłaby bezsilna.

Obejrzała się. Devaux był przerażająco blisko. Światło, wpadające przez nieregularne prostokąty szybek, pozostawiło jego twarz w cieniu.

- Pachniesz miętą, pani.

Tego nie oczekiwała. Uwaga światowa i nieszkodliwa. Szukała odpowiedzi, która nie zabrzmiałaby głupio ani zbyt ostrożnie.

Gdy nic nie przyszło jej na myśl i milczenie stało się pełne napięcia, kącik warg Devaux nieco się unióśł. Nie był to uśmiech, raczej wyraz satysfakcji z jej zażenowania.

Zakłopotana, uniosła dłoń do szyi. Palce natrafiły na małe paciorki różańca, który założyła dziś rano. Chłodne kamyczki oznaczające wołanie o wybawienie; bezskuteczne błagania zdobiące jej szyję.

Devaux przyglądał się jej. Milczenie stało się nieznośne. Słowa kłębiły się w jej umyśle i grzęzły w zaciśniętym gardle.

On wie.

Lecz skąd? Czym się zdradziła?

Pragnęła się odezwać, przerwać ciężącą ciszę słowami obro-ny. Jednak nie była w stanie nic powiedzieć; język splątało poczucie winy.

Nie z powodu usiłowania kradzieży, lecz z powodu jego skutków. Czterech mężczyzn poniosło śmierć. Nawet nie zamykając oczu, widziała ich leżących na drodze, zielone kaftany przesiąknięte krwią. Perrin, Oswald, Adam, Wace. Najdzielniejsi z dzielnych.

Gdy umknęła z Johnem, Willem i Alanem, ginąc w kniei i pozostawiając na drodze zabitych, ich dusze odeszły w wieczność nie żegnane modlitwą. Tak, poczucie winy ciążyło jej, sprawiając, że nie mogła sprawnie myśleć.

- Modlisz się, milady?

Zaskoczona pokręciła głową.

- Nie, nie modłę się.

- Nie? - Wyciągnął rękę i zamknął dłoń na jej dłoni, ściskającej paciorki. - To przecież różaniec, czyż nie?

- Tak.

- O co się modlisz, milady? O ratunek? O umiar? O cierpliwość?

Wierzech jego dłoni musnął jej nagą skórę powyżej bluzki. Trzymał jej dłoń nieruchomo w twardej brązowej ręce o napiętych ścięgnach.

- Modłę się o wyrozumiałość, lordzie.

- Ach, o wyrozumiałość. Szlachetna modlitwa. - Pogładził ją palcem po zarysie policzka. - Niezaskakująca u kobiety o twoim, pani, charakterze.

Skryła wrażenie, jakie wywoływał jego dotyk.

- Rada bym się dowiedzieć, co jest w stanie pana zaskoczyć, sir.

Odstąpił w tył. Jego ręka opadła i Jane znowu mogła swobodnie oddychać.

- Mało jest rzeczy, które mogłyby mnie zadziwić. - Zamilkł. Po czym dodał ze zwodniczą prostotą: - Z wyjątkiem szaleństwa rozbójników.

A więc o to chodziło. Oskarżenie. Areszt. Egzekucja.

Jane popadła w rozpacz. Zadrzała.

- Czas ucieka, lordzie szeryfie - wybąkała słabym głosem.

- Właśnie. Czas mija, bystry jak strzała. - Ujął w dłoń paciorki różańca. Jego głos brzmiał łagodnie, lecz bezlitośnie: - Wczoraj na Edwinstowe Road zabito czterech mężczyzn. Wszyscy byli zbójcami.

- Życzysz sobie, bym się modliła za ich dusze, milordzie? Czy może opłaciłeś mszę za nich w kościele Mariackim?

Jest za blisko, za blisko... Nie mogę oddychać, czując dotyk jego dłoni.

- Dusze zbrodniarzy nic mnie nie obchodzą. - Patrzył na Jane płonącymi oczyma, zmuszając ją, by wytrzymała jego wzrok, chociaż wcale tego nie pragnęła. Zadrgał mu policzek. -

Mam na głowie ważniejsze sprawy - powiedział poważnie. - Trzech ludzi uniknęło wczoraj sprawiedliwości. Chcę ich dostać z powrotem.

Chcę ich. Po prostu chcę ich. Spodziewał się uległości. Spodziewał się, że ich odda w jego ręce.

- Być może oddadzą się w ręce sprawiedliwości, lordzie - powiedziała, gdy mogła zaufać swemu głosowi.

- Myślę, że się oddadzą. - Szarpnął za różaniec, aby przyciągnąć ją bliżej. Usłyszała łomot krwi w uszach. - Pani może ich do tego przekonać.

Czekał. Znow się spodziewał zgody z jej strony.

Była oburzona.

Rezygnacja, którą odczuwała jeszcze przed chwilą, minęła bez śladu. Furia dodała jej sił. Widząc, jak szeryf mruży oczy, zrozumiała, że zdał sobie z tego sprawę.

- Niech mnie pan puści, lordzie szeryfie- powiedziała gniewnym tonem.

Ku jej zdumieniu, otworzył dłoń i wypuścił różaniec.

- Wystrzegaj się popędliwości - odparł spokojnie. Jedyną oznaką jego niezadowolenia były zmrużone oczy.

- Rzadko bywam popędliwa. Zdarza się, że mój język jest czasami ostry, choć niektórzy uważają prawdę za niemłą. Tak właśnie jest teraz. Nie mam zamiaru przekonywać kogokolwiek, by się oddał w twoje ręce lub w ręce innego Normana, ponieważ uczyniwszy to, nie byłabym w stanie zmyć krwi z moich dłoni.

- A próbowałaś ją zmyć dzisiaj, milady? - Łagodnie, a jednocześnie brutalnie przypomnienie.

- Powiedz wprost, co masz na myśli, lordzie szeryfie. Ma pan dowód winy? Przyszedł mnie pan aresztować?

Dziwnie spokojna czekała na jego potwierdzenie. Patrzył na nią, a w kącikach ust igrał mu lekki uśmiezek.

- Nie, myślę, że nie - odparł w końcu.

7

Tre patrzył, jak na jej twarzy kolejno malują się różne emocje. Aresztując ją, niewiele by zyskał. Spodziewał się, że będzie bardziej... uległa. Lecz się przeliczył. Strach i niepokój, które odczuwała na początku, opuściły ją, zmieniając się w gniewny upór. I zdecydowany bunt.

Zaskoczony, dojrzał jej nowe oblicze, jakiego się nie spodziewał. Podziwiał kobietę, która miała dość odwagi, się by mu przeciwstawić. Zobaczył nie głupią przekorę, którą nic by nie wskórała, lecz pełne spokoju, inteligentne lekceważenie, zdradzające ogromną siłę charakteru. Była to cecha, którą częściej spotykał u mężczyzn niż u kobiet. Nigdy nie spotkał u kobiety, poprawił się.

Jednak nie był to powód, dla którego nie miał zamiaru jej aresztować. Mogła mu się jeszcze przydać. Znała zbójców. A co ważniejsze, oni znali ją. Nadejdzie czas, gdy zbóje i dama znów się spotkają. A dzięki temu on nie będzie się musiał uganiać za nimi po lesie, lecz zasadzi się w pobliżu damy. Przylecajak ćmy do ognia...

Spostrzegł, że poczuła ulgę, i rzekł z uśmiechem:

- Jesteś, pani, żoną barona, wdową po Normanie. W Londynie powstałoby zamieszanie, gdybym cię zaaresztował. Anglosasi uważają panią za swoją, a Normanowie wściekle bronią swoich praw.

To prawda. Potrzebował jej. Na wabia, podobnie jak poprzednio skrzyni. Jeżeli zbójnicy ze strachu nie złapią się na przynętę, przyjdą do niej ze względu na lojalność. Ale tę taktykę zostawi sobie na koniec, jeżeli wszystkie inne sposoby zawiodą.

Roześle patrole po całym hrabstwie, aby uśpić czujność zbójców, podczas gdy lady będzie pod nadzorem. Ukryje swoich ludzi w okolicznych lasach, aby ją szpiegowali i donosili o jej oszustwach. Szkoda, że jest zdradziecka.

Bo taka jest ładna, ta pani na Ravenshed. Jej uroda nie jest może konwencjonalna, bo Jane nie ma grzywy blond włosów, które są tak wysoko cenione, ani wyniosłej postawy, która mogłaby zakasować łabędzia. Lecz on nigdy nie podziwiał takich kobiet. Pozostawiał je poetom i bardom, rycerzom pieśni i rozrywki. To nie dla niego.

Dla niego liczyła się pełna skromności elegancja owej damy, która spoglądała na niego z godnością i odwagą. Damy o intensywnie niebieskich oczach pod delikatnymi skrzydłami brwi i o jasnobrazowych włosach, lśniących wokół twarzy o barwie kości słoniowej. Klasycznej. Wyrzeźbionej ręką mistrza. O czystej linii, której nie skaziło nieumiarkowane używanie życia. Tak: rzadka uroda; prawdziwy skarb, wart miłości, gdyby był do niej skłonny.

Ale Tre nie był. Już raz popełnił ten błąd i kochał zanadto, co niemal go zniszczyło. Nie miłość, lecz utrata jej obiektu... śmierć, która sprowadziła go na drogę zniszczenia, ruiny wszystkiego, co niegdyś cenił. Nie miał zamiaru znów popełniać tego błędu.

Jednak pragnął tej damy - jeśli nie po to, by ją kochać, to dla przyjemności. Zachował ją w pamięci; nieuchwytnie wspomnienia zarysu policzków, gładkich brwi, różowych ust, które przywodziły na myśl słodkie rozkosze.

Tak jak teraz.

Niewygodna żądza, natrętna i niedelikatna, która wzrasta,

by go zniszczyć. Zastanawiał się, czy ona pamięta szczegóły ich ostatniego spotkania, gdy stał z zadartą tuniką, a ona przyłożyła mu do gardła szpiczasty grot strzały. Niewiele rzeczy mogłoby pozostawić mężczyznę bardziej obnażonym i zawstydzonym.

Jego myśli przerwał jakiś dźwięk. To weszła stara służąca, ostrożnie niosąc srebrną tacę.

Jane obejrzała się, a na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi, kiedy gestem przywołała kobietę.

- Postaw to na stole, Dena. I przynieś nóż do sera, bo zostawiłam swój w kuchni.

- Jest pani bezbronna, milady? - powiedział kpiąco. - Od razu poczułem się bezpieczniejszy.

- To poważny błąd, lordzie. Wina?

Rzucił okiem na kielich, który uniosła.

- Jest bezpieczne czy powinienem przywołać kogoś, kto je najpierw spróbuje?

Jane z namysłem przytknęła kielich do ust i upiła łyk. Tre przeniósł wzrok na jej usta; lśniąca zęby, białe i proste, z wyjątkiem jednego, który był lekko skrzywiony. Ten brak doskonałości był w jakiś sposób wzruszający, czynił ją jeszcze bardziej ponętą. Tre zareagował szybko, bolesną erekcją.

Przez chwilę spoglądała na niego sponad brzegu kielicha, po czym podała mu go. Wino zwilżyło jej usta; kusząco lśniąca kropla rubinu na płatkach róży.

Przyjął kielich, mając ochotę na ofiarodawczynię, i uniosł go w dłoń, nie zważając na gwałtowny przypływ żądz. Lata życia w celibacie nauczyły go opanowania: błogosławieństwo i przekleństwo zarazem.

Jej wzrok był wyczekujący, zaciekawiony. Tre westchnął i podjął wątek rozmowy.

- Czy mam ukarać służącą, milady, gdy padniesz na podłogę z pianą na ustach?

- To się zdarza tylko wtedy, gdy trucizna jest szczególnie jadowita. - Zamilkała. - Lub gdy wino jest kwaśne.

Starąła się być dowcipna, co sądząc z wyrazu napięcia w jej oczach, nie przyszło jej łatwo. Tre nagroził jej starania uśmiechem, tym razem bardziej szczerym. Wypił łyk wina, potem drugi i spojrzął sponad srebrnego brzegu pucharu. Jane uniosła swój puchar w dwóch rękach. Miała smukłe, kształtne dłonie i palce. Nie drżały. Pragnął znowu zobaczyć, jak pije, jak rozchyła wargi, jak lśnią jej zęby. Pragnął zajrzeć w głąb zabronionego terytorium. Pragnął tego namiętnie.

- Słodkie - mruknął, a gdy uniosła brwi, dodał: - Takie, jak powinno być młode wino.

Przycisnęła puchar do ust; delikatne wargi rozchyliły się, by pić smakowity napój. Jej gardło drgało, kremowa skóra wabiła ponad prostokątnym dekoltem bluzki.

- Co pan teraz zrobi, lordzie?

Jej słowa rozproszyły błogie myśli, sprowadzając go do rzeczywistości. Miłe interludium było skończone.

- Aresztuję zbójców, gdy ich odnajdę. A już ja ich na pewno znajdę.

Popiła wina, grając na zwłokę. A potem niedbale wzruszyła jednym ramieniem.

- To nieuniknione. Otrzymałem od króla nakaz, by ich aresztować. Wykonam swoją powinność - dodał.

Zlizała językiem kroplę wina lśniąca na brzegu kielicha, co odwróciło uwagę Tre od tematu rozmowy. Roztargniony, nie od razu pojął sens jej odpowiedzi.

- Powiedziano mi, że nie cieszy się pan łaskami króla, milordzie.

- Jest pani błędnie poinformowana- odparł, czując pulsowanie w pachwinach.

- Ma pan ziemie na północy. Własną posiadłość. Jest pan baronem. Urząd szeryfa nie przynosi więcej niż opłaty od wasali i wyzwoleńców... jeśli nie jest pan taki jak ci, którzy wzbogacają własne skrzynie, krzywdząc mieszkańców hrabstwa i oszukując króla.

- Sugerowanie czegoś takiego byłoby głupie i niebezpieczne. Pani zuchwałość mnie zadziwia - powiedział Tre cicho.

- A mnie pańska, milordzie. - Jej policzki spłonęły rumieńcem, a oczy rozbłysły. - Nie szanuje pan ludzi swojej sfery i nie ma z tego powodu wyrzutów sumienia. Nie byłabym zdziwiona, gdyby ludzi niższych sfer traktował pan jeszcze gorzej.

Zrozumiał jej taktykę, próbowała odwrócić jego uwagę od zbójców.

- Jeśli o to chodzi, milady, należę do tych z niższej sfery. Moje ziemie są we władaniu króla. Lepiej będzie, gdy zrozumie pani, że niebawem znajdzie się w podobnych tarapatach.

- A więc to prawda. - Przyglądała mu się szeroko otwartymi oczyma, tak niebieskimi i głębokimi, jak jeziora wśród lasów. - Król pozbawił pana własności.

- Powiedzmy raczej, że przejął opiekę nad moimi dobrami do czasu, gdy załatwię sprawy w Nottingham. - Tre podszedł do stołu, by odstawić kielich. Palce mu zeszywniały od ściskania jego nóżki, więc je rozprostował. - I mam zamiar wywiązać się z tego jak najszybciej. Moja cierpliwość ma granice - dodał groźnie. - Podobnie jak moja szczodroliwość. Uwolniłem zbójników. Jeżeli oddadzą się w moje ręce, okażę im litość.

- To nie szczodroliwość sprawiła, że ich uwolniłeś, lordzie szeryfie - odparła Jane - lecz grot strzały utkwiony w twoim gardle. Ośmielam się stwierdzić, że twoja wersja odbiega od tej, którą słyszałam z ust innych.

- Możliwe. - Wymuszony uśmiech zamarł na jego wargach. Nadal jej pragnął. Wstrzemięźliwość nie zmniejszała potrzeb, podobnie jak zuchwałe przypomnienie mu jego pozycji. Lecz sytuacja się zmieni: nadejdzie dzień, gdy zostanie uwolniony od pełnienia znieprawdzonej służby u króla. Tre był cierpliwym człowiekiem, ponieważ takim być musiał, a nie dlatego, że takim być pragnął.

- Przestała mnie pani kąsać, milady? - zapytał, gdy nic nie odpowiedziała. Nadal milczała. - Wysłałem ludzi, by przeszukali posiadłość. Aby ustalić wysokość podatków, oczywiście. Proszę mi uczynić honor i odprowadzić mnie do wyjścia - dodał z uśmiechem.

Na jej twarzy pojawił się wyraz oburzenia i Tre nie miał jej tego za złe. Oburzające, że była tak niewłaściwie traktowana. Nie bardziej jednak niż to, że przystawiła mu strzałę do gardła, by uwolnić rabusiów, którzy znów będą zabijać i grabić. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy Jane była równie biegła w postępowaniu się łukiem, co w lekceważeniu prawa.

Położył dłoń na jej ramieniu, by ją poprowadzić. Gdy szli przez hol, miała usztywnione plecy. Dobrze, że przynajmniej zelżał ucisk w jego kroczu.

Minęli służącą Deneę, która wróciła, niosąc nóż do sera, i lękliwie spoglądała za nimi, aż zniknęli na podwórzu. Po mroku panującym we dworze oślepiło ich jaskrawe światło i Tre zmrużył oczy. Spozrzegł Guya, stojącego przy niskim murze, otaczającym mały ogród.

Guy pokręcił jasnawosą głową i wzruszył ramionami; nie znaleziono tam żadnych ukrywających się zbójników. Zresztą wcale ich się tam nie spodziewał.

- Prowadzę śledztwo, milady - powiedział i wyciągnął do niej troskliwą dłoń, gdy potknęła się na wystającym kocim łbie. - Pani zmarły mąż pozostawił większą posiadłość kuzynowi, także noszącemu imię Hugh. A te ziemie zostały przekazane pani, aby nie weszły w posiadanie korony. Jeżeli nie wyjdzie pani za mąż, Kościół otrzyma pani posiadłość w zamian za dożywocie.

- Znam testament męża - oparła chłodnym tonem. Po niedawnej pełnej żaru namiętności nie pozostało ani śladu. - Nie rozumiem, dlaczego to pana obchodzi.

- Przyszło mi do głowy, że znajduje się pani w wielkiej potrzebie, co mogłoby tłumaczyć, dlaczego posunęła się pani do kradzieży.

Westchnęła głośno. Obróciła się, by stawić mu czoło, a plecami oparła się o kamienny mur dworu.

- Jeżeli ma pan dowód mego współudziału, niech mnie pan aresztuje.

- Jezu, znów próba sił. Czy ja panią oskarżam?

- Nie wprost, lecz całym swoim zachowaniem.

Odważna kobieta, wystarczająco śmiała, by czyhać w kniei. Pierwsze wrażenie, jakie na nim wywarła, nie było zdominowane przez dwoistość jej charakteru. Złodziejstwo jest przymiotem każdej żywej istoty. Prawość wynika z osobistego kodu etycznego.

Jednak przyjemnie było pomyśleć, że jej celem nie były prywatne zyski, ale udzielenie źle pojętej pomocy tym, którzy jej potrzebowali. Dwór był nieco zaniedbany, lecz jego stan nie świadczył o ubóstwie. Ręka męża szybko doprowadziłaby go do porządku.

Zmarszczył brwi, a Jane uznała to za odpowiedź na jej uwagę.

- Zaprzeczasz, lordzie szeryfie?

Po chwili przypomniał sobie, co powiedziała, i szybko odparł:

- Oczywiście, że tak. Gdybym miał dowód winy, zaareztowałbym panią, milady. - Kłamstwo; konieczne, ale przy tej kobiecie dziwnie niezręczne. Czyżby uczciwość rodziła uczciwość?

Zaszczekał pies i uciszyła go ostra reprimenda w języku Normanów. Jane spojrzała na żołnierzy, czekających na szeryfa.

- Więc... - W jej tonie zabrzmiała niepewność i nadzieja.

- Więc przestrzegam panią przed okolicznymi zbójami. Jeżeli któryś z nich będzie widziany, wyślij, pani, do Nottingham umyślnego z wiadomością, w przeciwnym razie jej domostwo stanie się podejrzone. - Zamilkł, pozwalając, by groźba dotarła do niej, i poznał po szybkim błysku jej ocienionych rzęsami oczu, że tak się stało.

- Jeżeli któryś będzie widziany, wyślę umyślnego.

Skinął głową i znów spojrzał na budynek dworu. Wścibskie

promienie słońca wydobyły z mroku naderwaną okiennicę, kilka pękniętych kocich łbów, przerośnięte krzewy. Pnący się bluszcz porastał ściany aż po kryty strzechą dach i opadał kaskadą na frontowe drzwi. Obok rozciągał się ogród podzielony kamieniami na równe prostokąty; grządki mięty, bazylii, słodkiego kopru i rozmarynu falowały w lekkich powiewach wiatru.

Doszedł go lekki zapach: to ona pachniała świeżą miętą. Westchnął, głęboko wciągając wonne powietrze. Ciepłe promienie słońca grzały mu twarz. Prawdziwa ulga po wielu deszczowych, szarych dniach, które sprawiały, że ręce mu sztywniały, a w boku odzywała się rana.

Wyprostował palce, pozwalając, by przyjemna chwila trwała dłużej. Bo przyjemnie było stać w słońcu; takie momenty wytchnienia zdarzały mu się rzadko. Docierające do niego swojskie dźwięki: świergot kurcząt i pobekiwanie owiec, słodka woń mięty oraz bliskość kobiety były dziwnie kojące.

- Ciepły łój złagodzi sztywność, lordzie.

Zaskoczony, uniósł głowę.

- Łój?

- Próbowałam tego. Stary sposób. Trzeba zanurzyć dłonie w ciepłym łoju, ale niezbyt gorącym. Potrzymać je tylko chwilę. Kiedy ostygną, zdjąć łój i dłonie pozbędą się sztywności.

- Naprawdę?

Odurzony przez słoneczne ciepło i spokojną domową atmosferę, ujął jej dłoń w swoją i usłyszał, jak Jane wstrzymała oddech, gdy pogładził ją kciukiem. Długie palce, kształtne paznokcie; ślady zgrubiałej skóry, świadczące o pracy. Pomyślał o sile koniecznej, by naciągnąć cięciwę łuku, o jej dłoniach zakładających strzałę i uśmiechnął się pod nosem.

- Kłamlive... delikatne rączki. Niemożliwe, by zaznały sztywności, milady.

Poczuła się dotkliwie upokorzona. Jej dłoń spoczywała jak biała gołębnica na jego ciemnej ręce pokrytej odciskami, powstałymi po latach posługiwania się mieczem. Nie dla niego

kupione ostrogi i tytuł rycerza, został pasowany na rycerza w bitwie, gdy miał dwadzieścia lat. Przez dalsze trzynaście lat rzadko zdarzały się dni, kiedy nie trzymał broni w rękach.

- Mój mąż... Hugh. Często bolały go ręce.

Nacisnął jej skórę kciukiem. Pomyślał o jej zaślubinach; przypomniał sobie słowa smutku o stracie męża. Ile to już lat, odkąd umarł? Rok? Na próżno starał się przywołać wspomnienia o Hugh de Neville. Dobrze znał go ze słyszenia, spotykał go od czasu do czasu, dawno temu.

Ale zapamięta wdowę po nim... zapamiętał wiele szczegółów po tym, jak spotkał ją owego dnia w Nottingham.

Uwiódł go zapach mięty; od tamtej pory, zawsze gdy go poczuje, będzie musiał pomyśleć o Jane.

Nadal trzymał jej dłoń. Ulegając chęci zbliżenia się do niej, pogłaskał wierzchem palców zarys policzka Jane, delikatnego jak płatek róży. Nie odsunęła się.

Brazowe rzęsy zadrżały nad głębokimi, niebieskimi oczyma; usta rozchyliły się lekko.

Uniósł jej dłoń do ust, dworny gest, który w stosunku do niej był bardzo uwodzicielski. Musnął wargami wierzch jej palców. Usłyszał lekkie westchnienie i odwrócił dłoń wnętrzem do góry. Poduszcзки kciuka i palców były szorstkie; być może nie przywykły do naciągania cięciwy. Pośrodku dłoni miała pęcherz. Podniósł wzrok na jej twarz, uchwycił przelotny wyraz poczucia winy. Przycisnął usta do jej dłoni, wytrzymując spojrzenie.

Woń mięty wypełniła mu nos i usta. Odnalazł delikatne niebieskie żyłki na bladej skórze nadgarstka. Rękaw jej bluzy załaskotał go w policzek. Wyobraził sobie Jane naga; skóra barwy kości słoniowej, jędrna i ciepła pod jego dłońmi. Pogłaskał kciukiem nadgarstek, pozostawiając czerwony ślad.

Patrzył, jak znika niczym wędnący kwiat. Napięcie narastało, bolesne; powrócił głód, tym razem silniejszy, palący. Gdyby uległ, zniszczyłaby go.

Gwałtownie wypuścił jej dłoń.

Przypadkowy powiew wiatru zdmuchnął pasmo jej jasnobrazowych włosów na twarz, gdzie splątały się z rzęsami. Uniosła dłoń, by je odgarnąć; wdzięczny ruch ramienia i nadgarstka, wymowny i niebezpieczny.

Znowu zaszczekał pies, rozległy się okrzyki Normanów i Anglosasów. Napięcie minęło, czar prysnął. Tre był uwolniony.

Westchnął głęboko i rzekł zwięźle:

- Milady. - Po czym odwrócił się na pięcie.

Wielkimi krokami podszedł do swego wierzchowca i dosiadł go, podczas gdy żołnierze w pośpiechu wskakiwali na siodła. Opuścili Ravenshed z głośnym stukotem kopyt na kamieniach. Minęli lady Neville, stojącą na podwórku nieruchomo i z szeroko otwartymi oczyma.

Przejechali pod łukiem bramy i po drewnianym moście, przerzuconym przez wąską fosę, po czym szeryf, z ponurą rezygnacją, skierował rumaka w stronę Nottingham. Przyjechał tu, aby karać, a sam wracał ukarany. Nie miał zamiaru tego powtarzać.

8

Gdy dojechali do znacznie szerszego Wielkiego Traktu Królewskiego, ruszyli spokojnym chodem, aby przebyć prawie dwanaście mil do Nottingham. Jechali w milczeniu, maconym tylko przez stłumiony tętent na wilgotnej ziemi.

Guy przyśpieszył swego konia, by dogonić ogromnego czarnego rumaka Tre.

- Ravenshed to ładna posiadłość. Wygląda na to, że nieźle prosperuje.

Tre niedbale wzruszył ramieniem i odparł, nie zdradzając zainteresowania:

- To prawda.

Nękanie ciekawością Guy znalazł inny temat rozmowy, który mógłby rzucić światło na powód dzisiejszej eskapady.

- Ani śladu zbójów. Szukaliśmy bardzo dokładnie, przeczesaliśmy wszystko. Omal nie pogonił mnie rozeźlony kogut i rozgniewana maciora. Przetrzęsaliśmy nawet stóg siana, na próżno. Czego się dowiedziałeś od damy?

- Nie pojechałem tam, by się od niej czegokolwiek dowiedzieć. To było ostrzeżenie.

Guy zamilkł. Począł, aż wysforują się do przodu, i rzekł:

- Jesteś pewien, że to lady Neville przyłożyła ci grot strzały

do szyi? Nie wygląda na taką, która ma dość siły, by naciągnąć wielki łuk, choć bez wątpienia jest wystarczająco krewka.

- Dama może wprowadzić w błąd - powiedział Tre z krzywym uśmieszkiem. Zamilkł, po czym dodał: - Możliwe, że bardziej odpowiedni byłby dla niej lżejszy łuk.

Guy roześmiał się cicho. Trudno było sobie wyobrazić elegancką damę z jakimkolwiek łukiem. Dobry łucznik naciąga ciężki łuk z łatwością, ale dopiero po latach praktyki. Czy może tego dokonać szczupła dama?

Ale nic nie powiedział. Wywołałby tylko ironiczne uniesienie brwi lub zgryźliwą uwagę, a wcale ich nie potrzebował. Był przyjemny słoneczny dzień po wielu dniach szarówki, która zwykle zasnuwa angielskie niebo. Guy wolałby miłą pogawędkę o wdziękach niewieścich, zamiast bezowocnego milczenia.

Jednak widział, że Tre ucałował dłoń lady Neville, a to było coś warte. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział barona z Brayeton równie uprzejmego wobec damy. Całowanie w rękę nie było gestem, który baronowi Devaux przychodził z łatwością.

Mając do czynienia z kobietami, najczęściej bywał zniecierpliwiony lub pogardzał nimi, albo i jedno, i drugie. Kiedy potrzebował kobiety, po prostu ją sobie brał, ale robił to od niechcenia. Wesołość i łagodność stały mu się całkowicie obce. Człowiek, którego Guy znał przed laty, odszedł, a na jego miejscu pojawił się ktoś zupełnie inny: mężczyzna, który nie nadawał imienia swemu koniowi ani psu, bo mógł je stracić. Tre Devaux zamknął się w sobie, pozostawiając wszystkich na zewnątrz.

Zatrzymali się niedaleko Papplewick, przy dużej zagrodzie położonej obok drogi, bo jeden z ludzi poskarżył się, że jego koń kuleje. Niewielki gaj kusił chłodem i wabił, by wytchnąć. Podczas gdy jeździec wyjmował z podkutego kopyta skalny odłamek, inni zsiadli, aby zanurzyć czerpak w wiadrze z wodą. Za prostymi zabudowaniami było skubało lub przeżuwało

trawę na rozległej łące; pies poszcze kiwał leniwie, a potem zamilkł rozczarowany, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Właściciel tego średniego gospodarstwa wyszedł z zagrody i powitał ich uprzejmie, choć ze zdenerwowaniem.

- Mam świeże mleko, lordzie szeryfie - zaproponował w anglosaskiej mowie. - Jeżeli chcecie spróbować.

Tre nie skorzystał, Guy skwapliwie przyjął zaproszenie i poszedł za farmerem do małej szopy. Kurczęta wydziobywały robaki z pyłu, gda kając z irytacją, że im się przeszkadza. Pośród ptactwa stała młoda bosonoga dziewczyna z misą pełną ziarna, spoglądając na Normanów z podziwem i ze strachem.

Sceneria podobna do znanej z dworu lady Neville, lecz w mniejszej skali. Nie była to rozległa posiadłość z fosą i murami, tylko mała działka z chatami krytymi strzechą, rozrzuconymi wokół nierównego kręgu, jak paciorki z rozrwanego różańca.

Guy bez pośpiechu popijał mleko z drewnianego kubka, zastanawiając się nad urokami wiejskiego życia i podziwiając czerstwą dziewczę z płowymi lokami i świeżą twarzą. Wiał łagodny wietrzyk, niosący mieszaninę zapachów bydła, trawy, słodkiej woni kwitnących drzew owocowych. Dym z komina chaty dodawał temu koktajlowi pikanterii.

Rozległy się dziecięce głosy i Guy uniósł głowę.

Niedaleko bawili się dwaj mali chłopcy, ubrani w grube tuniki i utyłani w pyłe. Okładali się kijami, które z pewnością odgrywały rolę mieczy. Guy się uśmiechnął. Przypomniał sobie, że tak samo bawił się, gdy był mały, zanim ukończył siedem lat i został wysłany na wychowanie do tego samego zamku, do którego wysłano Tre Devaux. Chłopcy wyglądali jak oni obaj dwadzieścia pięć lat temu, gdy życie stanowiło nowość, a Anglia cieszyła się spokojem pod panowaniem Henryka II.

- Nie chcę - skarżył się jeden z chłopców. - Ja zawsze mam być Normanem? Teraz moja kolej...

- Nie umiesz dość dobrze strzelać z łuku, Wat - przerwał mu drugi chłopiec. Miał mały, niewygładzony łuk i cienkie patyczki, w których Guy domyślił się strzał. - Aby być Robin Hoodem, trzeba być najlepszym.

- Ale już mam dość bycia szeryfem! - krzyknął pierwszy, wojowniczo wsparłszy ręce na biodrach, i zadarł głowę, nie wypuszczając z dłoni drewnianego miecza. - Robin zawsze go zabija. Teraz ja chcę być Robin Hoodem. Robin jest szlachetny i odważny, jest najsłynniejszym rozbójnikiem. Wszyscy wiedzą, że szeryf Nottingham jest tchórzliwy jak mysz...

Jak na komendę, dziewczyna i jej ojciec krzyknęli, by chłopcy natychmiast zamilkli. Chłopcy spojrzeli na ojca. Kiedy spostrzegli Guya, na ich okrągłych twarzach odmalował się wyraz nagłego przerażenia. Upuścili swoje drewniane miecze. Guy rozejrzał się dookoła, chociaż dobrze wiedział, kto za nim stanął.

- Wypiłbym kubek mleka, gospodarzu - powiedział Tre spokojnie. Gdy farmer podał mu je drżącymi rękami, rozlewając biały płyn, Tre uniósł brwi. - Twoi synowie ładnie się bawią.

- Lordzie szeryfie... to tylko dzieci, które bezmyślnie potwarzają zasłyszane bujdy.

- Wydaje mi się, że stoję tutaj aż nadto żywy.

- Klnę się na Boga, lordzie szeryfie, oni nie mieli na myśli pana, lecz poprzedniego szeryfa. To było wiele lat temu, gdy król Jan był jeszcze księciem. A zresztą to tylko legenda. Bajka...

- Bajka o słynnym rozbójniku, który zabił szeryfa?

Tre sceptycznie zmarszczył brwi. Guy rozpoznał błysk w jego oczach.

- Słynny, a ja nigdy o nim nie słyszałem. Czy jest to wielki mężczyzna, przewyższający wszystkich wzrostem? Szeroki w barach i z jasnymi włosami, biegle władający drakiem?

- Nie, lordzie szeryfie, to chyba Mały John. To jest, lub raczej był, jeden z ludzi drużyny Robina. Ale to tylko bajki, milordzie. Nie obwiniajcie moich chłopaków za to, że są dziećmi. Oni się bawią; to wszystko, zwyczajna zabawa.

Tre sączył mleko z kubka.

- Zwyczajna dziecinna zabawa, tak, ale są tacy, co się bawią w bardziej niebezpieczny sposób. Oto zapłata za twoje mleko, farmerze.

Drżąca dłoń przyjęła monetę, lecz z pomarszczonej twarzy gospodarza nie zniknął wyraz napięcia. Guy zdawał sobie z tego sprawę, widział strach w oczach dziewczyny i bawiło go to.

- Dziecinna zabawa - powiedział, zwracając się do Tre, gdy wrócili do koni. - Czego uczy zabawa, sławiąca zbója ponad szeryfa?

Tre zwrócił się do jednego z żołnierzy.

- Słyszałeś o rozbójniku zwanym Robin Hood, Oliverze? Lub o innym, zwanym Mały John?

George Oliver, kapitan straży, skinął głową.

- Tak, milordzie, słyszałem. Słyszałem o obydwóch, chociaż minęło sporo lat od czasu, gdy ktokolwiek widział Robin Hooda. Niektórzy powiadają, że nie żyje, inni...

- Co mówią inni? - zachęcił go Tre, gdy Oliver nagle umilkł.

- Inni - dokończył Oliver - mówią, że czeka, aż nadejdzie czas, by powrócić.

- Powrócić... jako rozbójnik?

- To tylko bajka, lordzie. Słyszałem ją, będąc młodzieńcem, chociaż nigdy nie widziałem Robin Hooda na własne oczy, podobnie jak nie widziałem Małego Johna. - Umilkł. Na jego szczerzej twarzy i w inteligentnych oczach odmalowało się powątpiewanie. - Gdybym miał wskazać Małego Johna, powiedziałbym, że to ten olbrzym, któregośmy pojмали przy Dębie Kogucie Pióro.

Gdy dosiedli koni, Oliver podjechał do szeryfa.

- Przyszło mi do głowy, milordzie, że najlepiej spytać lady Neville.

- Lady Neville?

- Tak, lordzie szeryfie. Ona będzie znała prawdę.

- Jakaż to ma być prawda, skoro to tylko bajdy dla naiwnych, kapitanie Oliver?

- To nie tylko bajdy, że uśmiercono Guya z Gisbourne i Hugh Bardulfa, który był szeryfem, milordzie. To było piętnaście lat temu lub dawniej, ale pamiętam także inne bajki. Lady Neville zna prawdę.

- Dlaczego lady Neville miałyby znać prawdę?

- Jest siostrzenicą Robin Hooda.

Zapadło złowróżbne milczenie; ciemne oczy niewzruszenie wpatrywały się w Olivera.

- W takim razie zapytam ją, jaka jest prawda.

Kapitan skinął głową i zawrócił konia, by zrównać się ze strażami. Na twarzy Tre zadrżał mięsień, zdradzając napięcie. Guy przyglądał mu się z uwagą.

- Lady może znać prawdę, ale czy nam powie?

- Powie nam. - Tre pośpieszył konia. Spod kopyt wzbił się pył. - Nie ośmieli się mi odmówić.

Gdy dojeżdżali do Nottingham, minęli kilku żołnierzy poza służbą, zebranych na Rock Yard u stóp skały, na której wznosił się zamek. Popijali młode piwo marcowe z piwiarni i grali w kości. Większość z nich nosiła barwy szeryfa, lecz byli wśród nich żołnierze w purpurowo-żółtych opończach, stanowiących barwy Gaudeta. Był to grunt neutralny, chociaż ziemia należała do zamku, a prawa do ziemi miał klasztor Lenton.

Guy spojrzał na zebranych przed oberżą wbudowaną w skałę. Mnich w towarzystwie jednego z ludzi Gaudeta opuszczał lokal, nad którym wisiał szyld, obwieszający jego nazwę: Pod Pielgrzymem. Na twarzy konnych Normanów odmalował się wyraz oburzenia. Biorąc pod uwagę prześladowania króla wobec Kościoła, Anglosas i mnich byli mniej zaskoczeni.

Pokonawszy strome wzniesienie, na którym stał zamek, i przejechawszy przez strażnicę, Guy przerwał długotrwałe milczenie.

- Masz zamiar pojechać po lady Neville?

- Mam zamiar wysłać jej wiadomość. - Spojrzał z ukosa, by ostrzec towarzysza przed wścibskimi uszami, i Guy umilkł.

Zsiedli z koni na środkowym podwórku. Nadbiegli chłopcy stajenni, aby odprowadzić wierzchowce do stajni. Wchodząc do siedziby Tre, pozostawili za sobą gwar. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się, zatrzymując hałas i światło, zamykając ich w miłym półmroku, rozświetlonym przez świece.

Guy nalał wina do dwóch kielichów i jeden podał Tre.

- Jaką wiadomość pošlesz damie?

- Wiadomość, którą będzie musiała właściwie zinterpretować. - Tre wziął puchar, napił się i powiedział cicho: - Ma mi opowiedzieć wszystko, co wie o swoim wuju.

9

Szpiczasty półksiężyc wisiał nisko na ciemniejącym niebie, rozsiewając po polach przymgloną poświatę. Rozbrzmiewało brzęczenie owadów; od strony żywopłotu dobiegło sennie gruchanie turkawki. Lekkie podmuchy wiatru niosły słodką, odurzającą woń bijącą od drzew, porastających zielone zbocza, i dolatywały do ogrodowej ławki, na której siedziała Jane z zapomnianą robótką na podołku.

Z oddali docierały światła Nottingham, przesiane poprzez koronkę listowia, która zakrywała górującą nad miastem fortecę. W pogodne zimowe noce zamek był z Ravenshed doskonale widoczny. Największą zaletą dworu było jego usytuowanie na wzgórzu, z którego roztaczał się szeroki widok na okolicę, dzięki czemu żaden jeździec nie mógł przybyć niezauważony. Nocą bezpieczeństwo obiecywały światła pochodni, płonących za kamiennymi murami.

Lecz ostatnio niebezpieczeństwo stanowiło rzadkość. Jane zacisnęła dłonie na wpół zacerowanym okryciu; westchnęła głęboko, wciągając powietrze o smaku dymu i nocy. W ciągu tygodnia, który nastąpił po wizycie Devaux w Ravenshed, pościg za zbiegłymi zbrojcami wzmógł się.

Ani słowa od nich od czasu zdarzeń przy Dębie Kogucie Pióro... Czy nic im nie jest, czy są bezpieczni?

Trudno było nie lękać się o los Małego Johna. Will Scarlett i inni z łatwością się ukryją; lecz dla mężczyzny wzrostu Johna będzie to prawie niemożliwe. Jane gorzko żałowała, że poprosiła go o pomoc. Byłoby o wiele lepiej, gdyby po prostu w tajemnicy dała pieniądze na kupno broni, której potrzebował Will Scarlett, a nie wciągała w sprawę mężczyzny, który dawno przestał być dysydem.

Jeżeli przytrafi mu się coś złego, stanie się tak z mojej winy, pomyślała.

Gorzka to prawda zdawać sobie sprawę, że John może przez nią stracić życie albo z trudem osiągnąć amnestię.

Łagodne, pełne spokoju, dobrze znane dźwięki zdawały się drwić z sytuacji. Noc była cicha, wiał lekki wietrzyk, przywołujący wspomnienia lepszych czasów. Jane pomyślała o rodzicach, którzy zmarli, gdy miała zaledwie trzynaście lat. Gorączka, gwałtowna i kapryśna, oszczędziła chudą, zbuntowaną dziewczynę, a zabrała krzepkich rodziców i dwóch zdrowych braci. Dzięki temu Jane dostała się pod opiekę króla; rok później następne zrządzenie losu sprawiło, że król zginął od zbłąkanej strzały podczas oblężenia zamku w Chalus.

A wraz ze śmiercią Ryszarda Lwie Serce umarło też serce i duch Robina...

Robin - ukochany wuj, hrabia wojownik - opuścił Anglię i pogrążoną w żalobie siostrzenicę, by wziąć udział w krucjacie za Ryszarda.

Bezużyteczna sprawa, szlachetna w zamierzeniu, nikczemna w istocie. Jane dotychczas nie otrząsnęła się z gniewu; mężczyźni wyruszyli, aby nigdy nie powrócić, nie dbając o to, co działo się z tymi, którzy ich kochali.

Jednak złość na minione czyny była czczą emocją. Nie przynosiła żadnych korzyści i tylko mąciła miłe wspomnienia. Temu uczuciu Jane nie powinna była ulegać, zwłaszcza że, prawdę powiedziawszy, następne lata okazały się dla niej łaskawsze, niż oczekiwała.

Hugh de Neville, wybrany dla niej przez króla Ryszarda, był troskliwym mężem, choć znacznie od niej starszym. Gdy się pobrali, Jane miała lat piętnaście, a on czterdzieści; lojalny rycerz normański i anglosaska dziewczyna, dawni wrogowie wpleceni w arras nadziei dla Anglii. To było w guście Ryszarda i dlatego podobało się Robinowi.

Jednak nikt nie słuchał, kiedy powiedziałam, że mnie się nie podoba, pomyślała; przypomniał jej się własny cichy, poirytowany głosik.

Jane nie mogła obwiniać wuja; był mocno związany z królem więzami miłości i honoru. I małżeństwo wyszło jej na dobre, ponieważ Hugh ją kochał, ona pokochała jego. Może Robin mimo wszystko miał rację. Ich małżeństwo połączyło dobra Blidworth, Ravenshed i Ashfield. Rozległe grunty, nawet teraz, gdy kuzyn Hugh odziedziczył Blidworth, wystarczająco duże, by po śmierci Hugh zwabić chętnych do żeniaczki baronów. Rok żałoby dobiegał końca, a wraz z nim czas na podjęcie decyzji: klasztor lub małżeństwo.

Nie pociągało jej ani jedno, ani drugie.

Wkrótce będzie musiała wybrać. Może Marian udzieli jej rady...

Czaaak! Czaak! Czak!

Nagle nocną ciszę przeciął dobrze znany sygnał, wrywając Jane z zamyślenia. Gdzieś obok zaszczekał pies i przyłączyły się do niego inne. Poczowała, że włosy jeżą jej się na karku; zastygła z rękami na podołku, igła do cerowania ukłuła ją w palec.

Z cienia wychynał Fiskin; pojawiła się jego twarz, blada i niewyraźna, jak pozbawiony ciała księżyc.

- Szybko, milady!
- Czy brama jest zawarta?
- Tak, zawarta i zaryglowana. Chodźmy.

Porzuciwszy cerowanie, ruszyła za Fiskinem. Poruszał się szybko, prawie biegł, więc uniosła rąbek spódnicy, by do-

trzymać mu kroku. Dyszała szybko; dobrze znała ścieżkę, która wiodła do sadu.

Jabłonie, śliwy i wiśnie słodko pachniały; ich gałęzie chłostały Jane po twarzy, aż musiała się schylić. Fiskin zatrzymał się przy tylnym murze, otaczającym dwór.

Z cienia wyłoniła się ciemna postać, ledwie widoczna w poświacie pochodni i księżyca.

- Milady...

- John! - Poczwała wielką ulgę. - Jesteś bezpieczny.

- Chwilowo - odpowiedział zmęczonym głosem. - Talbotowie depczą mi po piętach. Stale uciekam. Nie mam odwagi się zatrzymać.

Jane podeszła do niego i chwyciła go za rękę, chociaż starał się tego uniknąć. Dłonie Johna były wilgotne i lepkie. Serce Jane podskoczyło.

- Jesteś ranny?

- To nic takiego... psy. Ludzie szeryfa schwytali Rowana i Shandy'ego. Ja mam dołączyć do Willa i Alana. Ktoś nas zdradził. Z trudem umknęli.

- Fiskin, biegnij szybko po jedzenie. Powiedz, żeby Dena dodała maść i pasy czystego płótna. Ruszaj się, bo nie ma czasu.

Mały John łagodnie oswobodził dłonie. W jego tonie zabrzmiało ponure zadowolenie:

- Prawie mnie dostali w dolinie, ale jednego zabiłem, a dwóch raniłem... niech będą przekłeci. Od czasu, gdy mnie wytropili na wzgórzach powyżej opactwa Abbey, uciekam całutki dzień.

- To moja wina, że cię ścigają. Powinnaś cię była zostawić w Hatherstage, żebyś sobie żył spokojnie, i nie wpędzać cię w kłopoty.

- Milady - powiedział John miękko - jesteś dla mnie najśliczniejsza i najdroższa. Gdybym nie chciał pomóc Willowi Scarlett, wcale bym nie przyszedł. Poznałem ich dwadzieścia lat temu, gdy przystałem do Robina.

- Teraz jest inaczej. Nie ma z nami Robina.

Zapadło milczenie, nabrzmiałe smutkiem i rezygnacją. Obydwoje ciężko westchnęli. Mały John wykonał gest, jakby wzruszał ramionami, i zrozpaczony machnął ręką.

- Bodajby nigdy nie wyruszał na tę krucjatę. Nigdy się nie dowiemy, co mu się przytrafiło. Nie wie nawet lady Marian. Gdyby pozostał przy życiu...

Jane nic nie powiedziała. Obydwoje pograżyli się w smutku, który minął wraz z powrotem Fiskina.

Zadyszany, podał Jane ciężki skórzany miśszek.

- Chleb, ser, maść i płótno, milady. - Z trudem chwycił powietrze. - I pół pieczonego kurczaka.

John roześmiał się cicho.

- Dena dobrze mnie zna. Gdyby nie to, że jest już zamężna...

W oddali rozległo się ciche ujadanie i Jane objęła go spieszenie.

- Idź już. Słyszysz psy. Jeżeli cię zwęszą...

- Stracą trop, gdy przekroczę wodę. - John wziął skórzany worek. Jego oczy zaślniły w mroku. - Czy Brat Tuck nadal jest w opactwie Rufford?

- Był tam, kiedy ostatnio o nim słyszałam. Uciekaj już, Mały Johnnie, a ja będę się modliła, byś był bezpieczny.

- Koniecznie, milady, bo szeryf jest nieustrasliwy. W zeszłym tygodniu schwytał kilku łudzi. Przeszukuje wzgórza i doliny.

- I las.

John roześmiał się cicho.

- O, nie. Nie Sherwood. Las jest zbyt gęsty i szeryf o tym wie. Inni zbójcy, którzy żerują na niewinnych, uciekli do Lasu Złodziei. Będę rad, jeśli szeryf schwyta tę bandę, bo dewastują, co popadnie. Dlatego skryję się w grotach.

- Niech Jasna Paniienka ma cię w swojej opiece, Mały Johnnie.

Odszedł. Gdy jego liczące siedem stóp ciało lekko przesadziło mur, wiatr przyniósł ciche słowa pożegnania.

Jane czekała ukryta w mroku, lecz ujadanie psów się nie zbliżało. Słyszła znajome odgłosy nocy: pobekiwanie owiec,

szelest ptasich piór, postukiwanie końskich kopyt. Zapanował spokój.

Jane wróciła do ogrodu i przykłękała przy ławce, szukając porzuconej robótki. Leżała na zroszonej trawie. Westchnęła, otrzepując wilgoć z kaftana.

W odpowiedzi na odgłos trzepania rozległo się szczekanie psa, potem innego, wreszcie rozszczękały się wszystkie psy we dworze. Jane wstała, aby je uciszyć. Usłyszała przekleństwa Edwina i zawróciła. Dobiegł ją skowyt, zawroźnienie i znowu nastąpiła cisza.

Jane cicho się roześmiała. Odczuła ulgę zmieszaną z niepokojem o Johna; modliła się, by bezpiecznie dotarł do jaskiń. W ostępach Sherwoodu czekało zbawienie.

Wilgotny i zimny obrąbek spódnicy bił ją po kostkach. Uniosła suknię jedną dłonią i, przytrzymując robótkę drugą ręką, ruszyła poprzez trawę do domu.

Gdy się znalazła przy drzwiach, z mroku wyłonił się Fiskin. Zaskoczona, omal nie upuściła robótki.

- Musisz mnie tak straszyć, Fiskin? To bardzo niemiłe, gdy...

- Milady, zbliżają się jeźdźcy!

Pomiędzy jej łopatkami przebiegł dreszcz.

- Widziałeś ich?

- Edwin...

Nie potrzebowała dalszych zapewnień. Mąż Deny miał bystre oczy. Skinęła głową.

- Powiadom innych. I przyślij do mnie Edwina.

Fiskin jak zjawa rozpułynał się w ciemnościach. Nadszedł Edwin. Jego szeroka twarz wyrażała niepokój.

- To Normanowie, milady.

- Normanowie? - Węzeł w żołądku zacisnął się mocniej, lecz głos brzmiał spokojnie: - Zwołaj Ulrica i pozostałych, aby strzegli bramy. A ty sam wiesz, co robić.

- Tak, milady.

Ścigali Johna, oczywiście. Jane żałowała, że nie potrafi

kłamać. Ukrywanie prawdy przychodziło jej z trudem. Modliła się, by wśród Normanów nie było Devaux. Jego zimne oczy wyczytałyby każdą nieprawdę.

Było już późno; minęło wiele czasu, odkąd purpurowe cienie zgranatowiały. Wkrótce niebo pozostanie rozświetlone aż do północy. Lecz nie skończył się jeszcze pierwszy tydzień maja i ciemności zapadały przed kompleta.

Na podwórzu zebrali się Edwin i stajenni, uzbrojeni w kosy, widły i grube kije. Nawet Fiskin dzierżył broń.

Jane czekała we dworze. Sprawiała wrażenie opanowanej, lecz wewnątrz dygotała z niepokoju. Z kamiennych schodów, na których stała, widać było bramę. Była ona z grubych desek dębowych, dobrze osadzona na zawiasach i dokładnie zaryglowana. W końcu ulegnie intruzom, ale powstrzyma ich wystarczająco długo, by domownicy mogli się ukryć w razie potrzeby.

Rozległ się ciężki tętent kopyt na zwodzonym moście, a potem nocną ciszę zmacił łomot pięści o bramę. Psy wszczęły harmider i szybko zostały uciszone.

Fiskin drżącą ręką otworzył furtkę w bramie i zapytał kłótliwym tonem:

- Kto zacz?

Słyszac zwięzłą odpowiedź, stojąca na najwyższym stopniu Jane poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

- Lord szeryf Nottingham. Usuńcie się z drogi, kanalie, i rozewrzyjcie bramę. Szeryf został srodze ranny i potrzebuje pomocy.

Fiskin rozejrzał się dookoła. Jane skinęła głową i Edwin nakazał mu otworzyć bramę. Zgrzytnęła zasuwą. Brama stanęła otworem.

Żołnierze w lśniących zbrojach zapełnili podwórze. Zadrzewiały miecze i ostrogi, gdy kilku z nich zsiadało z koni. Jane wciągnęła haust powietrza i zacisnęła dłonie tak mocno, że palce stały się zimne i odrętwiały.

Rozpoznała sylwetkę Guya de Beauforta, jego jasne włosy na tle ciemnych postaci.

- Musi nas pani ugościć, łady Neville. - Jak poprzednio, nie była to prośba, lecz żądanie.

- Powiedział pan, że szeryf jest ranny, sir Guy.

Mężczyźni stanęli w świetle pochodni: Devaux zwiślał bezwładnie pomiędzy Guyem i innym żołnierzem.

- Tak, milady. A że byliśmy w pobliżu, przywieźliśmy go tutaj.

Nie mogła ich powstrzymać; nakazała wnieść Devaux do domu. Szeryf był na pół przytomny, jego głowa chwiała się z boku na bok.

- Tędy. - Jane wskazała strome, wąskie schody, wiodące do sypialni na piętrze.

Guy spojrział na stopnie i pokręcił głową.

- Nie ma jakiegoś miejsca bliżej? W tej zbroi waży co najmniej piętnaście kamieni, a ponieważ zwisa bezwładnie, wydaje się, że waży ze dwadzieścia.

- Wnieście go tutaj.

Weszli za nią do małego pomieszczenia w głębi domu, służącego za składzik. Dena pobiegła przodem i ułożyła na podłodze dywaniki i pościel, na którą ostrożnie opuszczono szeryfa.

- Gdzie jest rana? - Jane przyklękła obok i szybko sięgnęła do klamry pasa, podtrzymującego miecz. - Widzę, że głowa jest cała.

- Z boku. To stara rana, teraz na nowo otwarta. Nie z tej strony... Zdejmę mu zbroję, bo pani tylko pogorszy sprawę.

Jane uniosła brwi, gdy Guy odsunął ją na bok.

- Umiem pielęgnować rannych, sir.

- Może, ale nie jego. - Spojrział na nią spod zmarszczonych brwi i zręcznie rozpiął skórzany pas, po czym skinął na drugiego wojownika, by mu pomógł. - Wiem, że w całym hrabstwie Nottingham nie ma ani jednego Angłasasa, który nie skorzystałby z okazji, by się go pozbyć.

- Z całą pewnością, ale chyba nie sądzisz, panie, że jestem

tak głupia, by go skrzywdzić we własnym domu. Nie jestem taką prostaczką, by sądzić, że uszłoby mi to na sucho.

Wyswobodziwszy rannego z metalowej kolczugi i hełmu, Guy odrzucił je na kamienną podłogę. Przysiadł na piętach i spojrzał na Jane. Po chwili uśmiechnął się lekko.

- Nie, nie sądzę, że jest pani taka nierozważna. Jego rana może być śmiertelna. Jest pani biegła w leczeniu?

- Jak większość kobiet, które muszą pielęgnować głupców, chwytających za ostre narzędzia. Przygotuję zioła, a pan zdejmie z niego resztę ryszunka. Jest zgorączkowany.

Wstała i nie czekając, aż jej odpowie, wyszła ze składziku. Dena i Enid zbliżyły się do niej. Starsza kobieta wyszeptwała zdenerwowana:

- Milady... Normanowie mają dwóch jeńców.

Rowan i Shandy. Teraz nie mogła im pomóc.

- Najpierw musimy zadbać o siebie, Dena. I nie wolno nam ich obrazić, bo źle skończymy. Spiesz się, mamy mnóstwo roboty.

Jane wróciła do składziku z workiem leków. Dena wniosła tacę z kubkami oraz tłuczek i moździerz, a Enid przydźwigała kocioł z wrzącą wodą. Ustawiły wszystko na podłodze obok posłania rannego i odsunęły się, aby przepuścić Jane, która znowu ukłękła obok szeryfa.

Leżał rozebrany, w samych gatkach. Pozbawiony odzienia, sprawiał wrażenie młodszego niż w rzeczywistości. Wyglądał niespodziewanie delikatnie. Jego ciało nosiło ślady rycerskiego rzemiosła, liczne wyleczone blizny po dawnych ranach przecinały klatkę piersiową i brzuch. Jednak uwagę Jane przykuła rana z boku: głębokie cięcie, z którego sączyła się ropa.

- Enid - zwróciła się do służki. - Przynieś z piwnicy dzban starego wina. Fiskin, skocz po sześć jajek.

Guy chrząknął z powątpiewaniem.

- Jajka? Miała go pani leczyć, a nie karmić.

- Jajka wyciągają truciznę i obniżają gorączkę. Niech się pan przesunie, sir. Zasłania mi pan światło.

Guy zaklął cicho w normańskiej francuszczyźnie. Jane uniosła głowę i spojrzała na niego tak srogo, że się zarumienił.

- Przywiózł go pan do mnie, aby go leczyć, prawda?

- Tylko dlatego, że tu mieliśmy najbliżej.

- Ale trafił tutaj. Niech pan zawierzy moim umiejętnościom, jeżeli nie lojalności. Może się pan przyglądać. Jeżeli jednak będzie mi pan przeszkadzał, pochowamy szeryfa, nim upłynie tydzień.

- Tak bardzo z nim źle?

Wskazała na ranę; rozchodziły się z niej szkarłatne pręgi, niczym rozczapierzone palce.

- Gdyby rana się nie otworzyła, żeby uwolnić truciznę, dawno by nie żył. Ale nawet teraz trucizna może go powalić.

Zapadła cisza. Devaux dyszał chrapliwie. Na ścianie tańczyły światła świec. Guy wytrzymał spojrzenie Jane tak długo, aż pomyślała, że się nie zgodzi, by leczyła szeryfa. Wreszcie westchnął z wysiłkiem, wydymając policzki.

- Nie znam się na leczeniu. On nie dopuściłby do siebie żadnego medyka... - Spojrzał na Tre, a potem przeniósł wzrok na Jane. - Nie mamy wyboru. Pani... albo nikt.

- Skoro jestem lepsza niż nikt, proszę mi pozwolić działać.

Guy skinął głową.

- Ale będę się przyglądał, milady.

- O ile nie będzie mi pan przeszkadzał.

Jane nachyliła się nad rannym. Z przerażenia skurczył jej się żołądek, bo, mimo jej rzekomej pewności siebie, rana mogła się okazać śmiertelna. Położyła dłonie na żebrach Devaux; jego skóra była gorąca. Klatka piersiowa gwałtownie się podnosiła i opadała. Nie uniósł powiek, choć czarne rzęsy trzepotały jak skrzydła schwytanego ptaka. Nie mogła pozwolić, by umarł. Musiała uczynić wszystko, co było w jej mocy, chociaż jedyną zapłatą za jej wysiłki mógł być nakaz aresztowania.

Odsunęła od siebie ponure myśli i skupiła się na czyszczeniu rany starym winem o mocnej woni. W pewnej chwili Guy

i drugi wojownik musieli go przytrzymać, bo zaczął się rzucać w gorączce, mamrocząc nieprzytomnie.

- Aimee... - Z jego gardła wydarł się pełen bóleści okrzyk. Jane przerwała pracę. Twarz szeryfa wykrzywił grymas. - O, Boże... Aimee!

Jane spojrzała na Guya, a on lekko pokręcił głową.

- Dawno nie żyje.

- Trzymajcie go - powiedziała. Guy całym swoim ciężarem unieruchomił ramiona szeryfa, podczas gdy Jane przyłożyła do nosa chorego gałganek, zmoczony w wyciągu z mandragory. Podziałało; ranny uspokoił się.

Zanim Fiskin powrócił, niosąc jajka, Jane zdążyła dokładnie oczyścić ranę miksturą z gorącej wody i ziół. Ubiła białka w płaskiej misie, po czym rozmazała gęstą masę po postrzępionej skórze wokół rany i obwiązała chorego szerokim pasem płótna.

- Nie zdejmujcie tego - nakazała Guyowi.

- Jak długo?

- Dopóki ja tego nie uczynię. - Widząc pytające spojrzenie Guya, uśmiechnęła się lekko. - Okład wyciąga truciznę. Rana musi się oczyścić i wyleczyć, w przeciwnym razie może go zabić.

- Powiedziałem mu to, gdy został ranny po raz pierwszy. Ale on mnie nie słuchał. - Guy się zasępił; przeczesał palcami przykrapnięte od hełmu włosy, aż stanęły sztorcem na jego głowie. - Będę spał obok niego.

- W takim razie służąca przygotowuje jeszcze jedno legowisko. Kiedy został zraniony?

- Trzy miesiące temu. A ostatnio, dziś po południu. - Spojrzał jej w oczy. - W dolinie.

Serce zabiło jej ostrzegawczo.

- To niedaleko stąd. Mieliście szczęście, że byliście w pobliżu Ravenshed.

- Ścigaliśmy zbrojców. Wypłoszyliśmy kilku z kryjówki.

Jane pomyślała o Shandym i o Rowanie, znanym jej tylko z imienia towarzyszach Małego Johna.

Guy nie spuszczał z niej oczu; czekał, aż mu odpowie, lecz ona nie mogła wymyślić nic mądrego, co nie zdradziłoby, że jest dobrze zorientowana.

W końcu rzekła:

- Baronowie będą zachwyceni, gdy hrabstwo zostanie oczyszczone ze zbójników.

- Nie robimy tego dla baronów - odparł Guy, powoli cedząc słowa. - Tylko dla króla.

- Oczywiście. - Wytarła umazane jajkiem palce w czystą szmatkę. - Świeża rana wyszła mu na dobre. Miał zatrutą krew. Ktoś słabszy od niego już by nie żył.

- Nie należałoby spuścić krwi, żeby oczyścić ciało z trucizny?

- Nie. - Jane pokręciła głową. - Zła limfa już wyciekła.

- Medyk spuściłby krew.

Zacisnęła palce na gałganku. To prawda. Medyk spuściłby mu krew. Brat Tuck nie zrobiłby tego. Ufała Tuckowi, ponieważ częstokroć miewał rację.

Devaux nieco się uspokoił, jednak jego smagła skóra miała szarawy odcień. Jane wzruszyła ramionami.

- Uczyni pan wedle swojej woli. Jeżeli spuści mu pan krew, przestanę go pielęgnować. Nie będę odpowiedzialna za jego śmierć, a umrze z pewnością, jeżeli spuści mu się krew.

- Ma pani cięty język, milady.

- Tak powiadają. - Wstała. - Teraz zaparzę zioła, które obniżą gorączkę i złagodzą ból. Podać mu je, czy pan przejmuje odpowiedzialność?

- Będę za niego zawsze odpowiedzialny. Tre jest nie tylko moim seniorem, lecz także przyjacielem.

- Chętnie się pozbędę ciężaru odpowiedzialności.

Gdy powróciła z gorzkim wywarem mandragory w winie, Devaux znów był niespokojny. Trzeba było nie lada wysiłków,

by wlać mu do gardła zawartość kubka. Gdy się z tym uporali, Beaufort zlany był potem, a drugi wojownik miał rozciętą wargę i podbite oko. Guy pocierał rozkwaszony nos.

- Gdy wyzdrowieje, zażądam za to sutej zapłaty.

Jane uśmiechnęła się, sprząając zioła rozrzucone podczas szarpaniny. Przywołała Denę i kazała je wynieść.

- Zostawię flakon z wywarem, sir Guy. Poda mu go pan o świcie. Powinien być spokojniejszy.

- Daj Boże, bo więcej chyba nie zniosę. Jest znacznie silniejszy, niż można by oczekiwać od rannego w jego stanie.

Jane wcale to nie dziwiło. Nawet zgorączkowany i pół-przytomny, Devaux emanował siłą. Jego lśniąca od potu skóra miała ciemnobrązowy kolor, jakby od słońca. Długie członki były muskularne i silne, chociaż szczupłe.

Niespodziewanie przypomniała sobie słowa kuzynki. Lissa powiedziała drwiąco, że szeryf i jego wierzchowiec są wspólnymi, muskularnymi zwierzakami - głady, ciemni i niebezpieczni. Na to wspomnienie zrobiło jej się gorąco i poczuła się zakłopotana.

Umykając przed wścibskimi spojrzeniami, weszła do sypialni, którą dawniej dzieliła z mężem. W mroku majaczyło ogromne łóże z opuszczonymi aksamitnymi zasłonami. Łóże rycerza, masywne i szerokie; jej łóże małżeńskie. Spała w nim przez dwanaście lat. W ciągu jednej nocy przeobraziła się z dziewczynki w matronę i nauczyła się, że romantyczne bajki, które opowiadali minstrele, były tylko romantycznymi bajkami.

Później przyszła miłość do męża. Nigdy nie była to gorączkowa namiętność i sławione przez poetów niecierpliwe oczekiwanie. Żadnych burzliwych emocji, które wahałyby się od rozpacz do błogostanu, lecz spokojny, stały płomień. Na początku była zawiedziona, ale później doszła do wniosku, że jest to wygodne. Zamiast słodkiego ognia, o jakim kiedyś marzyła, odnalazła w ramionach mężach poczucie bezpieczeństwa, które nie słabło z upływem czasu.

Hugh umarł jako stary i chory człowiek, doceniający czułą opiekę żony. Nie mieli dzieci. Jednak on nigdy się nie skarżył z powodu ich braku. Jeżeli żałował, że ich nie doczekał, nigdy o tym nie wspomniał. Tęskniła za nim... To on sprawił, że poczuła się silna i pełna wdzięku, rozkwitła pod wpływem jego czułej miłości, lecz nigdy nie stała się piękną jak jej kuzynka. Hugh nauczył ją poczucia własnej wartości i była mu za to wdzięczna.

Oparła dłoń na drewnianej ramie otwartego okna; w oddali księżyc oblewał srebrną poświatą pola i gęsty las. Na podwórzu rozlegały się głosy mężczyzn, przygotowujących się do noclegu - mściwi Normanowie z bronią i końmi. Musi być bardzo ostrożna.

Jednak stojąc w sypialni, spoglądała w noc i myślała o smukłym ciele i o namiętności, której nigdy nie zaznała. Rozmyślała o Tre Devaux.

Ja nie wstała po drugim pianiu koguta. Pamiętała, o czym śniła. Żywe obrazy, w których główną rolę odgrywał Devaux. Intensywne, zawstydzające. Sen pozostawił poczucie tęsknoty i pragnienia. Czuła, że się rumieni.

Czy w przenikliwym świetle poranka Guy Beaufort dostrzeże jej zepsucie? Czy stanie się ono dla wszystkich widoczne? W nocy długo nie mogła usnąć; była dziwnie zaniepokojona. Wreszcie, tuż przed świtem, zapadła w sen.

W którym nękały ją obrazy...

Gdy wstała, z niewyspania piekły ją oczy. Powoli, z ociąganiem dokonywała porannych ablucji, po czym wyszła z sypialni, by poszukać Guya Beauforta.

Spotkała go w drzwiach składziku, w którym ułożono Devaux. Z mętными, zażawionymi oczyma, wymizerowany i z ponurym wyrazem twarzy, rzekł:

- Wciąż jest niespokojny. Rozpalony od gorączki. Obawiam się, że stracił rozum.

- Można się było tego spodziewać. Pójdę go zobaczyć...

- Milady. - Guy wyciągnął rękę, by ją zatrzymać. - Musiałem go związać, aby nie rozdrapał rany. Zerwał bandaż, ale założyłem go z powrotem, najlepiej jak umiałem.

- Rozumiem. Może to pana nie obchodzi, sir, ale nie jest

to pierwszy ranny mężczyzna, jakim się opiekuję. Pamięta pan wojny walijskie? Mój mąż odniósł w nich niejedną ranę. W młodym wieku nauczyłam się, które rany zabijają szybko, a które leczą się powoli. Przepuści mnie pan?

Guy odstąpił na bok, ale deptał jej po piętach, gdy wchodziła do składziku. Pachniało tu rozlanym winem i łojem świecy.

Devaux miał skrzepowane obydwie nadgarstki; pętle z naciągniętych skórzanych rzemieni zostały przymocowane do ciężkiej skrzyni, stojącej przy najdalszej ścianie. Guy przykrył przyjaciela lekkim pledem.

Ranny wiercił się i kręcił na tyle, na ile pozwalały mu skórzane pęta; jego mięśnie uginały się pod ich uciskiem. Bełkotał coś w bezładnej normańskiej francuszczyźnie.

Jane ukłękła przy nim. Dotknąwszy lekko policzka Tre, stwierdziła, że jest chłodniejszy niż w nocy, choć nadal zbyt ciepły. Spojrzała na Guya.

- Gorączka opada. Powinniśmy go przenieść. W łóżku będzie go łatwiej pielęgnować.

- Wolałbym go nie ruszać.

- Mimo wszystko należy to zrobić - odparła, wstając z klęczek.

Guy ciężko westchnął.

- Będę do tego potrzebował jeszcze kilku mężczyzn. Jest zbyt nieporęczny, by niosło go nas dwóch.

- Wygląda na to, że do dyspozycji jest tylko jeden mężczyzna, zważywszy na to, że drugi wojownik zasnął.

Guy podszedł, pomrukując do drzemiącego żołnierza, i obudził go kopniakiem. Nieszczęsny człowiek rozciągnął się na podłodze i zaspanymi oczami spojrzał na Beauforta, który rozkazał:

- Przeprowadź ze stajni trzech żołnierzy, żeby pomogli przenieść szeryfa.

Żołnierz skinął głową i zerwał się na nogi. Spojrzał z niepokojem na rzucającego się Devaux i wyszedł z pomieszczenia.

Jane także spojrzała na rannego i poczuła, że się rumieni.

Devaux skopał lekki pled. W ciągu nocy spadły z niego gatki. Szeryf leżał nagi jak go Pan Bóg stworzył, dokładnie oświetlony płomieniem świecy.

Jego potężne męskie ciało było pełne nieoczekiwanego piękna, rzeźbiona obietnica siły i namiętności... baron wojownik, dotychczas pozbawiony wszelkiej słabości. Podglądała go zawstydzona i oszołomiona. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Zaciśnięty węzeł w jej żołądku przeniósł się niżej i rozkwitł gorący, podstępny i nieposkromiony. Nieznana, niechciana reakcja, która czyniła Jane bezbronną.

Rozległo się ciche kasznięcie i szuranie butów po kamiennej podłodze; Jane szybko odwróciła wzrok od szeryfa, oblana rumieńcem wstydu. Guy de Beaufort przyglądał się jej spod uniesionych brwi. Cokolwiek by teraz powiedziała, zabrzmiało- by jak obrona, więc w milczeniu wyszła ze składziku.

Na korytarzu czekała Dena. Jej twarz matrony wyrażała ciekawość i niepokój, oczy spoglądały z napięciem.

- Wszystko w porządku, milady?

- Tak. Weź Enid i przygotuj dla szeryfa frontową sypialnię. Przenoszą go tam.

- Tak jest, milady. Mam zaparzyć zioła?

- Ja to zrobię. - To da jej czas na oprzytomnienie. Lecz kiedy sięgnęła po koszyk i worek z ziołami i zaczęła je odmierzać, a potem mieszać i rozcierać w moździerzu, ręce wciąż jej drżały. Że też tak ją to wyprowadziło z równowagi. Szeryf nie był pierwszym nagim mężczyzną, jakiego widziała. Mimo że intymne stosunki łączyły ją tylko z mężem, leczyła innych rannych rycerzy. Widywała ich w różnych niecodziennych okolicznościach.

- Milady? - Enid zajrzała do kącika, w którym Jane szykowała mieszankę ziół; na jej młodej twarzy malował się strach. - Jeden z Normanów chce z panią rozmawiać.

Jane wytarła ręce w gałganek i wróciła do składziku. Guy spotkał ją przed drzwiami.

- Ma pani jakiś napar, który by go uspokoił? Powalił wszystkich mężczyzn i teraz boją się do niego podejść. Sam go nie przeniosę...

- Tak, mam mieszanki, które sprowadzają głęboki sen, ale...

- Niech mu pani poda. Albo ja go napoję. Jest zbyt nieokiełznany. - Guy wskazał głową legowisko. - W gorączce zdemolował pokój. Jeżeli nie zaśnie, nie damy rady wnieść go po schodach.

- Może mnie się uda...

- Nie.

Ze składziku dobiegł ryk, a potem okrzyk bólu i odgłosy bijatyki. Jane zastanawiała się, jak ma postąpić. Aby go uspokoić, konieczny był silny napar, a łatwo było o przesadę. Czy odważyć się na ryzyko? Pokręciła głową z namysłem.

- Czasami trudno jest zdecydować, jak wiele naparu podziała. Nawet duży mężczyzna może nie znieść większej ilości, dlatego...

- W takim razie zacznijmy od małej ilości - burknął Guy. - Ale, na miłość boską, muszę mieć coś, by go uspokoić! Obawiam się, że znów porozrywa ranę, a to by go wykończyło.

Miał rację. Jane poszła do spiżarni i sięgnęła po swoją bezcenną miksturę z naparu maku. Ciemna, o obrzydliwym zapachu, była mocna i często niebezpieczna. Drżącą ręką odmierzyła płaską filiżankę. Wystarczająco wiele, by sprowadzić zapomnienie, lecz nie śmierć... lepiej za mało niż za dużo. Podała filiżankę sir Guyowi, który zniknął w składziku. Rozległy się odgłosy walki, lecz szybko ucichły.

W końcu pojawił się Guy z nowymi rozdarciami na tunice, zasapany, ale zadowolony.

- Wypił, ale jeżeli zapamięta, co mu powiedziałem, ja będę potrzebował tej mikstury.

Jane uśmiechnęła się blado.

- Gdy głęboko uśnie, zabierzcie go do sypialni na piętrze. Dena właśnie ją przygotowuje.

- A gdzie pani będzie, milady?
- A gdzie miałabym być?
- Lepiej, żeby nie opuszczała pani Ravenshed. Jeżeli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę się zwrócić do mnie. Dopóki szeryf nie wyzdrowieje, nikt nie może opuścić dworu ani do niego przybyć. Chyba że za moim pozwoleniem.

- Jak pan śmie wchodzić do mego domu i rozkazywać mi, jakby pan był tutaj dowódcą, sir?!

- Chwilowo ja tu dowodzę, lady Neville.

Spokojne przypomnienie zabrzmiało nieodwołalnie. Ostrzegął ją: Ravenshed jest zajęty przez Normanów i podlega ich regułom i karom.

Jane pomyślała o Małym Johnie i Willu; modliła się, by zdołali uciec. Spokojnie skinęła głową.

- Rozumiem, sir Guy. Jeśli pan pozwoli, powrócę do moich codziennych obowiązków. Nie chciałabym popełnić błędu i pozbawić was jedzenia lub podać nieodpowiednie napoje.

Guy lekko przymrużył oczy i zacisnął usta.

- Otrzyma pani sówitą nagrodę za gościnność.

- Gościnność? W takim razie nie jestem zakładniczką, lecz panią domu. Czy tak się godzi, sir Guy?

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie, a potem pokręcił głową.

- Nie mylił się. Ma pani cięty język, milady.

- Jeśli ma pan na myśli szeryfa, to nieźle wyostrzył sobie język na mnie. Dlatego nie mam najmniejszych wyrzutów sumienia.

Guy uśmiechnął się szeroko.

- Doprawdy, jesteście śmieszni jak dwa czupurne koguty. Gdybym się nie obawiał o własne bezpieczeństwo, napuściłbym jedno na drugie.

- Nie ma potrzeby się obawiać. Gdy szeryf powróci do zmysłów, sam pana do tego zachęci.

- Bez wątpienia. - Guy rozejrzał się po pograżonym w ciszy

holu, gdzie nie było nikogo, poza śpiącym psem. - Lepiej by było, gdyby czasem ugryzła się pani w język. Prawda jest lepszym sprzymierzeńcem niż podstęp.

Było to ostrzeżenie. Obietnica. Proroctwo. Jane zastanawiała się, jakie są zamiary szeryfa, ale byłoby błędem pytać o nie sir Guya.

- Prawda - odparła - to miecz obosieczny, sir Guy.

- Tak, ale niemądre kłamstwo zawsze jest fatalne.

Nie знаła odpowiedzi, która by jej nie zdradziła, więc ostrożnie zmilczała. Pełna napięcia cisza nie trwała długo, ponieważ Guy zwrócił się do wojownika.

- Powiedz kapitanowi Oliverowi, żeby rozejrzał się po otoczeniu. Niech mi zamelduje, gdyby czegoś brakowało. - Przerwał i spojrzał na Jane. - Odprowadziliście jeńców?

- Tak, sir Guy. Zanim kur zapiał, wyruszyli pod eskortą do Nottingham.

Jane stała nieporuszona, choć z trudem opanowała wzdrygnięcie. Rowan i Shandy nie należeli do zbójców grabiących okolice, lecz tylko pomogli Willowi w fatalnej próbie odzyskania pieniędzy, które podwładni szeryfa brutalnie zebrali. Dręczyła się myślą, że uczciwi ludzie zapłacą tak wysoką cenę za rozpaczliwy czyn.

- Muszę zebrać więcej ziół do leczenia szeryfa - powiedziała, gdy sir Guy na nią spojrzał. - Otrzymam na to przyzwolenie czy mam zacząć wznosić modły za jego duszę?

Uwagi Guya nie uszła nuta ironii zawarta w słowach Jane. Na jego wargach zaigrał nikły uśmiešek.

- Nie ostrz swego języka na mnie, lady Neville. Na nic się to nie zda. Lepiej oszczędź siły dla szeryfa. On odpłaci się pięknym za nadobne. - Zamilkł, a potem dodał: - Będzie pani towarzyszył mój człowiek.

Szywno skłoniła głowę. Gdy powróciła do kącika w kuchni, gdzie przygotowywała zioła, oprócz ostrej woni mięty i wawrzynu unosił się tam jeszcze zapach maku.

Przez dłuższą chwilę stała milcząca i nieruchoma. Dobrze znane domowe odgłosy domu zostały zagłuszone przez hałasy najeźdźcy: brzęk mieczy, dźwięczenie kolczug, stukot kopyt o kamienie mąciły pogodny nastrój dworu.

Najbardziej brakowało jej spokoju i harmonii, świadomości, że jest wolna i bezpieczna. Lecz bezpieczna nie czuła się już od dawna.

Wzięła koszyk i wyszła z kuchni. Czekał na nią obiecany strażnik; cicha obecność u jej boku, gdy przecinała podwórze. Brama stała otworem; drewniany most zwodzony prowadził na pola, rozciągające się poza żywopłotem. Tutaj, pod czujnym okiem swego normañskiego stróża, zebrała obfitość ptasiego ziała.

Nie zwracając na niego uwagi, upychała w koszyku listki i maleńkie białe kwiatuszki. Ziele było dobre na gorączkę, a maść z niego wyciągała z ran ropę.

Światło poranka roziskrzało krople rosy na grubych źdźbłach trawy. Rosa zwilżała stopy i rąbek spódnicy Jane, gdy szła wzdłuż żywopłotu. Za niezaoranym polem sterczała gęsta i cienista szczecina drzew i zarośli.

Powietrze rozdarł ostry okrzyk kawki i Jane zacisnęła dłoń na uchwycie koszyka. John? Czy to jego sygnał? Czekwała w napięciu; łagodny wietrzyk rozwiewał jej włosy, które wymknęły się spod jedwabnego czepek. Niesforny kosmyk połaskotał ją w policzek, więc drżącymi palcami wepchnęła go pod czepek.

- Milady - odezwał się strażnik, gdy stała milcząca i nieruchoma - skończyła pani?

Wyprostowała się.

- Tak. Możemy już wracać.

W holu powitał ją dobrze znany półmrok. Nagłe przejście z porannego światła do mrocznego wnętrza oślepiło ją i na chwilę przystanęła. Nie wiedziała, że nie jest sama, dopóki nie rozległ się głos:

- Przyjemny dzień, milady.
- Mógłby być przyjemny, sir Guy - odparła.

Odpowiedział jej cichy śmiech. Gdy jej oczy przywykły do półmroku, dostrzegła lśnienie jasnych włosów rycerza.

- Usnął.
- Zebrałam zioła przeciw gorączce.
- Czy ta troska jest bezinteresowna, czy też wynika z chęci, by się nas jak najszybciej pozbyć?
- Niegrzecznie byłoby skłamać, skoro zostałam pouczona o przewadze prawdy, sir Guy.
- Taaak - odparł rozbawiony. - Faktycznie, byłoby niegrzecznie.

Wyszedł z mroku. Jego normański akcent nie był tak wyraźny jak u szeryfa.

- Gdzie jest cała służba, milady? Nie ma tu drobnych ziemian zobowiązanych do służby? Pola leżą odłogiem.

Pod pozornie miłym tonem kryło się śledztwo i Jane zmieniła zdanie na temat tego mężczyzny, którego poprzednio uznała za mniej niebezpiecznego.

- Nie ma tu żadnych drobnych ziemian. Jest nas dziesięcioro. Żądania króla sprawiły, że z trudem utrzymujemy ogród i zwierzęta. Nie mamy straży. Nikogo, kto by wyskoczył znienacka lub uciekł, by się przyłączyć do zbójców.

Spokojne spojrzenie Guya powiedziało jej, że rozwiązała jego wątpliwości. Na wargach pojawił się uśmiech.

- Mówi pani bez ogródek.
- Szkoda na nie czasu.
- To także prawda. Miejmy nadzieję, że będzie pani równie prawdomówna, gdy Devaux się obudzi.
- Czy to ostrzeżenie, sir Guy?
- Cokolwiek pani sądzi. - Zamilkł. - Uważam, że jest pani nieustraszona. Tuszę, że nie jest pani głupia. Dla pani własnego dobra.

Jane rozważyła ciętą odpowiedź, lecz uznała, że byłaby

niebaczna. Niosąc koszyk z ptasim zielelem, przeszła za sir Guyem do małego pokoju. Dena obrała już kapustę i czyściła liście.

- Wiem, że zechce pani zrobić kataplazmy, milady.

- Tak. Chodź, oskubiesz ziele, a ja pogniotę liście.

Energicznie zabrała się do pracy, aby zająć czymś myśli i nie dopuszczać do siebie mnożących się pytań. Nie знаła na nie odpowiedzi i nie chciała roztrząsać możliwości.

- Z tymi cholernymi Normanami na karku trudno jest robić to, co ma być zrobione... - Dena przerwała przerażona, gdy Jane gwałtownie ją uciszyła.

- Ściany mają uszy, Dena. Czy Enid jest z Edwinem?

- Tak, milady. Bezpieczna przy ojcu. Nie podoba mi się, jak niektórzy Normanowie na nią spoglądają.

- Niech się od was nie oddala. Nic się jej nie stanie. Myślę, że sir Guy nie pozwoliłby na to.

Pobożne życzenie, oparte na obserwacji jasnowłosego Normana. Nie sprawiał wrażenia okrutnego, a żołnierze byli zdyscyplinowani. Może nie będzie tak źle, jak się wydawało.

Szybko przygotowały kataplazmy; Jane otarła ręce i przygładziła spódnicę. Była to prosta suknia z różowego aksamitu bez żadnych haftów i złocień. Jedyne ustępstwo na rzecz próżności stanowił czepek ze lśniącej złotej siateczki, utrzymujący włosy ponad uszami, oraz złoty krzyżyk na łańcuszku.

Gdy się wspinała po schodach, wilgotny rąbek spódnicy pętał jej kostki i moczył pończochy. Nie zmieniała bucików, które cmokały za każdym krokiem.

Korytarz na wprost schodów był długi i wąski; ciągnął się wzdłuż całego domu. Pokoje odchodziły od niego jak zęby grzebienia. Sypialnia państwa była tak duża, że pomieściłaby cztery inne. Pozostałe były mniejsze, ale wszystkie miały okna wychodzące na podwórze. Hugh kazał przebudować wyższe piętro, tak aby żaden z pokoi nie był przechodni. Korytarz stał się nieco węższy, ale sypialnie zyskały intymność. Rzadki przywilej.

Do pokoju, w którym leżał szeryf, światło sączyło się poprzez zamknięte okiennice. Jane weszła cicho, podeszwy lekko szurały na drewnianej podłodze, która skrzypiała przy każdym stąpięciu. Pokój był mroczny, pachniało w nim stare wino i zioła. Tre Devaux spoczywał nieruchomo; tylko od czasu do czasu krzywił się lub coś mamrotał.

Sir Guy stał oparty o framugę drzwi. Jane czuła na sobie jego wzrok.

- Powinien pan odpocząć - powiedziała, stawiając tacę na połamanym stole, który zachwiał się pod obciążeniem. - Na nic się pan nie przyda, jeśli się pan rozchoruje.

- Odpocznę, kiedy on będzie odpoczywał.

Jane wzruszyła ramionami i podeszła do Tre. Był chłodniejszy, ale wciąż rozgrzany.

- Niech pan otworzy okiennice - powiedziała i Guy po chwili ruszył w stronę okna.

Pokój zalało słoneczne światło, przepędzając mrok do najdalszych kątów. Jane odkryła szeryfa i zdjęła bandaże. Rana zaczynała się goić, ale wciąż była zaczerwieniona.

Jane oczyściła ją zrzęcznie i delikatnie. Posmarowała maścią ze zmiądzonych liści ptasiego zieleń i przykryła dużym liściem kapusty.

- Będę potrzebowała pańskiej pomocy - powiedziała, nie spoglądając za siebie, bo wiedziała, że Beaufort wrócił na swoje miejsce w drzwiach. Musiał przeturlać Devaux, aby Jane mogła go owinać w talii długimi pasami z płótna i starannie je zamocować.

- Rana wygląda lepiej, milady.

Uśmiechnęła się.

- Tak być powinno. Medyk, który ją przyżegał, nie znał się na rzeczy.

- Dlaczego?

Spojrzała na niego i dostrzegła zmarszczone brwi.

- Zanim przyłożył rozpalone żelazo, powinien obmyć ranę

mocnym winem. Każdy medyk z prawdziwego zdarzenia dobrze o tym wie.

- To nie medyk go leczył - odparł cicho. - Nie było na to czasu. Na polu bitwy rzadko mamy dosyć czasu.

- Rozumiem.

Milczenie. A wreszcie:

- Nic pani nie rozumie. Kobieta nigdy nie rozumie. Myślałem, że wdowa po baronie będzie inna.

Jane wstała, zebrała zioła i paski płótna.

- Jeżeli ma pan na myśli to, że nie rozumiem, dlaczego mężczyźni wciąż uganiają się za śmiercią, to ma pan rację. Nie rozumiem. I nigdy tego nie pojmem. To głupie, lekkomyślne i nie na wiele się zdaje.

Piwne oczy stały się zimne jak lód.

- W ten sposób zdobywa się królestwa, milady.

- A potem się je traci. - Guy zaklął po cichu i Jane uniosła brwi. - Król Jan utracił Francję i Normandię. Aby je odzyskać, poprowadził ludzi naimierć, ale bez skutku. Papież obłożył Anglię klątwą za to, że król odmówił mianowania Stephena Langtona na arcybiskupa Canterbury, a Jan nadal myślał jedynie o wojnie z Filipem II Augustem, królem Francji. Zbędne to walki o odzyskanie straconego królestwa, podczas gdy Anglia utraciła mężczyzn, broń, pożywienie i jest zbyt słaba, aby stawić czoło wrogom.

- Zdrada, milady?

- Czuję niesmak, sir Guy, patrząc, jak niepotrzebnie giną ludzie.

- Dziwne słowa w ustach wdowy po mężnym rycerzu, jakim był sir Hugh.

- Hugh był mężny, ale ciągły udział w bitwach zebrał swoje żniwo i zabił mego męża o wiele za wcześnie.

- Przekroczył pięćdziesiątkę, o ile się nie mylę. Nie był zbyt młody jak na rycerza.

- Może na rycerza, ale z pewnością nie na męża. - Zabrała tacę i skierowała się do wyjścia.

- Nie wszyscy mężczyźni są pani mężami, milady - powiedział Guy spokojnym tonem.

Udała, że go nie słyszy, ale zachwiała się, a słowa Guya długo rozbrzmiewały w jej uszach. Nie, nie wszyscy mężczyźni są tacy jak Hugh. Jednak oni także pozostawiają kobiety, które muszą samotnie zmagać się z życiem lub wszystko stracić. Od czasu śmierci męża walczyła nieustannie, ponad rok dokonywała nadludzkich wysiłków, by zachować dom. Bywały chwile, gdy ugiwała się pod ciężarem, poddawała się rozpacz, lecz stale pamiętała, że następnego dnia musi wstać i nadal walczyć. Nie miała zamiaru zrezygnować.

/-zbląkany promień popołudniowego słońca przedarł się poprzez na wpół zamknięte okiennice i śmiało przewędrował po podłodze, by oświetlić łóżko i leżącego na nim szeryfa.

Jane przyglądała mu się beczynn timer. W domu zapanował spokój. Guy zszedł na dół do pozostałych Normanów. Jane, jako zaufana osoba, miała czuwać przy Tre Devaux. Wątpliwy zaszczyt. Gdy ranny się obudzi, wszyscy i tak w mig go usłyszą.

Siedziała na niewygodnym krześle bez poręczy, jak na grzędzie, słuchając oddechu szeryfa. Myślała o imieniu, które wykrzykiwał w gorączce i zastanawiała się, kim dla niego była owa kobieta. Żoną? Kochanką? Wydawał się zbyt szorstki, by zachować wspomnienia. To imię czyniło go w jej oczach w jakiś sposób bardziej wrażliwym.

Jane umieściła łokieć na zniszczonym stole i wsparła policzek na dłoni, by się lepiej przyjrzeć Devaux. Łatwiej było patrzeć na niego, gdy był pogrążony we śnie.

Jego twarz była skąpiana w świetle wpadającym przez okno; dziwnie złocista barwa sprawiała, że rysy szeryfa złagodniały. Wyraz opryskliwości i kpiny zniknął z jego twarzy. Na szczęście miał małą bliznę. Ciemny zarost odcinał się od pobladłej cery.

Rzęsy miał długie, gęste i czarne; nos prosty i wydatny, bez charakterystycznego dla Normanów garbka. Usta...

Odwróciła wzrok, zanim jej myśli zboczyły w bardziej niebezpiecznym kierunku.

Z dołu dobiegały dobrze znane domowe odgłosy: Dena besztła leniwą służącą, Edwin reperował uprząż, klepiąc młotkiem skórzane rzemienie. Ponad tym wszystkim wznosiły się obco brzmiące słowa Normanów, rozmawiających na podwórzu. Na górze było znacznie ciszej, słyszało się tylko łagodne poświstywanie wiatru, wpadającego przez otwarte okno.

Czas mijał. Rytmiczny stukot młotka Edwina działał usypiająco. Światło wpadające przez okno raziło w oczy i sprawiało, że Jane opadały powieki.

Ziewnęła, przeciągnęła się i, aby odegnać senność, rozejrzała się po pokoju. Na skrzyni leżała kolczuga. W kącie buty, jeden przewrócony, drugi stojący na baczność. Dobra skóra, ale buty zniszczone. Szeroki pas, miecz w pochwie, rajtuzy.

Łóżko zaskrzypiało. Szeryf poruszył się, mruknął coś cicho, ale się nie obudził. Spojrzała w jego stronę. Usłyszała gwałtowne pulsowanie krwi w uszach.

Nakrycie zsunęło się, ukazując ciemne włosy na umięśnionym, śniadym ciele, obandażowane płótnem żebra.

Jane siedziała, patrząc jak urzeczona. Czekwała. Bez tchu. Wzburzona...

Znów się poruszył, trafił stopą na okrycie, które ześliznęło się z cichym szelestem i pofałdowało na wyraźnym wybrzuszeniu.

Wtargnięcie, naruszenie prywatności, pogwałcenie zasad etycznych... Powinna go okryć lub odwrócić wzrok. Albo jedno i drugie. Powinna...

Łóżko znów zatrzeszczało; okrycie spadło na podłogę. Jane siedziała nieruchomo. Słońce uwydatniało wszelkie szczegóły ze wszystkimi detalami pełnymi erotyzmu. Zmysłowe, pociągające, pełne elegancji, silne i zatykające dech w piersi męskie ciało, tak piękne, że do oczu napłynęły jej łzy.

Zmaciła przepełnioną napięciem ciszę, gwałtownie wzdychając.

Na zewnątrz zaszczekał pies. Rozległy się podniesione głosy. Jane rozpoznała władczy ton kuzynki, wyrażający oburzenie i domagający się czegoś. Przybywała nieoczekiwanie, lecz bardzo w porę. Jane otrząsnęła się i szybko podniosła prześcieradło.

Narzuciła je na leżącą postać. Opadło łagodnie, z cichym szelestem i udrapowało się wdzięcznie, lecz kapryśnie, pozostawiając odkryte podbrzusze.

A jeśli się obudzi?

Chwyliła kraj prześcieradła akurat w chwili, gdy chory się poruszył. Wierzchem dłoni musnęła członek, który natychmiast zareagował w przewidywalny sposób: uniósł się, wezbrał, dając żywy dowód potencji.

Była wstrząśnięta. Powleczona jedwabiem stal dźgała jej rękę. Taki gorący... Ranny jęknął, gdy konwulsyjnie zacisnęła palce na... Żle, niebezpiecznie, głupio...

Poczuła, jak pomiędzy jej udami rozkwita pulsujący płomień. Rozprzestrzenia się, pożerając ją... Poruszył się w jej dłoni i usłyszała niski pomruk, który nagle wydał jej się przerażający.

Gwałtownie cofnęła rękę, chwyciła nakrycie i naciągnęła je, zasłaniając kuszący widok. Dudnienie w uszach powoli cichło, pieśń zamierała, płomień zamieniały się w popiół; z dłońmi zacisniętymi na fałdach spódnicy Jane powracała do przytomności.

Tre spał nieruchomy, niczym satyr obłany złocistym światłem słońca, przypominając jej o straconych nadziejach i nieczystych marzeniach. Spał, podczas gdy ona płonęła od rozpustnych pragnień.

Straszliwie bolała go głowa, jakby wewnątrz bez przerwy waliły młoty. Skóra swędziała. Tre sączył piwo i spoglądał na nietkniętą zupe. Nie cierpiał tego cienkiego bulionu z pasternaku, porów i rzepy. Chciał mięsa i wina, a nie diety dla inwalidy.

- Wciąż jesteś osłabiony.

Tre niecierpliwym ruchem dłoni odegnał słowa przyjaciela.

- Nie obawiaj się, że wkrótce skonam. Poczuję się o wiele lepiej, gdybym się najadł.

Guy uśmiechnął się i odparł:

- Wydobrzałeś nadspodziewanie szybko.

- Tydzień chorowania to niemało...

- Cztery dni. Nie tydzień.

- Kiedy moim zastępcą jest Gaudet, cztery dni to także zbyt długo.

Tre zmienił pozycję, tłumiąc jęk, który wrywał mu się z gardła przy każdym ruchu. W boku odzywał się ostry ból, niczym klucie nożem. Tracił wtedy oddech i kręciło mu się w głowie. Zmrużył oczy przed popołudniowym światłem, sączącym się przez okno naprzeciw łóżka. - Zabierz tę tacę i zamknij okiennice.

Guy odebrał od niego tacę. Niecierpliwość była dla Tre równie dotkliwa jak ból.

Zaskrzypiało drewno, a potem rozległ się głuchy stukot, gdy okiennica trafiła we framugę. Nagle otoczył ich półmrok. Tre wielkim wysiłkiem woli zdołał poprawić się na łóżku. Milczący, z zaciśniętymi zębami, wodził wzrokiem za Guyem, który przesuwał sprząty pod ściany.

- To po to, żebyś się nie obijał o meble, kiedy wstaniesz.

- A więc sądzisz, że będę słabym kaleką? Dosyć tego! Jutro wyjeżdżamy, o świcie!

Guy oparł się o ścianę i skrzyżował ramiona. Pokręcił głową.

- Nie rób tego. Nie warto. Wysłałem do Nottingham Olivera. Do naszego powrotu będzie trzymał Gaudeta krótko przy pysku.

- Oliver jest tylko kapitanem straży. Nic nie poradzi, gdy Gaudet wpadnie w kłopoty.

- Oliver może więcej niż ty. Wysilek cię zabije. - Po tych brutalnych słowach zapadło milczenie.

Tre zacisnął dłonie na przykrywającym go lnianym prześcieradle.

- Jeszcze kilka dni, nie dłużej - powiedział w końcu. - To beczynne wylegiwanie się w łóżku mnie nuży.

Guy wzruszył ramionami.

- Przynajmniej nie musisz się użerać z dwiema kobietami. Lady Neville ma cięty język, a lady Dunham jest jeszcze gorsza.

- Dunham, kuzynka z Gedling - powiedział Tre w zamyśleniu. - Przyjechała tu tylko po to, by ci się dawać we znaki?

- Zaczynam podejrzewać, że taki ma cel. Poniewieranie mną sprawia jej wielką przyjemność. Lady Neville wypowiada swoje zdanie tylko wtedy, gdy się ją przycisnie.

- Tak. - Zamilkł i skinął głową. - Czasami wypowiada się w nieodpowiednich chwilach.

- Bardzo nieodpowiednich. Usiłowałem się dowiedzieć od lady Dunham tego, czego nie mogłem wyciągnąć z jej kuzynki. Ale lady Neville mi przerywała.

- Co nowego w okolicy?

- Jeśli chodzi o rozbójników, nic nowego. Ten olbrzym,

Mały John, zniknął. Zaszył się w norze jak lis. Wciąż krążą opowieści o Robin Hoodzie. Myślisz, że to prawda? Ci Anglosasi to bezczelni kłamcy. Łżą, nie mrugnawszy okiem.

- Tak samo jak my.

Guy uśmiechnął się krzywo.

- Taaak. Tak samo jak my. A jednak czegoś tu nie pojmuje. Skarżą się na grabieżce rozbójników, a potem ukrywają złodziei, gdy ich ścigamy.

- Zastanawiałem się nad tym. - Tre uniół jedną nogę i zgiął ją w kolanie, by zmniejszyć drętwienie obolałych pleców. - Wygląda na to, że są zbójcy, którzy napadają na Normanów i na Anglosasów. I są też tacy, którzy łupią tylko Normanów. I właśnie oni stają się bohaterami anglosaskich bajek o odwadze i szlachetności.

Guy mruknął z niesmakiem.

- Nie wychwaliliby odwagi, gdyby widzieli olbrzyma, zmykającego przed Talbotami.

- Nie. Ale trzeba dodać, gwoli prawdy, że najpierw powalił mnie na ziemię, a potem zabił dwa psy. Dopiero potem rzucił się do ucieczki.

Zapanowała cisza. Wspomnienia owej nocy wciąż były żywe, pomimo naporów, którymi go pojono. Wyłaniający się z gęstego cienia olbrzym, świst draga, który zwałił Tre z konia na ziemię. Ujadanie psów, krzyki mężczyzn i pościg, który widział jak przez mgłę. Ale olbrzym - jego obraz pozostawał niezatarty: gniewne spojrzenie jasnych oczu, brodata twarz, usta rozwarte w ryku wściekłości, siła potężnych ramion.

Gdyby się nie uchylił, uderzenie zabiłoby go.

- Muszę go mieć - powiedział cicho i zobaczył, że na twarzy Guya maluje się to samo pragnienie. - Mały John. Chcę go żywego. Chcę wiedzieć, czy opowieści o Robin Hoodzie są prawdziwe. Chcę - dodał - rozmawiać z lady Neville.

- Odradzałbym ci. Ona nic ci nie powie. Jeżeli służba coś wie, także zmilczy.

- Jeżeli jej wuj naprawdę jest zbójnikiem, to wiele wyjaśnia. Jednakże nie tłumaczy jej obecności w kniei.

Guy odszedł od ściany, o którą się opierał.

- To oczywiste, że dama jest samowolna.

- Pamiętasz chłopięce lata, Guy? Jak nasz mistrz karał upór?

- Tęgimi różgami. Ale nie sądzę, byś miał zamiar wychłostać naszą damę.

- Nie - roześmiał się cicho. - Ale zamierzam jej pokazać, kto jest silniejszy.

- Lepiej będzie, jeśli zaczekasz, aż rzeczywiście staniesz się silniejszy. W tej chwili ona pokonałaby cię w zapasach.

- Nie mam zamiaru się z nią mocować. Przyrowadź ją, Guy. Istnieją inne metody osiągnięcia celu.

Guy podszedł do drzwi i spojrzął na Tre z powątpiewaniem.

- Nie jesteś jeszcze całkiem zdrowy...

- Przyrowadź ją, Guy. Przecież się na mnie nie rzuci.

- Nie to mnie niepokoi - powiedział znacząco i wyszedł, pozostawiając drzwi otwarte.

Tre opadł na plecy. Wpatrywał się w przymglone światło, wpadające przez szczeliny drewnianych okiennic. W jasnych smugach tańczyły drobiny kurzu. Piekły go oczy. Przymknął powieki.

Musiał się zdrzemnąć, bo gdy otworzył oczy, Jane stała obok łóżka. Skrzyżowała ramiona na piersi. Miała na sobie prostą suknię bez ozdób, poza złotym krzyżem na cienkim łańcuszku, otaczającym talię. Jedwabne fałdy kwefu falowały lekko, gdy się poruszała; lekkie różowe obramowanie twarzy.

- Proszę usiąść, milady.

- Jest pan pewien? Dziś rano nie chciał mnie pan oglądać.

Tego się mógł po niej spodziewać: zuchwalstwa ukrytego pod maską dworskiej uprzejmości.

- Mam dość wywaru z maku i paskudnych zupek - powiedział spokojnie. - Najwyraźniej chce pani, bym był nieprzytomny.

- To prawda, milordzie. Przytomny upiera się pan przy samozniszczeniu.

Był to doskonały wstęp. Tre uśmiechnął się, a widząc, że Jane otwiera ze zdziwienia oczy, powiedział:

- Podobnie jak pani. Widzę, że upiera się pani przy postawie, która sprowadzi na panią nieszczęście. Zechciej usiąść.

Słyszając stalową nutkę w jego tonie, przysiadła na krzesło, jakby gotowa do ucieczki. Zając umykający przed lisem, czujny w obliczu niebezpieczeństwa.

Tre przyglądał się jej twarzy. Przeciagał milczenie, wzmagając napięcie. Ładne czoło, jasne oczy, uwodzicielskie usta... Zbyt dobrze pamiętał poprzednią wizytę w Ravenshed i nieprzeparte pragnienie, które wtedy poczuł.

Poruszyła rękami na podołku; zacisnęła szczupłe palce, zwracając na nie uwagę szeryfa. Wspomniał dłoń Jane na swoim ciele - chłodną, pewną, przyprowadzającą o wzwód - jej dotyk wyrwał go z wywołanego makiem otępienia. Nie był to sen, chociaż wtedy tak mu się wydawało. Miękki dotyk dłoni, muśnięcie, bolesna erekcja, która nie znalazła ulgi w krótkotrwałym uścisku.

Było, minęło, pozostawiając pusty pokój i niezaspokojone pragnienie. Nie, to nie sen... lady z Ravenshed trzymała jego członek w dłoni i ów intymny dotyk nie miał nic wspólnego z leczeniem rany. Tre był tego pewien.

Spoglądał na nią spod przymkniętych powiek, aż zaczęła się wiercić i wygładzać nieistniejącą fałdkę na spódnicy. Znów zacisnęła dłonie tak mocno, aż zbiełały jej knykcie. Czekał. Niech ona pierwsza przerwie milczenie...

- Mnieman, lordzie, że wezwał mnie pan nie bez powodu.

- Tak, lady Neville. Rozbójnik Robin Hood - niech mi pani o nim opowie.

Zawahała się, a potem niedbale wzruszyła ramionami.

- Wiem tyle co wszyscy. Robin został rozbójnikiem w czasach, gdy Jan był jeszcze księciem. Potem król Ryszard Lwie

Serce stał się jego orędownikiem. Śpiewano o nim ballady, opowiadano bajki. Większość z nich jest przesadzona, ale zawierają żdźbło prawdy. Robin zniknął.

- Czyżby.

Nie było to pytanie, lecz wyzwanie i Jane tak je odebrała.

- Wszystko na to wskazuje, milordzie.

- Sądzę jednak, że pani w to nie wierzy. Mam rację? Wie pani o nim coś więcej? Czy to prawda, że był pani krewnym?

Nie pozostawiał okazji na wykrety, żądał prawdy lub kłamstwa.

Zapanowało milczenie. Jane siedziała nieruchoma jak głaz i patrzyła na Tre. Jej wymowna twarz i chmurne spojrzenie wyrażały wewnętrzny konflikt.

- Jest moim wujem - powiedziała w końcu. - Był moim wujem. Teraz nie żyje. Odszedł prawie czternaście lat temu.

- Odszedł? Czy może umarł? To dwie różne rzeczy, milady.

- Umarł! - krzyknęła nagle rozgniewana, zaciskając pięści na podołku. - Odszedł na krucjatę ku czci króla Ryszarda i nigdy nie powrócił, pocięty na kawałki w pogańskim kraju, wszystko po to...

Przerwała. Zacisnęła wargi. Pozwolił jej milczeć. Wreszcie pobladała twarz nabrała kolorów. Jane westchnęła.

- To bardzo bolesne... cierpieć z powodu utraty kogoś bliskiego. Sam wiem, że niektóre straty są szczególnie trudne do zniesienia.

Słowa uwięzły mu w gardle. Żadne gładkie słowa nie ukoją jej bólu ani nie złagodzą jego tragicznych wspomnień.

Aimee...

Taka świetlista i łagodna... odeszła na zawsze, pozostawiając pustkę, której nic nie zapełni.

To zioła uczyniły go tak bardzo wrażliwym, że pozwolił, by przeszłość wróciła. Gwałtownie wciągnął powietrze, co podrażniło ranę, zadając ból fizyczny, pozwalający zapomnieć o innym bólu, na który nie ma lekarstwa.

Odegnął wspomnienia z powrotem do zakątka duszy, w którym przechowywał je nieskazitelnie czyste.

- Tak, milady, każdy kogoś utracił.

Jego głos brzmiał spokojnie, beznamietnie, jakby dochodził z wielkiej odległości; obojętność zapewniała bezpieczeństwo.

Jane uniosła powieki; rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Gdyby nie drżenie jej dłoni, pomyślałby, że udaje wzburzenie.

- To prawda, milordzie.

- Skoro Robin Hood nie żyje, a wraz z nim umarli podania, skąd się bierze sława Małego Johna, Szkarłatnego Willa, Alana z Dolin i Clyma z Wąwozu?

Jane nie odpowiedziała; milczenie było wystarczająco wymowne.

Szeryf skinął głową.

- Tak myślałem. Może Robin rzeczywiście nie żyje, ale pozostała banda jego kompanów. Sir Guy znalazł w holu łuk. Pięć stóp hiszpańskiego cisu.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy łuk w domu normañskiego rycerza to coś niebywałego, milordzie? Wystarczy się lepiej rozejrzeć, a natraficie na piki, miecze i maczugi...

- Pięć stóp hiszpańskiego cisu, milady. Nie sześć stóp. To łuk dla kogoś pani wzrostu. Pamiętam, jak wyglądał Hugh Neville. Był mężczyzną słusznego wzrostu, takim, który strzela z łuku liczącego sześć stóp długości. A ten łuk jest lekki, o naciągu sześćdziesięciu funtów.

- To nie jest łuk Hugh — odparła spokojnie. - Nawet Normanowie wiedzą, że robi się łuki dla młodych chłopców.

- Nie widzę tu żadnych młokosów.

Jane nagle pobladła.

- Tak, lordzie, nie mieliśmy dzieci.

Jej ton uległ zmianie; odpowiedziała na pytania nie kłamiąc, a jednak powiedziała niewiele. Już przedtem znał kilka faktów, które potwierdziła. Przyjęła do wiadomości, że podejrzewa ją o współdziałanie ze zbrojnikami.

Pełna godności, opanowana, pozwalała mu żywić nadzieję,

że w końcu zmusi ją do podania nazwisk i miejsc, w których ukrywali się jej współnicy. Zresztą i tak do niej przyjdą. Mały John już ją odwiedził; psy wytropiły jego ślady. Wróci, wystarczy poczekać. A jednak takie wykorzystywanie Jane byłoby nieuczciwe.

Bolała go głowa. Piekły oczy. Rozpalona skóra swędziała nawet pod lekkim okryciem. Musi znaleźć inny sposób. Schwytać zbójników, którzy rabowali Normanów i Anglosasów, to nie wszystko. On chce dostać tych, którzy celowo pozbawiali Normanów autorytetu. Kpili sobie z autorytetu szeryfa. Król Jan nie byłby zadowolony z szeryfa, który nie potrafi schwytać zbójników, nawet wtedy, gdy ich nazwiska i twarze są ogólnie znane.

Król...

Przeklęty pomiot piekieł: nieumiarkowany i uparty. Władca Anglii, tyran, konfiskator majątków... Zagarnął Brayeton.

Brayeton: strome wgorza, żyzne podmokłości... Zamknął oczy... opuścił pokój, przesiane przez okiennice światło, siedzącą obok damę. Ukrywał narastające niezadowolenie, które mogło go zdradzić. Jest baronem, a zredukowano go do piastowania urzędu publicznego. Teraz łasił się do króla jak pies. Irytujące.

Dał się ponieść urazie. Zdawał sobie sprawę, że Jane siedzi na krześle przy łóżku; słyszał jej lekki oddech i ciężkie milczenie.

Dziwne, ale ją rozumiał.

Pełna napięcia cisza zmieniła się. Stała się chwilą łagodnego wytchnienia. Poczul lekkie zawroty głowy, to dawały o sobie znać wypite napary z ziół. Nie poddawał się. Nie wtedy, gdy ona była tutaj...

Otworzył oczy. Szukał odpowiednich słów, by ją odprawić, zanim straci przytomność, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Jego wzrok tracił ostrość; zamazana twarz Jane zmieniła się w błądy migoczący owal, który nagle zniknął. Gdzieś daleko rozległ się jej głos, dochodzący jak przez mgłę:

- Lordzie szeryfie... źle się pan poczuł?

Nie... tak... Mam chorą duszę, a na to nie ma lekarstwa.

Jej twarz znów pojawiła się w polu widzenia: zmarszczone brwi, rozchylone wilgotne usta. Czuł jej zapach, woń mięty zdawała się wypełniać cały świat. Słodka, pikantna mięta. Otaczała go, odurzająca złudnym poczuciem spokoju.

Powoli unióśł rękę; ciążyła mu, jakby poruszał nią pod wodą. Ujął Jane pod brodę. Jasna skóra, nieskazitelna jak pierwszy śnieg, i jego dłoń, ciemny intruz na czystej bieli. Przez chwilę widział ogromne oczy, odbijające światło okna. Przyciągnął Jane bliżej i nakrył jej usta wargami. Westchnęła zaskoczona. Wpił się w jej usta. Smakowała mięta i pokusą. Pragnął jej. Wszystko dlatego, że jest zgorączkowany, obolały, zatruty ziołami.

Jednakże w tym delirium, sprowadzonym przez mak i pożądanie, tracił z oczu wszystko, prócz tej kobiety.

Wsunął język do jej ust. Zadrżała. Jęknęła. Cichy jęk rozpałił w nim ogień. Miesiące wstrzemięźliwości minęły bezpowrotnie; był twardy, gotowy dla niej, gotowy, by ulżyć sobie w jej aksamitnym cieple, podczas aktu, który uratuje ich oboje, przynajmniej na krótką chwilę.

I wtedy wywinęła mu się, pozostawiając go pogrążonego w smutku i pulsującego. Chwycił haust powietrza, przytomniał. Wzrok mu się wyostrzył, krew krążyła spokojniej, mięśnie się odprężyły.

Opuścił powieki. Zamrugał, pozbywając się resztek mgły, która zaćmiła mu umysł. Minęły zawroty głowy. Jane przyglądała się mu. Chmurne niebieskie oczy, utkwione w nim bez mrugnięcia. Nagle poczuł się jak głupiec, którego zmuszono do utraty kontroli nad sobą.

- Chwilowe umizgi. Bez znaczenia.

- Czyżby? - spytała lekko drżącym głosem. - Przykro mi to słyszeć, milordzie. Sądziłam, że jesteś mężczyzną, który nie ulega impulsom jak zwykły gówniarz.

Gniew i smutek wywołały falę gorąca, od której zapiekły

go twarz i szyja. Patrzył na nią przymrużonymi oczami. Nie zasłużył na taką ocenę.

- Masz cięty język, milady.

- Już to słyszałam. Mogę odejść?

Nagle poczuł się pozbawiony energii. Nie miał siły na rozmowę.

- Może pani odejść. I obiecuję, że odnajdę i aresztuję zbrojców. Niezależnie od tego, czy będzie to Robin Hood, czy Mały John, zniszczę ich.

- Goni pan za błędnymi ognikami, milordzie. Robin Hood zginął w krucjacie. Żyją tylko legendy.

- W takim razie je także zniszczę.

Pozostała chłodna i spokojna. Złowieszcza obietnica nie uciszyła jej ani nie onieśmieliła.

- Nigdy nie zniszczy pan legendy - odparła i uśmiechnęła się lekko.- Teraz już tylko one pozostały Anglii. Duma naszego narodu. To coś, czego wy, Normanowie, nigdy nie zrozumiecie. - Ruszyła w stronę drzwi, a potem przystanęła i dodała: - Żal mi pana, bo ma pan pustkę w duszy.

I wyszła, cicho zamykając drzwi. Patrzył na drewnianą płytę z angielskiego dębu. Zapanowała głucha cisza. Echo słów Jane rozbrzmiewało w jego głowie. Skąd wiedziała? Czym się zdradził? Jakie przypadkowe słowo lub ruch odkrył jego tajemnicę?

To prawda - w jego duszy panowała pustka. Od dawna. Otchłań, czarna dziura; otwierała się przed nim, gdy na nią spoglądał, ale on dobrze wiedział, że nie trzeba spoglądać w jej stronę. Nie mógł znieść widoku spustoszeń.

Żal mi pana, bo ma pan pustką w duszy...

Był stracony, stracony; tonął w pustce i w nędzy. Nie wiedział, jak się ratować, nie wiedział, czy w ogóle chce się ratować. Nic nie kołło bólu, który stale mu towarzyszył. Otwarta, krwawiąca rana. O, ironio, rany cielesne leczą się o wiele łatwiej niż duchowe...

12

Guy dostrzegł Lissę w małym ogrodzie niedaleko dworu. Przysiadła na kamiennej ławce z lutnią na kolanach. Długie palce trącały struny plektronem z kory brzozonej, wygrywając nieznaną mu melodię. Miała pochyloną głowę, kwef z zielonego jedwabiu otaczał fałdami jej twarz, okrywając tajemnicą nadejście Guya.

- Ładna melodia, milady.

Przekrzywiła główkę, uśmiech wypłynął na jej usta.

- Podoba się panu, sir?

- Czarująca. Chyba nigdy jej nie słyszałem.

Roześmiała się.

- Nie sądzę, by mógł ją pan słyszeć. To nie jest pieśń, którą zaakceptowaliby Normanowie.-

Pewnie pieśń bitewna, pomyślał rozbawiony.

- Zaśpiewa ją pani dla mnie? Lubię każdą muzykę.

- Skoro pan sobie życzy.

Przebiegła palcami po strunach. Jej bursztynowe oczy zalsniły jak złote monety.

- Lepiej brzmi po angielsku, będzie mi pan musiał wybaczyć.

Guy wzruszył ramionami. Choć rzadko się nią posługiwał, dobrze rozumiał angielszczyznę, która brzmiała twardo w porównaniu z normańską francuszczyzną. Guy zgiął długie nogi

i przysiadł na trawie u stóp damy. Błądził wzrokiem po białej skórze, widocznej w kwadratowym wycięciu sukni; wabiła go obietnica cienia pomiędzy piersiami, które przykuwały uwagę bardziej niż pieśń. Przez chwilę wyobrażał sobie, jak wygląda to, co jest przed nim ukryte. Przyjemne interludium w trakcie pracowitego dnia.

Minęła dłuższa chwila, nim do pogrążonego w miłym rozmarzeniu Guya dotarły słowa pieśni. Drgnął zaskoczony.

- *Gdy Robin podszedł do źródła w opactwie, rzekł w te słowa: Jestem bardzo zmęczony, czy, na miłosierdzie Boże, zechcesz mnie przenieść przez tą rwącą wodą?*

Guy uniósł dłoń, by ją uciszyć.

- Milady, śpiewanie tak prowokacyjnych pieśni w moim towarzystwie nie jest rozsądne.

Zamarła z dłonią na lutni. Uniosła brew.

- Normanowie rzadko rozumieją angielski. Większość z nich pogardza tą szorstką mową.

- Ja także. - Zacisnęła szczęki, wyczuwając w jej tonie szyderstwo. - Większość z nas, w tym i ja, nie rozumie tego języka, ale szeryf rozumie. Nie wyjdzie pani na dobre, gdy usłyszysz, co pani śpiewa.

Spodziewał się, że ją zawstydzi; nie docenił Lissy. Roześmiała się.

- Może wasz szeryf powinien rozszerzyć swoją wiedzę. Może powinnam pójść do niego i zaśpiewać tę pieśń, aby dowiedział się, jaką naturę mają ci, których ściga?

- Nie ryzykowałbym, milady. - Przysiadł na piętach i wpatrywał się w Lisę ze źle skrywanym zachwytem. -I niech pani nie liczy na to, że jej płęć ją ochroni, ponieważ szeryf nie czyni różnicy...

- Rzadko spotykam mężczyzn, którzy nie czynią różnicy, gdy chodzi o płęć.

- Przekona się pani, że Tre Devaux nie jest taki jak większość mężczyzn.

- Muszę to sprawdzić na własne oczy. - Uderzyła lutnie tak sugestywnym gestem, że Guy aż się cofnął. Lissa pochyliła się w jego stronę. Na jej wargach zaigrał lekki uśmieszek. - Szeryf jest uprzywilejowanym mężczyzną, ale pan także, rycerzu.

Gdy się schyliła, wycięcie sukni ukazało kremową skórę, miękkie kule piersi o barwie kości słoniowej, słodką pokusę ponad stanikiem. Flirt różowych brodawek, jedno mgnienie, zanim się wyprostowała. Guy natychmiast zareagował; język stanął mu kołkiem.

- Milczysz, rycerzu - wymamrotała po angielsku. Opuściła powieki, na policzki padł cień długich rzęs. - Czyżbym pana obraziła?

Wysunęła koniuszek języka, by zwilżyć wargi, a on pomyślał o rzeczach, o których myśleć nie powinien.

Poczuł żądzę, gorącą i dojmującą, która nie pozwalała mu wstać, bo lękał się, że jego erekcja zostanie dostrzeżona. Klęczał na trawie, z trudem utrzymując równowagę - tak łatwo sięgnąć i przyciągnąć Lissę do siebie. Sterta siana lub zacieniony kącik - nieważne; tylko że ona jest damą, poślubioną anglosaskiemu baronowi. Gdyby ją tknął, znalazłby się w niebezpieczeństwie.

A jednak pragnął nakryć jej wilgotne usta wargami, chciał ująć w dłonie jej krągłe piersi i smakować je, dopóki nie da mu wszystkiego... Chciał zadrzeć jej spódnicę i wnikać w głąb.

Lissa wstała z ławki. Spoglądała na niego z uśmiechem.

- Przerwałam grę, ponieważ moja muzyka zasmuciła pana. Odprowadzi mnie pan do domu, rycerzu?

Pokusa... niepewność. Wahał się. Policzki spłonęły mu rumieńcem, był bardziej wstydlivy niż dama. Zbliżyła się. Wycięta szata pozwalała dojrzeć obfite piersi, różowe i kremowe. Szepnęła po francusku:

- Nikomu nie powiem o naszej... rozmowie - rzekła znacząco.

Guy podniósł się z ziemi, rozgniewany, że Lissa tak z nim igra.

- Nie ma o czym opowiadać, milady.

- Czyżby? - Spojrzała z ukosa i uśmiechnęła się lekko. - Może ma pan rację. - Wyprostowała się, odwróciła i rzuciła powłóczyście spojrzenie przez ramię. - Ale możemy to zmienić, rycerzu.

Guy ani drgnął. Patrzył, jak odchodzi przez podwórze. Napięty, pełen pożądania, przyglądał się jej leniwym ruchom. Szczupłe biodra, rozświetlony przez słońce zielony kwef o barwie młodego listowia, nieprzeparte pragnienie. Bez skomplikowanych emocji lub potrzeby zapewnień; z Lissą z Gedling obejdzie się bez pięknych słówek i fałszywych deklaracji. Była wcieleniem tego, przed czym przestrzegają księża.

Hol rozświetlały płomyki świec. Na pobielanych ścianach tańczyły złociste i czarne cienie. Były tam tylko Jane i Lissa.

- Lissa, jak mogłaś? - zapytała Jane, ścisząc głos.

Lissa wzruszyła ramionami.

- Było zabawnie, a ja ostatnio bardzo się nudzę - odparła rozdrażnionym tonem. - Sir Guy jest młody i przystojny, zupełnie inny niż Walter. - Nachyliła się w stronę kuzynki. - Przynajmniej nie jest jakimś pijusem z tawerny, w jakich gustuje Walter.

Tu był pies pogrzebany. Jane milczała przez chwilę, bo oskarżenia kuzynki nie były bezpodstawne. Wszyscy wiedzieli, że Walter z Dunham wolał towarzystwo obwiesi niż przebywanie z młodą żoną.

W końcu rzekła:

- Możesz się pomylić. Sir Guy nie jest jakimś zaślepionym świntuchem, który będzie ulegał twoim zachciankom. To Norman i rycerz. Byłoby nierozważne igrać z nim tak, jak to czynisz z innymi.

Lissa roześmiała się cicho.

- Jest takim samym mężczyzną jak wszyscy inni.

- Nie, Lisso. Nie takim jak inni. Flirtowałaś z żółtodziobami. A Guy de Beaufort jest zaufanym człowiekiem szeryfa. Nie jest gołowąsem, który rozpacza, gdy zmarszczysz brew. Nie doczekasz się sonetów miłosnych, wychwalających twoje złote włosy i białe piersi, ani pieśni, które miałyby cię skłonić do przesłania jednego uśmiechu. Tym razem źle osądzasz przeciwnika.

- Nie sędzę. - W przeczeniu pobrzmiewał ton niepewności i Jane postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

- Daj mu spokój, Lisso. On się w tobie nie zakocha.

- A cóż ty wiesz o miłości? - spytała Lissa i zacisnęła wargi. - Jesteś wdową w żałobie po utraconym mężu i po zmarnowanej młodości. Nie zaznałaś miłości i już jej nie zaznasz. Czeką cię klasztor lub inne małżeństwo z rozsądku. Tylko to pozostaje kobietom, które nie chwytają chwili przyjemności, jaka się im nadarza.

- Tak jak ty czynisz? - Zraniona okrutną prawdą słów kuzynki, Jane nie dawała za wygraną. - Nie widzę w twoim życiu żadnej radości, a tylko niezadowolenie. Czy zaznajesz przyjemności z każdym mężczyzną, którego uwodzisz?

Dolna warga Lissy zadrżała. W oczach zabłyśły łzy.

- Nie - powiedziała. - W moim życiu nie ma radości. Po prostu wydaje mi się, że gdy to tylko możliwe, powinnam korzystać z chwil skradzionych rozkoszy.

Jane westchnęła i objęła Lissę. Przytuliły się na krótko, a potem rozdzieliły, speszone i onieśmiałone.

- Rozumiem - powiedziała Jane. - Naprawdę. Po prostu martwię się o ciebie. - Ujęła dłoń Lissy i mocno uściśnęła. - Jesteś mi bardzo droga. Nie chcę, by ci się stała jakaś krzywda.

Zapadło milczenie.

- Ja także lękam się o twoje bezpieczeństwo, Jane. Devaux oznacza kłopoty. Po co się tu zatrzymał?

Jane nie mogła wyjawiać prawdy, nie zdradzając swoich towarzyszy, więc tylko pokręciła głową.

- Szeryf odjedzie, gdy zagoi się jego rana.

- Ale... - Lissa zmarszczyła brwi. - On zadaje zbyt wiele pytań. Słyszałam plotki, Jane. Pogłoski, że Robin Hood powrócił.

- Powrócił? - Jane spojrzała na Lissę i parsknęła śmiechem.

Lissa przysięgła, że to prawda.

- Walter powiedział mi, że to Robin Hood osaczył szeryfa przy Dębie Kogucie Pióro. Słyszał to od człowieka, który tam był.

- Od jednego ze zbójników? - Jane pokręciła głową. - To tylko pobożne życzenie, a nie prawda.

- Skąd ta pewność? - Lissa zmrużyła oczy. - Szeryf ci powiedział?

- On nie mówi, on tylko zadaje pytania. Gdyby to była prawda, nie wypytywałby nas, czy Robin Hood żyje.

- Och - westchnęła Lissa z rozczarowaniem. - Chyba masz rację. Szkoda. Anglia potrzebuje bohatera.

Zapadła cisza. Ale inna niż poprzednio, jakaś lżejsza. Świece migotały, rozsiewając woń ziół, które Jane umieściła w łoju. Musi ich zebrać więcej. Jej zapasy uszczupliła kuracja szeryfa. Wciąż zwlekał z odjazdem. Kiedy wreszcie zostawi ją w spokoju?

Powinien wkrótce opuścić Ravenshed. Jego rana prawie się wygoiła, siły mu powróciły. Na myśl o jego pocałunku poczuła, że pieką ją policzki. Rzadka chwila radości w pustce jej życia. Nigdy nie była tak całowana. Nigdy.

Hugh na początku był bardzo uważający w stosunku do młodej, niedoświadczonej dziewczyny. Gdy nabrała lat i chęci, ustalił się model ich pożycia. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, że czegoś w nim brakowało. Do teraz, gdy poznała namiętny pocałunek.

Siedziała spokojnie w przytulnym, dobrze znanym holu

swego domu, lecz czuła się obca we własnym ciele, jakby to była jakaś nieznana kraina. Jakże inne mogłoby być jej życie... ale przecież nie powinna marnować czasu na czcze rozważania. Nic jej to nie da.

Na palenisku tańczył ogień; czerwone, pomarańczowe i niebieskie języki łakomie pożerały dębowe drewno, obracając je w popiół.

Jutro rano pójdzie nazbierać nowych ziół. Podczas tej wyprawy zerwie kilka pędów bluszczu, aby przyozdobić dom. Dena zaklinała się, że owa roślina odgania zło i otacza opieką domowników. To głupota wierzyć w takie bujdy, ale w trudnych czasach nigdy zbyt wiele ostrożności.

Nagły przeciąg pochylił płomień; w kominku coś głucho jęknęło. Jane zdrżała. Dena powiedziałaaby, że to ostrzeżenie, zwiastujące śmierć.

Pomyślała o Małym Johnie. Tre Devaux odgrażał się, że będzie go ścigał jak pies gończy, dopóki nie weźmie go żywcem. Jednak pojmie go tylko po to, by go powiesić dla postrachu, aby pokazać wszystkim mieszkańcom hrabstwa Nottingham, co czeka rozbójników.

Nie mogła nic uczynić, by powstrzymać szeryfa. Nic.

Niespokojny, rozdrażniony przymusową bezczynnością, Tre przemierzał niewielki pokój, którego okna wychodziły na podwórze. Liczył deski podłogi - szesnaście od łóżka do okna i tyle samo skrzypnięć pod jego ciężarem.

Skrzywił wargi. Oto, co mu pozostało, liczenie desek w podłodze, nudna egzystencja inwalidy.

Teraz już inwalida jedynie z nazwy; stopniowo wracały mu siły, chociaż wciąż jeszcze nękały go nawroty irytującej słabości.

- Jutro będę wystarczająco zdrowy, by dosiąść konia - powiedział Guyowi, który rozsiadł się w rozchwierutanym fotelu. - Tkwę tu cały tydzień, siedem pełnych dni, w czasie których Gaudet robi, co mu się żywnie podoba. O wiele za długo.

Guy podrapał się w brodę i unióśł brwi.

- Gонец z Nottingham codziennie zapewnia, że wszystko jest w najlepszym porządku i że możesz tu bawić, jak długo zechcesz.

- Właśnie dlatego muszę wracać, zanim sprzeniewierzy urząd szeryfa. - Spojrzał na Guya, który kpił sobie z jego słów. - Już i tak pewno pozmieniał zamki we wszystkich drzwiach.

Guy roześmiał się cicho.

- Nawet Gaudet nie jest aż tak głupi.

- Nie. - Tre wyrzął przez okno na rozświetlone słońcem podwórze. - Jednak gdyby tylko znalazł sposób, by się mnie pozbyć, z pewnością by to uczynił.

- Gdyby znalazł sposób. - Guy wstał, przeciągnął się jak wielki leniwy kocur i podrapał się po piersi. - Ale nie ma sposobu, by się ciebie pozbyć. Pilnuje go bystre oko króla Jana.

- Mnie także ono pilnuje - powiedział Tre gorzko. - Gdy tylko nawinie się okazja, Gaudet natychmiast ją wykorzysta.

- To pewne. Jednak uwięziliśmy rozbójników, ściągając opłaty i zebrałeś ludzi, których domagał się król, oraz uspokoiłeś baronów. Czegóż więcej Jan może sobie życzyć?

Przez otwarte okiennice wpadał ciepły wietrzyk. Tre oparł się o framugę okna. Wzruszył ramionami.

- Z Janem nigdy nic nie wiadomo. Tylko dybie na moją pomyłkę, by mnie aresztować. - Przesesał palcami włosy i poczuł ból w boku. - Ostatnio zażądał, żebym aresztował zbójców z lasu Sherwood i dokonał na nich egzekucji.

- Gaudet bez wątpienia wysłał mu wiadomość o katastrofie pod Dębem Kogucie Pióro.

- Moja klęska byłaby Gaudetowi na rękę. - Naprzeciwległej ścianie pojawiła się plamka słońca. Tre przyglądał jej się przez chwilę. - Teraz, gdy papież zaproponował Janowi kompromis, klątwa zostanie zniesiona.

- I król znów się pogodzi z Kościołem i wycofa z wojny z Filipem? - Guy pokręcił głową. - On tylko gra na zwłokę.

Jan nie miał żadnych oporów przed zerwaniem ugody z Kościołem lub papieżem, jeżeli tylko służyło to jego celom. Przy powierzchownym spojrzeniu wyglądało na to, że rozejm króla z Kościołem jest dobry dla wszystkich. Jednak w gruncie rzeczy byłby to podstęp.

Tre spojrział na Guya.

- Kto z nami został?

- Wszyscy z wyjątkiem podkomendnych Olivera. Wieści od niego są pocieszające. W Nottingham panuje spokój. - Guy

podszedł do okna i oparł się o ścianę przy framudze. - Dzień jest zbyt piękny, by go marnować w domu. Do Nottingham jedziemy dopiero jutro. Dziś jesteśmy tutaj. Co powiesz na spacer po ogrodzie?

- Spacer po... - Tre powiódł wzrokiem za spojrzeniem Guya i pokręcił głową. - Idź, skoro musisz. Ja zostanę w pokoju.

Guy wyszedł, zostawiając dębowe drzwi otworem.

Tre spojrzął na podwórze pod oknem. Po trzech dniach deszczu wypogodziło się; łagodne słońce oświetlało pola, las i... damę na podwórzu.

Lady Dunham zajęła kamienną ławkę pod krzywym murem, który otaczał podwórze. Jej jaskrawoniebieski strój stanowił niewielką plamkę na tle szarych kamieni muru. Obietnica w jedwabiach. Pochyleniem głowy i uśmiechem zaprosiła sir Guya, by przy niej usiadł. Przesunęła się, robiąc mu miejsce.

Byli do siebie podobni. Obydwoje jasnowłosi i urodziwi, o lekkim sposobie bycia. Żarciki, piękne słówka, coś zupełnie innego niż bezruch rekonwalescenta.

Innego niż lady Neville z jej ciętym językiem. Pałace wspomnienie:

Żał mi pana, bo ma pan pustką w duszy...

Spojrzał na siebie jej oczami: krzepki mężczyzna, który tylko udaje, że żyje. Oświecające odkrycie.

Podrapał się po brodzie; poczuł szczecinę zarostu. Powinien się ogolić. Miał zbyt długie włosy. I choćby ciągle żuł miętę, nie mógł się pozbyć niesmaku.

Starał się zająć myśli czymś innym, lecz wciąż prześladowało go owo słuszne oskarżenie...

Nagle odwrócił się na pięcie. Spacer po ogrodzie będzie doskonałą okazją do samotnych rozmyślań. Guy nudziłby się w jego towarzystwie. Chwycił kurtkę z lekkiej zielonej skóry, którą dano mu zamiast ciężkiej kolczugi. Nie chciał się zastanawiać, kto nosił ją przedtem. Kurtka była lepsza niż nic.

Zejsście po stromych schodach kosztowało go więcej wysiłku,

niż się spodziewał. Długie wylegiwanie w łóżku znacznie go osłabiło. Przeszedł przez pusty hol; przed nim majaczyły drzwi.

Przystanął na progu. Oślepiły go intensywne promienie słońca. Po wielu dniach spędzonych w domu potrzebował dłuższej chwili, by jego oczy przywykły do ostrego światła. Odświeżające powiewy wiatru niosły woń róż i mięty, gdakały kury, pobekiwały jagnięta.

Zwykła, codzienna egzystencja, z dala od króla i zamków. Spokój i obietnica rodzącego się życia, zamiast intryg i niesnasek; gdyby pozwolił, stałyby się jego udziałem. Lecz on nie mógł pozwolić. Wiejskie zacisze nie było mu pisane. Nawet gdyby pragnął odejść, król nie zgodziłby się na to, obawiając się, że Tre wznieci powstanie przeciwko niemu, tak jak uczynił senior obecnego szeryfa.

Przysłaniając oczy dłonią, zszedł po stopniach i ruszył przez podwórze. Guy powitał go uśmiechem, podczas gdy lady Dunham przyglądała mu się z niezadowoleniem. Na podółku trzymała lutnię.

Tre odjął dłoń od oczu, skłonił się Guyowi, a potem spojrział na damę. Sytuacja była lekko niezręczna i wymagała zdawkowej wymiany zdań.

- Grywa pani na lutni, lady Dunham?

- Tak, lordzie szeryfie, grywam. Szczególnie lubię ballady, czy życzyłyby pan...

Guy zerwał się z ławki i powstrzymał Lissę gestem dłoni.

- Chyba nie chce pani nadużywać sił inwalidy, lady Dunham. Chodźmy. Obiecała mi pani przechadzkę.

Na ustach damy zagrał lekki, tajemniczy uśmieszek. Z wdziękiem podniosła się z ławki.

- Doskonale, sir Guy. Myślę, że spodoba się panu spacer pomiędzy różami.

Rozbawiony zachowaniem Guya, Tre spoglądał, jak odchodzili do ogrodu. Nie uszło jego uwagi, że dama upodobała sobie rycerza. Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby nie to,

że Lissa była żoną anglosaskiego barona. Guy chyba nie okaże się głupcem, bo owa dama może na niego sprowadzić kłopoty.

Po przeciwnej stronie podwórza, obok stajni, kilku ludzi szeryfa reperowało uprzęż i czyściło broń. Guy powyznaczał im czasochłonne zajęcia, aby się nie nudzili. Nuda często bywa przekleństwem żołnierskiego życia. Ostatnio również jego życia.

Tre ruszył wąską ścieżką, odchodzącą od prawego narożnika domu, która wiodła do ogrodu za kuchnią. Podmuchy wiatru niosły woń ruty. Po tyczkach pięły się młode pędy fasoli i grochu. Obok rozciągały się rzędy kapusty pod wrzeczono-watymi łodygami wrotyczu i dzięgla, które rozsiewały mocny zapach. Pachniała również mięta.

Tre zerwał listek mięty, roztarł go pomiędzy palcami i po-wąchał. Była to słodka mięta, doskonała jako przyprawa i nadająca się do odświeżenia ust. Zaczął żuć listek i poczuł jego silny smak.

Obszedł kuchnię, spostrzegł starszą służącą - Dene? - która przyglądała mu się, stojąc w drzwiach. Dygnęła, a on od-wzajemnił się skinieniem głowy. Była to stara, zatroskana kobieta, bardzo oddana swojej pani.

Dalej, na zboczu opadającym w stronę muru, który otaczał posiadłość, zaczynał się sad. Jabłonie, grusze i wiśnie stały obsypane kwieciami. Powietrze przepełnione było ich wonią. Wiosna, wszystko budzi się do życia.

Tre nieoczekiwanie poczuł miły spokój. Nie powinien sobie pozwalać na taki luksus, bo może stracić czujność i postąpić nierozważnie.

Rozległo się cichutkie miauczenie i Tre przystanął. Tym razem zabrzmiało głośniejsze, więc spojrzął w górę. Oblepione różowymi kwiatami gałęzie wiśni poruszyły się lekko i znowu dobiegł go pisk.

Rozgarnąwszy liście i kwiaty, spostrzegł źródło tych dźwięków; maleńkiego szarego kotka ze sterczącą sierścią i o ogrom-

nych oczach, miauczącego z przerażenia. Przywarł do gałęzi z pazurkami wczepionymi w korę. Rozwarł różowy pyszczek i jeszcze raz zamiauczał. Z ziemi dobiegła odpowiedź, zachęcająca kotka do dalszych wysiłków.

Tre zauważył chwiejącą się wysoką trawę, a pośród niej uchwycił kształt przemykającej kotki. Jeszcze raz spojrzął na kociaka, miauczenie zmieniło się paniczny wrzask. Zaniepokojona kotka ukryła się w pobliżu, nie chcąc zostawić dziecka.

Tre uniósł rękę i chwycił kociaka. Zanim postawił go na ziemi, jego pazurki i zębki zrobiły swoje. Kotek fuknął i uciekł wraz z matką.

Tre oglądał poniesione obrażenia, gdy usłyszał cichy śmiech. Zacisnął usta. Czy ona zawsze musi być w pobliżu, gdy on odnosi rany? Uniósł głowę.

- Kot bez wątplenia anglosaski.

- Tak - odparła Jane. - Ale jego ojciec jest pochodzenia normańskiego.

- Na czym opiera pani swoje przypuszczenie?

- Zdobył stajnie szturmem, szybko pokonał rywali i założył rodzinę. Proszę mi pokazać rękę. - Pomimo protestów, ujęła go za nadgarstek, odwróciła dłoń wnętrzem do góry. - Zdraśnięcia nie są głębokie.

W jej włosach zaśniło słońce. Tre poczuł znany zapach mięty. Zacisnął palce na jej ręce, gdy chciała ją cofnąć.

- Mały dzikus.

- Tak. Obawiałam się, że szary kociak będzie podobny do ojca.

- Miałem na myśli panią, nie kotka.

- Doprawdy? - Podniosła na niego niebieskie oczy. - Nigdy nie nazwano mnie dzikusiem.

- Zdziwiający. Może nikt nie miał na to dosyć odwagi.

- Ale pan ją oczywiście ma. Dzielny Norman - dodała, powstrzymując uśmiech.

- Dzielny? Tak, tak przypuszczam. Teraz trochę wynędzniały, ale żywy.

- Jak Graymalkin - nasz normański kocur - pewnie dysponuje pan dziewięcioma żywotami.

- Już nie. W ciągu ostatnich kilku lat większość z nich zużyłem. Jeden z nich odebrał mi drag Małego Johna.

Z twarzy Jane zniknął uśmiech. Tre nieomal pożałował swoich słów. A jednak taka była prawda. Czekał, ale gdy Jane nie odpowiedziała, spojrzął ponad nią na kwitnące drzewa.

- Tamtej nocy pies szedł jego śladem do tych murów. Ja zostałem ranny, ale kapitan Oliver ścigał go dalej i stracił ślad w strumieniu. Odnalazł go za sadem, na północnym stoku.

- I udało mu się go schwytać, milordzie? - spytała spokojnym tonem.

Tylko lekki grymas jej ust wskazywał na to, że jednak jest wzburzona.

- Nie. Nie udało się. O czym pani z pewnością doskonale wie - odparł po chwili milczenia.

- Wiem tylko tyle, ile uzna mi pan za wskazane powiedzieć.

- Jeśli to prawda, to rzeczywiście jest pani słabo poinformowana. - Puścił jej rękę i Jane się cofnęła. Powróciło napięcie; ciążyło pomiędzy nimi, żywe, namacalne, nabrzmiąte podejrzliwością. Dobrze znana, dzieląca ich bariera...

Jane nie odeszła, jak się tego spodziewał, lecz pozostała pod wiśniowym drzewem. Wiatr szumiał pomiędzy gałęziami, które cicho postukiwały o siebie, gubiąc kremowe kwiatki. Kilka z nich osiadło na głowie Jane.

Milczenie Jane sprawiło, że napięcie zmalało. To prawdziwy dar, pomyślał, stwarzać wrażenie spokoju pomimo zdenerwowania. Ucisk w jego żołądku osłabł. Powietrze znów zapachniało słodko, kwieciem wiśni i miętą. Tre oddychał swobodniej, ból w boku już mu tak nie dokuczał.

Znajdował się na niebezpiecznym terytorium. Nie musiał się

złościć, by trzymać Jane na dystans. Głupotą byłoby pozwolić, aby sentymenty zbiły go z kursu, który obrał, na długo zanim poznał lady Neville. W jego życiu nie było miejsca na sentymenty.

Otrząsnął się, odrzucił obietnicę spokoju, który mu oferowała, odnalazł właściwe słowa:

- Jutro wracamy do Nottingham. Spodziewam się, że wkrótce schwytam wszystkich rozbójników.

- I wtedy w pańskim życiu ponownie zagości spokój i równowaga, prawda, milordzie?

Skąd ona to wie? Przygana i wypomnienie. Jego życie nigdy nie będzie spokojne ani harmonijne. Westchnął głęboko, aż zabolęła go rana.

- Nie, ale dokonam tego, do czego mnie powołano.

- To z pewnością wielka satysfakcja, milordzie.

- Poczuję ją, gdy wykonam zadanie.

Niebieskie oczy zarzucały mu kłamstwo. Dlaczego mu nie wierzyła? Mógłby powiesić wszystkich wyjętych spod prawa rozbójników i nadal spać spokojnie.

Położył dłoń na jej ramieniu, zacisnął palce na niebieskiej wełnie.

- Robię, co do mnie należy, i nie mam wyrzutów sumienia z powodu dorosłych mężczyzn, którzy ustanawiają swoje własne prawa. Nie wojuję z kobietami i z dziećmi. Nawet jeżeli nie wniosą należnych królowi opłat, potraktuję je sprawiedliwie. Nie osadzam w więzieniach żon, wdów ani starców. Nie pozwalam moim ludziom na grabieże. Gdyby któryś z moich strażników postąpił niegodnie, miałby ze mną do czynienia. Nie pozwalam wykorzystywać niewinnych.

Zamilkł, widząc, że Jane się z nim nie zgadza.

- Wiem, że wśród królewskich straży zdarzają się ludzie, którzy nie przestrzegają tych zasad - dodał. - Nie mam wpływu na nich ani na ich postępowanie. Odpowiadam wyłącznie za siebie oraz ludzi pod moimi rozkazami. Nie pozwolę także, by ktokolwiek podważał mój autorytet.

- Typowa arogancja Normanów.

Zacisnął usta.

- To nie ma nic wspólnego z cechami Normanów czy Anglosasów. Rozboju nie można tolerować.

Ku jego zdumieniu, Jane nie oponowała.

- Tak, milordzie - powiedziała, skinąwszy głową. - Rozboju nie można tolerować.

- Nie spodziewałem się takiego łatwego zwycięstwa. Jestem teraz w kłopotcie.

- Miło mi to słyszeć. - Odstąpiła do tyłu i dłoń Tre opadła z jej ramienia. Nie chciała spojrzeć mu w oczy.

- Zawsze tak łatwo się pani poddaje, gdy nie ma pani racji?

- Nie wiem - odparła, spoglądając w kierunku jego lewego ucha, nadal omijając oczy. - Zwykle to ja mam rację.

- Ach, tak. I uskarża się pani na arogancję Normanów?

Uśmiechnęła się i wreszcie spojrzała mu w oczy.

- Może nie tylko Normanowie bywają zarozumiali.

- Chyba tak.

- Tak łatwo się pan poddał... - Znów łypnęła na niego okiem, przyglądając spódnicy. Nerwowy gest; strój leżał na niej bez zarzutu. Zwykła suknia z niebieskiej wełny, ściągnięta w talii prostym paskiem - umocowany był na nim pęk kluczy, które podzwaniały cicho przy ruchach Jane. Tym razem nie miała kwefu, tylko przepaskę na czole. Gładko szesane włosy zaplotła w warkocz.

- Nie poddałem się, lecz ustąpiłem.

- Czy to nie to samo?

- Nie. Nie poddałem się całkowicie. Tylko zgodziłem się z pani supozycją.

- Niewielka różnica...

- Tak. Niewielka. - Nagle zirytowała go ta utarczka słowna.

Wcale nie chciał zapędzać jej w kozi róg. Zapragnął ją objąć, wsunąć palce w jej wspaniałe włosy i smakować usta. Znowu

poczuł żądze, gorącą, nagłą i nieprzepartą. Jeżeli się jej podda, będzie stracony.

Wyciągnął rękę i oparł na jej karku. Poczuł pod palcami gruby warkocz, jedwabiste włosy skazane na brutalną pieszczotę. Zachwiała się; niebieskie oczy spojrzały zdumione, usta chwyciły szybki oddech.

Nie zwracając uwagi na jej opór, zapomniał o rozsądku i opadł wargami na jej usta, które rozchyliły się i pozwoliły mu wnikać głębiej.

Głód narastał. Wędrował ku podbrzuszu, gdzie buchnął płomieniami. Lgnął do Jane całym ciałem, przyciskając ją do pnia wiśni. Gałęzie zadrżały; opadła z nich fala wonnego kwiecia.

Czuł, że mu ulega. Nieuchwytnie wrażenie, ciche westchnienia, rozluźnione mięśnie. Pragnął tej uległości i obawiał się jej. Mogła zniszczyć ich obydwoje.

Zły na siebie i na nią, napierał ciałem, czując drżenie jej delikatnych ud i słuchając zamierającego oddechu. Na chwilę zapomniał o gniewie, zapragnął dotykać gładkiej skóry pod niebieską wełną.

Pieścił ją dłonią, podczas gdy jego język badał wnętrze ust Jane, z uwagą i podnieceniem. Wydała cichy jęk, gdy w końcu natrafił na nagą skórę na ramieniu. Trzasnęła rozdierana tkanina. Nieoczekiwany dar - jego dłoń powędrowała niżej i odnalazła pełną pierś. Kciuk i palec wskazujący zacisnęły się na cienkim płótnie i drażniły brodawkę.

Jane przerwała pocałunek, wygięła się w łuk, opierając o pień wiśni, ale Tre przytrzymał jej podbródek, nie pozwalając się wywinąć. Czuł pulsowanie krwi, pełny wzwód. Napierał na brzuch Jane. Przeklinając dzielące ich warstwy ubrania, znów zaczął ją całować. Krew w uszach dudniła. Poczuł, że Jane się zachwiała. Zacisnął palce na brodawce. W gardle Jane narastał jęk. Była jego, przynajmniej przez chwilę...

Dla obydwójga było to nowe przeżycie.

Jane zadrżała, czując pieszczoty i pocałunek. Powinna go odepchnąć, ale płonący w niej ogień zniweczył wszelką ostrożność. Jej ciało garnęło się do niego, rozkwitało pod jego dłonią.

Niezręcznie wyswobodziła się z uścisku. Uniosła rękę do jego twarzy. Dotknęła palcami szczeciny zarostu, pogładziła po policzku. Lgnął do niej z siłą i determinacją, tak że wyraźnie czuła kształt napierającego na nią wzrodu. Przymknęła powieki; powróciło wspomnienie jego członka w jej dłoni, jedwabisty płomień i twardość stali, dumny normański baron domagający się jej uwagi.

Zacisnął palce na jej włosach, pociągnął za warkocz, aż zapiekła ją skóra i Jane uniosła głowę; gwałtowny pocałunek rozpałił jej wargi. Był w nim gniew i pożądanie. Czuła pulsowanie w ciele Tre. Pod jego naporem wezbrane piersi stały się obolałe. Żelazne pierścienie kurtki ostro wpijały się w skórę Jane. Płonęła. Pomiedzy nogami odczuwała pełen niepokoju rozkoszny ból.

Pocałunek urwał się raptownie. Tre dyszał gorącym oddechem w jej ucho. Przycisnął twarz Jane do skórzanej kurtki i wyszeptał:

- Ktoś nadchodzi.

W pierwszej chwili te słowa wydały jej się pozbawione sensu. Docierały do niej powoli poprzez mgłę, która ją spowijała. Zrozumiała dopiero, gdy Tre się cofnął, wypuszczając ją z objęć.

Podniosła dłoń i namacała opuchnięte wargi, a potem ramię w rozdarciu sukni. Szybko i sprawnie połączyła rozprute brzegi, przykrywając nagą skórę i lnianą bieliznę.

Spojrzała na Tre. Jego twarz była ściągnięta, rysy wyostrome, skóra zaczerwieniona i napięta na kościach policzkowych i podbródka. Spod półopuszczonych powiek błyskały zielone oczy. Przelotnie musnął ją wzrokiem. Napięcie narastało.

Z trudem wciągnęła powietrze w obolałe płuca. Intensywność przeżycia była przerażająca. A najgorsze było to, że tak łatwo uległa.

Woń kwitnących wiśni stała się nagle zbyt słodka; natarczywy zapach, który przenikał wszystko wokół. Poczwała mdłości. Zadrżała pomimo ciepłych promieni słońca, przesączających się poprzez gałęzie.

- Zbliży się sir Guy - powiedział obojętnym tonem.

Spojrzała poza nim i dostrzegła Guya, który szedł ku nim ścieżką. Tre nie dotykała jej, ale jego ciało stanowiło barierę, która ją osłaniała przed wzrokiem nadchodzącego.

- Doprowadziłaś się do porządku?

- Tak - odparła i skinęła głową.

Uśmiechnął się lekko.

- Kobiety mają szczęście. Moja reakcja jest lepiej widoczna. Spojrzała w dół, spiekła raka i zdusiła śmiech.

- Wcale się nie skarzę.

- Widzę.

Guy był coraz bliżej. Łączące ich intymne więzy zostały zerwane. Jane odczuwała niepokój towarzysza. Pociemniały mu oczy. Słowa przychodziły mu z wyraźną trudnością.

- Już się nie zobaczymy. Jutro wyjeżdżam.

- Tak. Wiem - wybąkała, lecz on ją zrozumiał i płonąącym wzrokiem spojrzał w jej oczy.

Wyszedł Guyowi naprzeciw i skierował na bok. Jane nie ruszyła się spod kwitnącej wiśni. Pień dawał oparcie, jego chropowata kora pod plecami stanowiła pociechę. Jane poczuła słabość w nogach, kolana jej dygotały, niezdolne utrzymać ciężaru ciała.

Tre wyjedzie. A z nim odejdzie napięcie, minie nieznośny niepokój i podniecenie. Ravenshed powróci do normy. Nadejdą długie dni wypełnione pracą, daj Boże, by obeszło się bez małych i wielkich tragedii. Życie znów potoczy się dobrze znaną koleiną.

A ona chyba tego nie zniesie.

14

20 maja, 1213

Byłeś długo nieobecny, milordzie. W tym czasie do mnie należało podejmowanie decyzji. - Gervaise Gaudet zacisnął dłoń w pięść. Lśniącymi oczami odpierał baczny wzrok Tre.

- To teraz będziesz je odwoływał. Nie pozwolę na samowolne zabijanie więźniów. Bez względu na to, czy są rozbójnikami, czy nie. Wszystkim ludziom przysługuje prawo do sprawiedliwego sądu.

- Sprawiedliwość? Taka, jaką się posługują w lesie? Ci ludzie to dzikusy, mordercy, gwałciciele i zbrodniarze. Wyrzutki społeczeństwa.

- Słuchaj mnie uważnie, Gaudet. - Tre ściszył głos, tak że zastępca szeryfa musiał dobrze nastawić uszu, by go zrozumieć. - Oskarżeni rozbójnicy zawisną po procesie, z wyroku sądu. Ty nie jesteś sędzią ani katem, a jeśli będziesz mi się stawiał, poczujesz na karku ciężar mego prywatnego prawa.

Zapanowała cisza; jedynym odgłosem był syk płomienia pochodni w żelaznym uchwycie przytwierdzonym do ściany. Nikt spośród ludzi słyszających ostre słowa szeryfa nie śmiał się odezwać.

- Grozisz mi, lordzie? - zapytał wreszcie Gaudet. Jego ton był opanowany, mimo pobielających bruzd, które zarysowały mu się przy ustach.

- Ja nie grożę. W odpowiednim czasie wypełnię obietnicę. Nie widzę potrzeby czczych pogrózek — znacząco odparł Tre, a jego oczy błysnęły złowieszczo. - Będziesz bezpieczny na tym stanowisku, dopóki zachowasz ostrożność. Nie masz więcej władzy nad normańskim grodem niż pierwszy lepszy kasztelan.

W wypolerowanym łańcuchu, który Gaudet dumnie nosił na szyi, załśniło światło. Kępka zarostu na szpiczastym podbródku zadrżała z gniewu; zastępca szeryfa zacisnął szczęki.

- Sam król mianował mnie szeryfem anglosaskiego grodu Nottingham. Jestem ważną osobistością.

- Dopóki nie przekroczysz granic. Szczycąc się własną powagą, nie zapominaj o tym, że przysięgałeś posłuszeństwo wobec zwierzchników. Król mnie mianował najwyższym szeryfem, a ciebie zastępcą, Gaudet.

Człowiekowi tak dumnemu i ambitnemu jak Gaudet trudno było znieść, że upragniony urząd dostaje się komu innemu. Czułby się jeszcze gorzej, wiedząc, że mężczyzna obejmujący to stanowisko uważa jego piastowanie za degradację.

Tre przywołał Guya gestem dłoni.

- Dołącz do nas, sir Guy. Musimy omówić zbliżającą się wizytę króla. Jan przysłał wiadomość, że zatrzyma się w Nottingham w wigilię świętego Jana, po drodze na polowanie w Clipston Palace. Pozostawimy sir Gervaise'owi swobodę w sformułowaniu odpowiedzi, a sami zajmiemy się uroczystościami ku czci króla.

- Uroczystościami? - Guy dojrzał ostrzegawcze spojrzenie Tre i uśmiechnął się ponuro. - Rozumiem.

- Nie -parsknął Gaudet. - Nie sądzę, byś rozumiał. Król lubi egzekucje. A my mamy rozbójników do powieszenia. Wieszanie zawsze gromadzi tłumy. Należy się spodziewać, że król będzie pod wrażeniem, gdy połączymy egzekucje z obchodami wigilii świętego Jana. Zwłaszcza w świetle jego pojednania z papieżem.

- Tak - mruknął Guy. - Wieszanie rozbójników to zaiste

odpowiedni sposób, by uświetnić obchody imienin i dać wyraz radości z pojednania z Kościołem.

Tre oparł się o stół. Przez okno sączyło się szare światło. Znowu padał deszcz. Wilgoć napływała do holu i przenikała chłodem kości szeryfa.

Myśl o królu zmroziła go jeszcze bardziej

- Możliwe - powiedział i zobaczył, że Guy spogląda na niego zmrużonymi oczami - że wyjdzie nam to na korzyść.

- Tak właśnie uważam - wycedził jadowicie Gaudet. - To się spodoba królowi.

- Najbardziej spodobałyby mu się pełne skrzynie pieniędzy i wytepienie wszystkich rozbójników. - Guy postawił jedną stopę na drewnianej skrzyni. - A my nie zaoferujemy mu ani jednego, ani drugiego.

- To nie moja wina - powiedział Gaudet, unosząc brwi. - Ja wypełniałem swoje obowiązki. Do szeryfa należy oczyszczenie hrabstwa z rozbójników oraz ściąganie opłat.

Tre powstrzymał Guya, który chwycił za rękę miecza.

- Zostaw go, Guy. On ma rację.

- On ci uraga! - Guy z gniewem wskazał Gaudeta. - Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że to on wysłał zaproszenie królowi, wiedząc, że Jan nie będzie zadowolony z tego, co tu zastanie.

- Ja także bym się nie zdziwił. Ale są metody postępowania ze zdrajcami. - Odczekał, aż Gaudet przestanie wlepić wystraszone wzrok w Guya, i popatrzy na niego. - Perfidia rodzi perfidię.

Zastępca szeryfa obnażył zęby w drapieźnym uśmiechu.

- Sam pan najlepiej wie, że zawdzięcza swoje stanowisko właśnie perfidii - burknął.

- Tak. Ale nie takiej, jak sobie wyobrażasz. Gdyby nie perfidia mego anglosaksońskiego zwierzchnika, nie byłbym tutaj. On stracił wszystko na skutek własnej zdrady. Uważaj, bo spotka cię to samo.

Gaudet nic nie odpowiedział na to ostrzeżenie, tylko opuścił hol z furkotem czerwono-żółtych szat.

- Jeśli nie będziesz go pilnował, narobi ci poważnych kłopotów - mruknął Guy.

- Narobi ich, nawet gdy będę go pilnował.

- Tak więc król przybywa do Nottingham. Mamy miesiąc na oczyszczenie hrabstwa z rozbójników i na napełnienie królewskich skrzyń.

- A jednak Gaudet wyświadczył nam przysługę, chociaż o tym nie wie.

- Zapraszając króla? - zapytał Guy z niedowierzaniem.

- Zapraszając króla na uroczystości. - Tre wstał od stołu. - Wyjaśnię ci to, gdy zajrzemy do królewskich apartamentów.

Opuścili główny hol. Naprzeciwko znajdowały się pomieszczenia kuchenne oraz pokoje szeryfa. Ślizgając się na wilgotnych kocich łbach, szli przez środkowy dziedziniec do bramy, wiodącej na górny dziedziniec i do apartamentów królewskich. Krople deszczu lśniły na kamiennych łwach, siedzących po obu stronach bramy. Na moście zwodzonym zastygł jednorożec. Kiedy podniesiono dla nich bramę, zazgrzytały łańcuchy. W dole lśniła mulista, cuchnąca stęchlizną fosa, której nie odświeżył nawet padający deszcz. Strome stopnie wiodły na górny dziedziniec, otoczony przez cztery wieże i wysokie mury obronne.

- Trudno się pogodzić z poddaniem tej twierdzy nawet królowi Ryszardowi - mruknął Guy, przechodząc pod wysoką wieżą, która strzegła wejścia na górny dziedziniec. - A jednak wystarczyły zaledwie trzy dni.

- Widziałeś króla Ryszarda. Obroniłbyś przed nim zamek? Guy roześmiał się cicho.

- Nawet bym nie próbował. Co zamierzasz, by pokrzyżować plany Jana?

- Widzisz to? - Tre wskazał na nowo wybudowaną wieżę. - Oto część planu Jana. Zamierza umocnić mury i ufortyfikować

zamek. Wie, że to może być konieczne. Zobaczysz jeszcze więcej.

Weszli do okrągłej wieży; znajdowała się w obrębie apartamentów królewskich, wraz z kaplicami, strażnicami oraz spichlerzem, otoczonych murami o grubości piętnastu stóp. Była to najwyższa część zamku Nottingham. Przysiadła na szczycie piaskowcowej skały, która sterczała z Królewskich Łąk nad rzeką Leen.

Wewnątrz panował mrok nie rozświetlony przez okna ani przez pochodnie. Jedyne oświetlenie stanowiła wąska szczelina, przepuszczająca słaby strumień szarego światła, które z trudem wydobywało cienie. Tre nie wspiał się na spiralne kamienne stopnie, które wiodły na szczyt. Macając podłogę palcami stopy, odliczył cztery kamienie, a potem jeszcze jeden, zanim znalazł mały występ. Przyklęknął. Musnął palcami żelazny zatrzask umieszczony w kamieniu, ukrytym pod schodami.

- Czy ktoś jest w pobliżu? - zapytał przez ramię.

- Nie - odparł Guy. - Ani żywej duszy.

Wsunął palce w żelazny pierścień i pociągnął. Zazgrzytało/gdy kamień tarł o kamień. Pociągnął jeszcze raz i kamień się uniósł; owiało go pachnące pleśnią powietrze. Ukazała się czarna otchłań.

- Piwnica? - zapytał Guy rozczarowany.

- Coś więcej, Guy. Chodź. Zapal je. - Podał Guyowi dwie świece, aby je zapalił od pochodni przy wejściu.

- Powinniśmy tam zaczekać, aż się ściemni - powiedział Guy.

- Nie. Wtedy światło będzie lepiej widoczne. Nie idziemy daleko. - Wślizgnął się w otwór, spojrzął w górę, zobaczył twarz Guya i wyszczerzył zęby. - Jesteś jednym z nielicznych, którzy o tym wiedzą. Schodź ostrożnie. Nie rób takiej nieufnej miny. Nawet Gaudet o tym nie wie.

- O czym? - rozległ się głos Guya, który podążał za towarzyszem. Rozejrzał się dookoła. - To tunel.

- Właśnie. Prowadzi do rzeki.
- Do rzeki Leen?
- Pod browarem i pod Rock Yard. To naturalny tunel w skale, na której stoi zamek. Uważaj!
- Jak go znalazłeś? - wyszeptał Guy. Tunel stromo opadał w dół, ginąc w ciemności.
- Przez przypadek. - Tre uniósł świecę, lecz po chwili zgasła od przeciągu. Świeciła tylko świeca Guya. - Miał o nim wiedzieć tylko król.
- Tajemne wyjście...
- Zbudowane po oblężeniu przez Richarda. Kończy się tuż nad rzeką.

Wydychali obłoczki pary. Nawet w ciemności widać było, że Guy docenia istnienie tunelu. Stanowił on wyjście z zamku, ale również wejście do niego. Niebezpieczna wiedza u niepowołanych ludzi.

Gdy wrócili do wieży, stanęli w miejscu, gdzie nie docierał deszcz. Wyżej, na najwyższych umocnieniach, stały strażę.

- Król spodziewa się wojny domowej - powiedział Guy. - Planuje ją. Ma zamiar potraktować Nottingham jako główną twierdzę w walce z baronami.

- Tak, też tak sędzę. To tłumaczy zapotrzebowanie na pieniądze i mury obronne, choć Francuzi wcale się tu nie wybierają. Gdyby jednak został przyparty do muru, ma drogę odwrotu... no i powrotu.

Północny dziedziniec został już częściowo otoczony drewnianą palisadą. Jeszcze jeden mur obronny.

- A król przybywa za miesiąc - powiedział Guy cicho. - Czy wojna z baronami ma się wtedy zacząć?

- Możliwe. Jeśli tak się stanie, znamy wyjście.

W oddali rozległ się grzmot. Poza wysokimi murami górnego dziedzińca Królewskie Łąki rozciągały się aż po rzekę Trent, której wody były ledwie widoczne pod zalesioną skarpa.

Londyn był daleko stąd, lecz nigdy nie wydawał się aż tak blisko jak w tej chwili.

- Co zrobimy z rozbójnikami? - zapytał Guy. - Mówiłeś, że masz plan.

- Gaudet był dość uprzejmy, by za nas rozwiązać ten problem, choć byłby niepocieszony, gdyby się o tym dowiedział.

Guy z uśmiechem postępował za nim po stromym zejściu na środkowy podwórzec.

- Tym niecierpliwiej czekam, by usłyszeć, co zamierzasz.

- To bardzo proste. Zaprosimy ich na uroczystości ku czci króla.

O tej porze roku dnieje wczesnym rankiem. Jane stała w ciemnościach przy murze stajni. Miała na sobie luźną tunikę i rajtuzy pod czarną narzutką, a na wierzchu czerwony kaptur z dzwoneczkiem przszytym do długiego końca. Był to strój trędowatego, dobre przebranie, które zapewni jej bezpieczeństwo w podróży.

Wokoło panowała cisza. Jane wyprowadziła ze stajni starą, nie rzucającą się w oczy kobyłę i dosiadła jej po męsku. Opactwo Rufford leżało spory kawałek od Ravenshed. Modliła się, by zastać tam Brata Tucka.

Wepchnięty pod tunikę, złożony pergamin trzeszczał i drażnił delikatną skórę. Nosił pieczęć szeryfa, teraz już złamaną. Został przywieziony przez posłańca z zamku i zawierał rozkaz sformułowany jako zaproszenie: Turniej i bankiet na cześć króla -jej obecność jest pożądana. Pismo oficjalne i obojętne - ani słowa na temat tego, co między nimi zaszło.

Czy Devaux chce ją wywabić z domu, czy też ją ostrzega?

Męczyła ją niepewność; Jane nie była dobra w takich sprawach, nie rozumiała podwójnych znaczeń i intryg. Ufała nielicznym - Małemu Johnowi i Bratu Tuckowi. Potrzebowała rady.

Dzwonek trędowatego zadźwięczał głośniejsz, gdy skierowała

ociężałego konia na wschód od Ravenshed. Wąskie opłotki były opustoszałe; ani śladu żołnierzy czy strażników. Brzęczenie łańcuchów uprząży wtórowało dzwoneczkowi, podskakującemu na jej plecach, i oba dźwięki zamierały w ciemności.

Ujechała spory kawałek od Ravenshed, gdy zrobiło się widniej. Ponad zalesionymi wzgórzami pojawiło się słońce; szarość stała się perłowa, nad zagajnikami unosiły się strzępki mgły. Jane poczuła ciepło na plecach. Kiedy zbliżała się do Bilstrophe, droga była jaskrawo oświetlona. W usytuowanym na wzgórzu i otoczonym lasami zaścianku panowała cisza. Przejeżdżając, nie napotkała żadnego przechodnia; ludzie obawiali się trędowatych.

Wreszcie na horyzoncie pojawiły się mury opactwa Rufford. Gdy podjechała bliżej, stwierdziła, że bramy stoją otworem. Jane zsiadła z konia, zmieniła strój trędowatego na zwykłą suknię pątnika i poprowadziła zgonioną kobyłę wzdłuż drogi do opactwa. Cystersi w białych habitach uwijali się przy pracy; prowadzone przez opactwo lecznica, stajnie i gręplarnie wełny pomagały utrzymać mnichów i braci zakonnych. Odkąd król zaprzestał grabieży Kościoła, życie opactwa wróciło do normy.

Reguła milczenia nie pozwalała na rozmowy pomiędzy mnichami i braćmi zakonnymi. Odwiedzającym także nie wolno było się odzywać.

Jane odpowiadał ten zakaz, bo gdyby coś powiedziała, rozpoznano by, że jest kobietą.

Nie spostrzegła nigdzie Brata Tucka. Stała samotnie na zewnątrz zachodniego skrzydła. Refektarz braci zajmujących się kuchnią oddzielał je od refektarza mnichów. Odgłos dzwonka obwieścił główny posiłek. Bracia i mnisi weszli do refektarza. Nie było wśród nich Tucka.

Rozczarowana i głodna weszła do nisko sklepionego pomieszczenia. Wnikające przez łukowate okienka smugi światła rozświetlały mrok. Nie zapalono świec. Bracia w milczeniu brali łyżki z niszy w ścianie i sadowili się przy długich stołach,

ustawionych w dwa rzędy. W niszy południowej ściany znajdował się krucyfiks i płonąca świeca.

Odmówiono modlitwę; gdy bracia zabrali się do jedzenia, ciszę zmaćniało stukanie drewnianych łyżek o miski. Jeden z mnichów głośno czytał im po łacinie Pismo Święte, reszta posilała się w milczeniu.

Jane nie unosiła głowy. Widziała grube okrągłe filary, podtrzymujące łukowato wygięty strop. Kamienna podłoga była zimna i wilgotna. Jane cieszyła się, że wysokie buty ogrzewają jej nogi i stopy. Zupa była gęsta i smakowita; pływały w niej kawałki porów, rzepy i mięsa. Był też czarny chleb i piwo.

Czytanie Pisma Świętego skończyło się wraz z posiłkiem. Wszyscy wstali od stołów i opuścili refektarz. Jane wlokła się z tyłu. Gdy wyszła na dwór, mrużąc oczy przed jaskrawym światłem, ktoś chwycił ją za łokieć, odciągnął na bok i wprowadził przez drzwi do najbliższego pomieszczenia.

Znalazła się w długiej wąskiej rozmównicy, przylegającej do refektarza. Tutaj można było cicho rozmawiać. Na ławkach wzdłuż ścian siedzieli bracia.

- Tuck!

- Tak, to ja - odparł głosem ochrypłym od długotrwałego milczenia. - Tutaj noszę imię brat Robert. Nie mamy dużo czasu. Rozmawiać możemy tylko w określonych godzinach i tylko tutaj.

- Muszę się zobaczyć z Małym Johnem; możesz mnie do niego zaprowadzić?

Na okrągłej twarzy Tucka odmalowała się konsternacja; zawahał się, rozejrzał wkoło, w końcu się uśmiechnął.

- Spotkajmy się po nonie przy kościele w Wellow.

- Będę przebrana za trędowatego...

- Tak, wiem. - W jego tonie pobrzmiwał śmiech. - To przebranie nikogo nie zmyli. Spotkamy się, gdy ukończę obowiązki.

W głowie Jane kłębiły się setki myśli; czas włókł się niemiłosiernie, zanim znów dojrzała Tucka, nadchodzącego

wąską ścieżką, która wiodła z opactwa do maleńkiego zaścianka o nazwie Wellow. Jego tęga postać poruszała się pewnie i z wdziękiem. Gdy ujrzał Jane, czekającą obok kobyły, jego krągłą twarz rozjaśnił uśmiech.

- Trędowaty z koniem. Przezabawne.

- Mnich z wielkim brzuchem to także rzadkość - odparła ze śmiechem.

- Ten krzyż dźwigam bez przykrości. - Brązowe oczy zajrzały pod jej kaptur. - Z upływem lat stajesz się coraz piękniejsza.

- A twoja mowa coraz bardziej potoczysta. Co nowego u mojej ciotki?

Usiadła, a Tuck opadł na stopień obok niej.

- Lady Marian, to jest siostra Maria, jest zadowolona, że przebywa w klasztorze, z dala od świeckiego życia. Lecz od czasu do czasu zdarza się, że świat wnika nawet do klasztoru. Przesyła ci swoje błogosławieństwo.

Marian. Żona Robina, jej ciotka. Przed laty schroniła się w zakonie, z dala od świata i od tych, którzy ją kochali. Tylko Brat Tuck kontaktował się z nią, a i to z rzadka. Do oczu Jane napłynęły łzy. Marian była ostatnią żyjącą osobą z rodziny; wszyscy inni dawno pomarli.

Tuck chwycił ją za ramię.

- Walesby jest niedaleko stąd - powiedział. - Jaskinie są zamknięte. Pójdę z tobą.

- Zakonnik i trędowaty - roześmiała się. - Trudno nas nie zauważyć.

- Spokojnie, moja panno. Za daleko zabrnęłaś, żeby teraz się wycofać. Matka byłaby z ciebie dumna, gdyby zobaczyła, na jaką silną i ładną kobietę wyrosłaś.

- Moja matka? - Powróciły wspomnienia, zatarte przez czas. Niewyraźna wizja ciemnowłosej kobiety, która pachniała miętą. - Matka byłaby oburzona - odparła i uśmiechnęła się słabo - gdyby wiedziała, co robię.

- Mówisz o napaści pod Dębem Kogucie Pióro?
- Tak. Widzę, że ci o tym powiedziano.
- Słyszała o tym calutka Anglia, milady. Chociaż niewielu się domyśliło, że zakapturzonym rozbójnikiem, który pokonał szeryfa, grożąc mu jedną strzałą, była niepozorna dziewczyna, a nie powracający bohater.
- Lord Dunham zaklina się, że Robin Hood powrócił.
- Tak. Mówią o tym nawet z dala od Lasu Sherwood. Do opactwa również dotarły wieści. Szeryf został bardzo upokorzony.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że nigdy nie pomyślała o wstydzie Devaux, lecz tylko o własnych emocjach. Oczywiście, musiał się czuć zawstydzony - został pokonany przez rozbójnika; na dodatek w bardzo niezręcznej sytuacji. Pogłoski o tym są znacznie bardziej upokarzające niż o ucieczce rozbójników.

Teraz szeryf ukazał jej się w innym świetle. Pod szorstką powierzchownością krył się człowiek o miłych odruchach; zdjął z drzewa kociaka i oddał kotce, okazywał cierpliwość starej służącej, z którą czasami ona sama nie mogła wytrzymać.

Sama nie wiem, co myśleć... wprawił mnie w zakłopotanie swymi pocałunkami, a potem zostawił bez słowa. Jaki on jest? Miły czy grubiański? A może to wszystko to tylko farsa? Sposób na osiągnięcie własnych celów?

- Jesteś bardzo podobna do matki - powiedział Tuck, podtrzymując ją, by nie potknęła się o bruzdę.

- Jestem zupełnie inna niż ona - odparła z rozpaczą. - Matka była damą. Moje najwcześniejsze wspomnienia to jej uwaga o tym, że jeżeli nie zacznę zachowywać się jak dama, narobię sobie wstydu. Wygląda na to, że miała rację.

Tuck nie odpowiedział; idąc, ciężko dyszał i z trudem stawiał kroki.

- To żaden wstyd pomagać tym, którzy są w kłopotcie, milady - powiedział w końcu. - Pamiętaj o tym. Twoja matka nigdy o tym nie zapominała.

- Tak. - Jane wdychała słodką woń dzikich róż. - Matka nigdy o tym nie zapomniała.

Późnym popołudniem dotarli do płytkiej rzeki Maun, która wiała się leniwie wśród łąk upstrzonych makami. Trawa falowała na wietrze, szemrząc cicho. Ciepło słońca i podmuchy rozwiewające włosy były dobrodziejstwem; pozwalały zapomnieć o strachu. Jane przystanęła, słuchając plusku rzeki na progach z czerwonych piaskowców. Na jednym z brzegów rozciągał się gęsty, chłodny las, oddzielający Walesby od rzeki.

- Ścieżką przez las - wydyszał Tuck, wskazując w prawo, gdzie gęste drzewa nieco się przerzedzały.

Jane zatrzymała kobyłę. Zwierzę ciężko sapało. Pogłaskała konia i poczuła, że jest bardzo rozgrzany.

- Która ścieżka prowadzi do pieczary?

- Wyjdą po nas. - Tuck pochylił się i wsparł dłonie na kolanach. - Zaczekamy tutaj. - Zamiast białej wełny cyster-sów miał na sobie gruby brązowy habit, który okrywał go po kostki.

Jane usiadła pod drzewem na obfitym zielonym mchu. Podkurczyła nogi i zdjąwszy kaptur, poprawiła włosy. Tuck, stękając, przysiadł obok niej.

- Z wiekiem i tuszą stają się coraz bardziej sztywny i ociężały - mruknął. Po skroniach spływały mu strużki potu, zwilżając włosy pod tonsurą. - Dobrze, że usunąłem się ze świeckiego życia. Wyzionąłbym ducha ze zmęczenia.

Jane uśmiechnęła się z przymusem. Tuck nie wypytywał jej, jakby wyczuwając, że zwierzy mu się, gdy będzie gotowa. Zerwała źdźbło trawy; dzwoneczek trędownatego zadzwieczał cicho, gdy się poruszyła. Szkapą pasła się obok.

Wśród gęstego listowia rozległy się przenikliwe krzyki gołębia leśnego i turkawki. Tuck zerwał się na nogi.

- Załóż kaptur, milady.

Jane przytrzymała się ręki Tucka i także wstała. Poprawiła kaptur i wepchnęła weń długie pasma włosów.

Po chwili usłyszała niskie pohukiwanie sowy. Gęstwina liści zadrżała i rozstała się na boki.

Spośród krzewów i wysokiej trawy wyszedł mężczyzna ubrany w strój z zielonej tkaniny wyrabianej w Lincoln. Nieznajomy z powagą spojrzął na Jane i Tucka, po czym skinął głową.

- Zostawcie konia.

Poprowadził ich wąską ścieżką w gęstwinę drzew. Po pewnym czasie ścieżka zwęziła się i wreszcie zniknęła. Weszli w tunel splecionych gałęzi; ponad głowami szczebiotały ptaki, pod stopami trzaskały patyki.

Wynurzyli się na stromym zboczu. Przed nimi, jak forteca, wznosiły się czerwone piaskowce. Szczyt skał porastały maki; pod drzewami niebieszczyły się kępy niezapominajek. Fiołkowe kwiaty pełzającego po ziemi bluszczu napełniały powietrze silnym zapachem.

Tuck ciężko dyszał; jego twarz stała się równie czerwona jak piaskowce. Jane położyła mu dłoń na ramieniu, a on pokiwał głową i uśmiechnął się z trudem.

- A to dopiero! - dobiegł ich wesoły głos. - Tłusty mnich!

- Tak - odparł zaspany Tuck. - I dama. Pilnuj języka.

I wtedy naprzeciw Jane ukazał się Mały John. Jakby wyrósł spod ziemi.

- Ten trędowaty to nasza milady! - wykrzyknął radośnie.

- Tak. Trędowaty z wizytą u włóczęgów i złodziei. Cieszę się, że jesteś bezpieczny, Mały Johnie.

- Ano, jestem, milady. Bo i czemuż nie miałbym być? - John podał jej ogromną rękę, aby pomóc jej przejść po śliskiej trawie i skałach na brzegu rzeki. - Tędy. Pośpiesz się, Tuck. Do pieczary!

Połknęła ich pachnąca pleśnią otchłań. Gdy oczy Jane przywykły do ciemności, stwierdziła ze zdziwieniem, że pieczara jest głęboka. Czas wydrążył w niej zagłębienia. Warstwa po warstwie niszczył miękkie piaskowce, tworząc naturalne uchwy-

ty dla rąk i półki, na których można było ustawić świece. Na ziemi, obok popiołu ogniska, znajdowały się legowiska ze skór zwierzęcych.

Od warstwowych ścian odbijało się echo sapania Tucka. Lizała ich delikatna poświata świec. John zatrzymał się, wskazał płytką półkę w miękkiej skale.

- Nie ma poręczy, ale to niezłe siedzisko, milady - powiedział i zwrócił się do Tucka: - Ty i tak masz na czym siedzieć. Co cię tu przyniosło?

- Pokuta - westchnął Tuck i usadowił się na piaskowcu pokrytym żwirem i otoczkami. - Jeszcze się... dość... nie nacierpiałem - wysapał z trudem.

John pokręcił głową.

- W takim razie wybrałeś odpowiednie miejsce, Bracie Tuck. Tutaj nie znajdziesz domowych wygod. - Jane uchwyciła jego spojrzenie. - Co słyszać w moim domu w Hathersage, milady? - spytał. - Obawiam się, że zostanie zajęty, skoro w nim nie przebywam.

Nie mogła mu powiedzieć nic pocieszającego. Z zalem pokręciła głową.

- Nie mam żadnych wieści.

Sapanie Tucka ucichło.

- Ale przynosimy ci inne nowiny, które cię rozweselą, Johnie Lyttle - powiedział taktownie. - Powiadają, że Robin Hood powrócił, chociaż my dobrze wiemy, że to nasza panienka postawiła się szeryfowi. Krążą pogłoski, że rozbójnicy znowu obejmą rządy w Lesie Sherwood.

John wybałuszzył oczy, z zachwytem trzepnął się dłonią po kolanie i wykrzyknął gromko:

- A niech mnie! Warto było stać się banitą za sam widok sikającego szeryfa, któremu Jane przyłożyła grot strzały do gardła!

- Żałuję, że mnie tam nie było. - Tuck pokiwał głową i westchnął przeciągle. Rozczapierzył grube paluchy na kolanach

i pochylił się do przodu. - Ale teraz będą kłopoty. Król przybywa do Nottingham.

- To nie król gania po lasach i dolinach ze swymi bandytami - powiedziała Mały John. Wesołość zniknęła z jego twarzy. Zacisnął ogromne pięści. - Powiniennem być go zabić, gdy nadarzyła się okazja! - ryknął wściekle.

- Na nic by się to nie zdało. Jego miejsce zająłby nowy szeryf. Możliwe, że jeszcze gorszy. Devaux jest srogi, ale nie okrutny - rzekł Tuck i potarł nos grubym paluchem.

- Nie miałam odwagi przysłać umyślnego - powiedziała Jane, pochylając się do przodu. - Obawiam się, że wizyta króla oznacza coś więcej niż uroczystości i turnieje.

Wyjęła spod tuniki trzeszczący pergamin, wygładziła go drżącymi palcami i podała Tuckowi. Ponieważ John nie umiał czytać, mnich odczytał na głos:

Jest pożądane, by lady Neville z Ravenshed stawiła się na zamku Nottingham w dniu dwudziestego pierwszego czerwca, aby wziąć udział w bankiecie i turnieju na cześć Jego Królewskiej Mości...

Tuck przerwał, podniósł wzrok i z oburzeniem zgniół pergamin.

- Czcic króla, który gnębi Kościół karami pieniężnymi, więzi księży, pogardza papieżem? To farsa! Cała Anglia od czterech lat jest obłożona klątwą, ponieważ król Jan nie zechciał aprobować nominacji Stephena Langtona przez papieża Innocentego na stanowisko arcybiskupa Canterbury. Księżom nie pozwolono celebrować mszy, udzielać ślubów, a nawet ostatnich sakramentów, a teraz my mamy zapomnieć o tej hańbie i czcic honor króla bankietem? Prawdziwa perwersja!

Jane ponuro skinęła głową.

- To brzmi fałszywie. Nie wiedziałam, jak mam postąpić, więc przybyłam spytać was o radę. Na placach odczytywane są zaproszenia chętnych do udziału w turniejach. A baronowie mają w nich uczestniczyć ze względu na honor króla. Wszyscy,

Anglosasi i Normanowie. Boję się, że chodzi o coś więcej, niż może się wydawać.

Zapadło milczenie. Jane westchnęła i dodała cicho:

- To pachnie zdradą. Zapowiedź wysokich nagród ma zachęcić rozbójników, by wzięli udział w turnieju. Albo żeby grabili podróżnych, przybywających do Nottingham. Boję się, że chcą was schwytać, John.

- I boisz się, że złapiemy się na tę przynętę? - John zachichotał. - Nie. Nie ma obawy, milady. To zbyt oczywiste.

- A pomyślałaś o tym - zapytał powoli Tuck - że to może być pułapka na ciebie, milady?

W grocie zapanowało pełne napięcia milczenie. Nie wymówiono imienia Robin Hooda, lecz pamięć o nim wciąż była żywa. Jane zamknęła oczy. Słowa Tucka wciąż rozbrzmiewały w jej głowie. Litania prześladowająca ją jak widma przeszłości:

A pomyślałaś o tym, że to może być pułapka na ciebie...?

CZEŚĆ III

NOTTINGHAM CASTLE

21 czerwca, 1213 r.

Środkowy dziedziniec zalany był słońcem. Wieże z trzepoczącymi proporcami lśniły złociście. Tre spostrzegł ją po przeciwnej stronie zatłoczonego podwórca, przy białym rumaku. Welon z różowego jedwabiu unosił się łagodnie na wietrze, który zawsze wiał ponad zamkiem Nottingham. Patrzyła w bok i Tre widział jej profil, tak czysty, jakby był wyrzeźbiony w alabastrze.

Zaklął cicho. Co tutaj robi lady Neville? Nottingham było niebezpiecznym miejscem, zwłaszcza dla niej. Gdy przybędzie król, obecność siostrzenicy Robin Hooda nie będzie tu mile widziana. Jan, do którego z pewnością dotarły pogłoski o powrocie rozbójników do Lasu Sherwood, może się rozgniewać.

Tre przeniósł wzrok na starego barona obok Jane. Lord Creighton nosił się dumnie i w stylu anglosaskim; miał długie siwe włosy sięgające ramion. Na podwórku roiło się od baronów i ich świty: konie, psy, służba; prawdziwy chaos barw i dźwięków. Wszędzie pełno wścibskich oczu... Gdyby ją stąd odesłał, nie uszłoby to powszechnej uwagi. A jednak pokusa była wielka.

Ruszył po kamiennym bruku dziedzińca. Pierwsza spostrzegła go Dena. Trąciła swoją panią.

Jane, z wdziękiem godnym królowej, skinęła mu na powitanie głową.

- Miło mi, lordzie szeryfie, że zaprosił mnie pan na uroczystości i bankiet.

Zabrzmiało to jak wyuczona na pamięć czeza formułka. Tre udał, że tego nie zauważył.

- Nie zapraszałem pani, milady.

W jej niebieskich oczach pojawił się wyraz niepewności.

- Nie? W takim razie zaszła jakaś pomyłka...

- Ja się nie mylę. - Poirytowany zacisnął usta. - Nie powinna pani tu przyjeżdżać. To niebezpieczne.

Zadarła głowę i skrzywiła się.

- Skoro jest tu tak niebezpiecznie, to winien pan ostrzec wszystkich obecnych.

- Dosyć tego, lady Neville. Nie mam nastroju na utarczki słowne. Po co pani tu przybyła?

Spojrzała na niego wyzywająco.

- Cóż w tym dziwnego, że odpowiedziałam na wezwanie do Nottingham na turniej i bankiet?

- Wezwanie? - Chwycił jej ramię tuż nad łokciem. - Muszę z panią porozmawiać na osobności, lady Neville.

- Może pan mówić tutaj, szeryfie, Dena jest zaufaną służącą, a lord Creighton...

Obrócił się szybko i spojrzał na Denę i lorda Creightona.

- Lady Neville wkrótce powróci.

Creighton zaprotestował, ale służąca okazała więcej rozsądku; milcząco się przeżegnała.

Devaux poprowadził Jane w róg podwórza, z dala od koni i ludzi. Nie wypuszczając z dłoni jej ramienia, powiedział ponuro:

- Uważam, że obecność pani tutaj jest nieusprawiedliwiona.

- Uważam pańską nieuprzejmość za obraźliwą! - odparła gniewnie. Spojrzała na szeryfa pałającym wzrokiem. - Otrzymałam wezwanie... żądanie, by tu przybyć.

Zmrużył oczy.

- Kto je dostarczył? - zapytał, choć podejrzewał, jaką usłyszy odpowiedź.

- Poślaniec z zamku. Pergamin nosił pańską pieczęć. - W jej tonie znów zabrzmiała niepewność. - Nie pan przysłał tę wiadomość?

Gaudet. Dobrze byłoby poznać, jakie pobudki kierowały Gaudetem, gdy wabił lady Neville, aby przybyła na zamek Nottingham.

- Nie - odparł krótko. - Wolałbym, by została pani w Ravenshed.

- Pańska uprzejmość nie ma granic, milordzie - odrzekła lodowatym tonem. - Gdybym wiedziała, że nie jestem tu mile widziana, pozostałabym w Ravenshed.

Spokojnie patrzył na oblewający twarz Jane rumieniec. Jej reakcja wydawała się szczerą, jednak on stracił zaufanie do ludzi. Oswobodził jej ramię i odwrócił wzrok. Na podwórzec wjeżdżał tłum jeźdźców. Zamek już był przepełniony. Wzdłuż drogi do Trent jedwabne namioty wyrastały jak chwasty. Wkrótce przybędzie jeszcze król Jan ze swym orszakiem.

- Gdy nadjedzie król, zaczną się niesnaski, milady.

- W takim razie nic się nie zmieniło od czasu mojej ostatniej audiencji u króla.

Gorzkie stwierdzenie prawdy.

- Też tak sędzę - odparł z lekkim uśmiechem. - Jednym z największych darów naszego króla jest umiejętność stwarzania zamętu, gdziekolwiek się pojawi.

- Wygląda na to, że nie jest to cecha wyłącznie królewska.

- Czyżby to była aluzja do mnie, milady?

- Jest pan bystrzejszy, niż się wydaje, milordzie.

Powinien się zirytować, gdyż nie lubił drobnych złośliwości. Jednak rozumiał jej smutek i zawód, zdawał sobie sprawę, że ją obraził. Takt nie należał do jego mocnych stron.

Ujął ją pod łokieć i wyprowadził z cienia drewnianych budowli wzniesionych przy kamiennym murze, który oddzielał środkowy dziedziniec od wewnętrznej fosy. Wielki hol znajdował się dokładnie naprzeciw kwadratowej kamiennej strażnicy

i zwodzonego mostu. Poprowadził ją dookoła. Gęsta trawa tłumiła ich kroki. Od północy ciągnęły się królewskie ptaszaraie, mieszczące sokoły i jastrzębie; z tyłu, w cieniu ogromnych drzew i omszałego muru, znajdowała się kaplica. Na poświęconej ziemi rozsiane były kamienne nagrobki. Nikt się tu nie zapuszczał, panowała więc cisza i spokój; tylko z daleka dochodził stłumiony gwar.

Tre wypuścił ramię Jane i wskazał niską ławkę pod cienistym dębem. Lady Neville unikała wzroku szeryfa. On przyglądał się jej i czekał w milczeniu.

Jane usiadła, spłótła na podołku długie, smukłe palce. Jej dłonie były delikatne, lecz silne i zręczne. Potrafiły bezlitośnie naciągnąć cięciwę łuku, a potem troskliwie pielęgnować ranego. Lady z Rovenshed stanowiła prawdziwą zagadkę... W końcu podniosła na niego oczy.

- Jeżeli ma mi pan coś do powiedzenia, lordzie szeryfie, proszę to uczynić. Miałam się spotkać przy środkowej bramie z lordem i lady Dunham.

- Zaczekają.

Spuściła rzęsy i zarumieniła się z gniewu. Uśmiechnął się. Łatwo ją wyprowadzić z równowagi, tę śliczną lady, która prześladowała go we śnie i na jawie. Nie spodziewał się, że tak szybko ujrzy ją powtórnie. Czuł się zakłopotany i szukał powodów, by ją stąd odesłać, a jeszcze lepiej, by ją zatrzymać.

- Lady Neville, jest pani w niebezpieczeństwie.

- Dlaczego, milordzie? - spytała, szeroko otwierając oczy.

- Jeżeli zostanie pani na bankiecie, król poczuje się urażony pani obecnością. Po hrabstwie krążą pogłoski o powrocie Robin Hooda i jego drużyny. Ale pani z pewnością wie o tym najlepiej.

Wytrzymała jego wzrok i skinęła głową.

- Oczywiście, że słyszałam te plotki - odparła chłodno.

Niczego się od niej nie dowiem, pomyślał.

- Bez wątpienia zna pani powody owych pogłosek.

- Możliwe, że zaczęły się one, gdy ścigał pan rozbójników...

Przerwał jej, bo obydwójce znali prawdę.

- Jeszcze bardziej prawdopodobne, że zaczęły się one, gdy Mały John i inni rabusie zostali uwolnieni przez pewną zakapturzoną osobę. Niektórzy wierzą, że to powrócił uważany za zmarłego Robin Hood.

Zapadło niezręczne milczenie. Tre pomyślał o garnizonie żołnierzy, rozstawionych wzdłuż dróg, prowadzących z Lasu Sherwood, w oczekiwaniu na rozbójników, którzy okażą się wystarczająco śmiali, by napadać na podróżnych zmierzających na turniej. Pomyśl kapitana Olivera, który znał Sherwood równie dobrze jak rozbójnicy. Pułapka zastawiona na Małego Johna, Szkarłatnego Willa i Alana z Dolin...

Ale co z lady Neville? Komplikacje, kłopoty... możliwa katastrofa. Podstęp Gaudeta, możliwe, ale on musi poznać prawdę, zanim przybędzie król.

Ale na razie, aby nie zdradzić istnienia sieci rozstawionych wokół Nottingham, musi bez komentarza zaakceptować obecność lady Neville.

Przysiadł obok niej na wąskiej ławce. Miecz cicho zadźwięczał o kamień. Spojrzała przelotnie na swego towarzysza, po czym odwróciła wzrok.

- Myślałam, że zawarliśmy porozumienie, milordzie.

Poczuł niebezpieczne emocje. Zawładnęła nim chęć powiedzenia jej, jak mile widziane jest jej niespodziewane przybycie.

- Skąd to przypuszczenie, lady Neville? - Powinien był zachować bezpieczną odległość, aby móc oprzeć się jej wymownemu spojrzeniu i słodkiej woni mięty, którą emanowały jej włosy. Jane mogła na niego sprowadzić kłopoty - skąd więc brał się impuls, by ją chronić?

- Rozstaliśmy się w zgodzie, czyż nie, milordzie?

Zaprzeczenie byłoby oczywistym kłamstwem. Zbyt oczywistym. Potwierdzenie narażałoby go na ryzyko, którego nie miał zamiaru podejmować. Odwrócił od niej wzrok i spojrzał na kamienny mur głównego holu. Szczeliny porastał mech, ostra

zieleni wyraźnie odcinała się na tle piaskowca. Oparł dłonie na kolanach. Czarna wełna tuniki zmarszczyła się pod jego palcami.

- Gościła mnie pani z nadzwyczajną hojnością.

- Być może pewnego dnia będę mogła powiedzieć to samo o pańskiej gościnności, lordzie szeryfie.

Łagodna reprimenda za jego grubiaństwo. Popełnił błąd i spojrział na nią.

Przybrała królewską pozę; siedziała nieskończenie elegancka i boleśnie uwodzicielska; oto kobieta, którą należy czcić, a nie obrażać. Po raz pierwszy od wielu lat poczuł żal i piekący ból.

Co pozostało z rycerza, który ślubował dworność, lojalność i prawdę, pomyślał z goryczą. Utracił cały honor i człowieczeństwo, stał się parodią rycerza.

Jane wstała, szeleszcząc jedwabiem i rozsiewając woń mięty. Tre zerwał się i chwycił ją za nadgarstek. Jego palce zgmiotły różową wełnę, lecz oszczędziły delikatny nadgarstek. Ta troskliwość zdradzała jego uczucia.

- Bezpieczniej będzie, gdy zostanie pani w zamku, milady.

- Nie sądzę, by to było konieczne, lordzie szeryfie - odparła, spoglądając na podwórzec. - Mam się spotkać z kuzynką i jej mężem.

- Wobec tego proszę zaszczyścić Nottingham swoją obecnością, lady Neville - powiedział dwornie. - Tu będzie mi łatwiej panią chronić.

- Chronić mnie? Co mi grozi?

- Bezpieczniejsza będzie pani tutaj niż na drodze przez Sherwood, gdzie roi się od zbójców.

Jego aluzja do minionych zdarzeń nie przeszła niezauważona. Jane westchnęła gwałtownie. Tre wypuścił jej rękę, odstąpił w tył i przepuścił przodem.

Przecięli podwórzec. Z ptaszarni królewskich dolatywały pióra i pokrzykiwania. Sokolnik rzucał ptakom kawałki surowego mięsa, co witane było ostrymi krzykami i głośnym trzepotem wielkich skrzydeł.

Tre spostrzegł swego służącego, który stał przy strażnicy, i przywołał go do siebie.

- Zajmij się wszystkim, Giles. Lady Neville zostanie w zamku na noc.

Wiatr zatrzepotał jedwabnym kwefem, Jane zmarszczyła brwi.

- A co z lady Dunham?

- Pani kuzynka może zostać także. - Szeryf spojrział na służącego. - Dopilnuj tego, Giles.

- Tak, lordzie szeryfie. - Giles zawahał się, po czym dodał. - Wszystkie komnaty są zajęte, milordzie. Może Hugh de Baliol zechce ustąpić łóżka damie.

- Usuń jednego z baronów anglosaskich. Odpowiednia będzie komnata lorda Creightona. Tylko załatw to dyplomatycznie.

Gdy służący odszedł, Jane rzekła gniewnym tonem:

- Nie widzę powodu, by mnie tu zatrzymywać, lordzie szeryfie. A może jestem pańskim więźniem?

- A zasłużyła pani na to? Czy popełniła pani jakieś przestępstwo, za które powinno się panią aresztować, lady Neville? - Chwycił ją za rękę, gdy obróciła się na pięcie, aby odejść. - Umknęło mi pięciu rozbójników. Niech pani nie sądzi, że o nich zapomniałem lub zrezygnowałem z powieszenia ich. To przestępcy. Każdy, kto im pomaga, będzie potraktowany równie srogo. Jeżeli mi pani pomoże, ocali tym swoją piękną szyjkę.

- Wyglądam na zdrajczynię? - wysyczała gniewnie. - Niech pan pomyśli o sobie, lordzie szeryfie... baronie oskarżonym o zdradę, i nie sądzi mnie swoją miarą!

Jej twarz ginęła w cieniu rzucanym przez wysoki mur, oświetlony porannym słońcem. Jednak w tonie niewątpliwie brzmiała pogarda.

- Proszę nie zmieniać tematu, milady. Rozmawiamy o pani poczynaniach, nie moich - odparł, udając obojętność.

- Czyżby? Sądziłam, że jest inaczej. Chce pan, żebym

zdradziła ludzi, którzy są ścigani przez szeryfa z zemsty, a nie z poczucia sprawiedliwości. O wiele bardziej honorowo jest ukrywać się w Sherwood z naciągniętą cięciwą łuku, niż sprzedawać duszę za ziemię i pieniądze. Wygląda na to, że w zamku Nottingham mieszka więcej rabusiów niż poza nim.

Lituję się nad panem, bo ma pan pustkę w duszy, powiedziała mu kiedyś. Bolesna prawda. Człowiek posiadający duszę nie egzystowałby w świecie, w którym żył Tre. To by go zabiło.

Jednak wstąpił na taką drogę i teraz nie miał odwrotu. Brayeton było wszystkim, co mu pozostało, jedynym celem życia. Przeżyć to przecież znaczy coś więcej, niż oddychać i czuć bicie serca. Ale on już o tym nie pamiętał.

Rozległ się stukot końskich kopyt, zaszczekały psy, żołnierze wydawali rozkazy. Jane i Tre znaleźli się w tłumie, którego jeszcze przed chwilą nie dostrzegali. Szeryf zdał sobie sprawę, że są w miejscu publicznym, gdzie pełno jest wścibskich uszu.

- Załoczony dziedziniec nie jest odpowiednim miejscem na tak poważne rozmowy, milady. Wycofajmy się gdzieś, gdzie będzie bezpieczniej.

- Już skończyłam.

- A ja nie - odparł.

Jego pokoje znajdowały się w skrzydle za nimi. Poprowadził ją w tamtym kierunku, omijając od czasu do czasu końskie łajno. Otworzył drzwi i wprowadził ją do środka.

Ukazało się surowe pomieszczenie, pozbawione życia i przedmiotów, mówiących o zamieszkującej je osobie. Panowała tu cisza. Gdy Tre zamknął drzwi, ogarnął ich mrok, którego nie rozjaśniało okno, wychodzące na tylny mur. Wnikało przezeń zaskakująco świeże powietrze.

- Pomimo moich ostrzeżeń nadal zadaje się pani z rozbójnikami. - Jego słowa zabrzmiały surowo, budząc natychmiastową uwagę Jane. Celowa prowokacja, pośrednia próba uzyskania przyznania się lub zaprzeczenia. Milczała. - Schwytamy

wszystkich, także Małego Johna. To nieodwołalny los rzezi-mieszków.

- Potrzeba by cudu, by twoi ludzie schwytali Małego Johna - powiedziała i uśmiechnęła się z powątpiewaniem.

- Bo jeszcześmy go nie schwytali? - Podszedł do stołu, wziął flaszkę wina i nalał do dwóch kielichów. - Robi pani błąd, nie doceniając mnie i moich kapitanów, milady. To nie polowanie na jelenie, co nie znaczy, że nie potrafię ustrzelić dziczyzny. Istnieje wiele sposobów, by dopaść tego robaka. Wina?

Podał jej kielich, ale tylko spojrzała i nie poruszyła się, by go odebrać. Postawił go na stole.

- Wydaje mi się, że przybyła pani na zamek nie po to, by oglądać turniej, czy w odpowiedzi na wezwanie, lecz w innych celach.

Nadal stała milcząca i nieruchoma. Tre zmarszczył czoło i uniósł kielich do ust. Zapanowało pełne napięcia oczekiwanie. Odczuwał je wyraźnie, tak jak smak cynamonu i imbiru w winie.

Odstawił także swój kielich i podszedł do Jane. Ujął w dłoń jej podbródek i zajrzał w oczy. Taka krucha i delikatna; wystarczyłoby ścisnąć mocniej, a błagałaby o litość.

Uśmiechnął się, widząc, że odgadła, w jakim kierunku biegną jego myśli.

- Zostałaś tu przysłana po to, by odwieść mnie od planów ścigania rozbójników? Drżysz. Nie jest to dobry początek, jeśli masz, pani, odgrywać rolę Salome. Zna pani to podanie?

- Znam - wyszeptwała.

Jej skóra była gładka, ciepła, istny aksamit pod jego palcami. Pogładził kciukiem jej policzek, musnął wargi.

- W takim razie zabawiaj mnie. Tańcz z welonami. Jeśli chcesz dostać moją głowę na srebrnej tacy, musisz mnie najpierw zabawić.

- Nie taka jest treść podania, milordzie.

- Ale podobna, Jane z Ravenshed. Bardzo podobna. - Ścisnął

jej podbródek. Ciemna skóra jego dłoni odcinała się od czystej bieli cery Jane.

Pod naciskiem palców pojawiły się czerwone ślady. Gdy zwolnił uścisk, Jane westchnęła głęboko.

- Boisz się, Jane? - zapytał obojętnym tonem.

- Nie... tak, boję się.

- Nareszcie prawda. Myślałem już, że potrafisz się bez niej obejść.

- Powiedziałam prawdę - odparła z pełną prostoty godnością. Pragnął jej wierzyć. Jednak wyglądało na to, że przybyła tu raczej we własnym celu, a nie dlatego, że Gaudet wezwał ją na zamek.

- Dlaczego masz mnie za głupca, lady Neville? Czy sprawiam wrażenie takiego niepoprawnego prostaka?

- Nigdy nie wydawałeś mi się prostakiem - odparła drżącym głosem, który przeczył jej dumnej postawie.

- Jednak oskarżasz mnie z całkowitym brakiem ostrożności. Lepiej powściągnąć język.

- Grozisz mi, milordzie?

- Tak, lady z Ravenshed, z całą pewnością grozę. Przyjmij te słowa jako groźbę lub jako ostrzeżenie.

- Nie jest to łatwe, milordzie. Bez względu na to, co mówię, zmieniasz sens tak bardzo, że sama go nie rozpoznaję... Proszę, puść mnie.

Wypuścił jej podbródek. Palce pozostawiły na nim słabe ślady. Profanacja.

- Jeśli pragnęłaś być sama, trzeba było pozostać w Ravenshed.

- Złe wiatry przywiały cię do Nottingham, lordzie szeryfie. Łatwiej rozpoznać diabła po rogach i kopytach, niżli po zapewnieniach, że czyni swoją powinność.

- A pani, milady, doskonale zna się na demonach?

- Nie znałam się, dopóki nie poznałam ciebie. Twój bandyci ścigają ludzi, których jedyną winą jest to, że usiłowali odebrać

swoją krwawicę. A ty chcesz ich oskarżyć o to, co sam czynisz. Złodziej pozostaje złodziejem, bez względu na to, jakie nosi imię.

- Doszliśmy do sedna sprawy. - Poczł nawróć drapieźnych chuci. Miał ochotę ją zmiążdżyć. Chciał z niej wydusić prawdę, zmusić ją, by przyznała, że spiskuje przeciwko niemu. A ponad wszystko chciał, aby widziała go tym, kim jest. Nie szeryfem, baronem, Normanem i nieprzyjacielem, lecz mężczyzną, który nie zasługuje na nową zdradę. Chwycił ją za rękę i przytrzymał, gdy chciała się wyswobodzić. Położyła mu drugą dłoń na piersi, a on przycisnął ją ręką.

- Czujesz? - Przycisnął mocniej, a ona patrzyła w górę na jego twarz. - Bije. Tak samo jak twoje. Jestem człowiekiem, Jane z Ravenshed. Moje serce bije, moja krew krąży. Mam swoje racje. Jestem... mężczyzną.

Ostatnie dwa słowa wymówił cicho, niemal szeptem.

W oczach Jane zabłysło światło zrozumienia. Drżącymi ustami spytała:

- Czego ode mnie chcesz?

Wiedział, czego chce. Niezręczne pożądanie, dokuczliwa żądza - chciał jej. Chciał poczuć pod sobą jej ciało, chciał ją mieć blisko, wokół siebie...

W milczeniu chwycił ją za podbródek i pocałował. Słodkie usta rozchyliły się pod naciskiem jego warg, ofiarowując ulgę i schronienie. Poczł smak mięty. Poczł, że mu się poddaje.

Zdecydowany i gwałtowny, wiedziony pragnieniem czegoś nieosiągalnego, pogłębił pocałunek.

Całował ją, aż poczuł, że rozsunęła nogi. Z całej siły przycisnął ją do siebie. Drżał w bolesnej erekcji.

Powściągliwość zniknęła. Ścisnął Jane w ramionach, słucał, jak dyszy wprost w jego usta. Trzema krokami pokonał przestrzeń dzielącą ich od prywatnych pomieszczeń. Kopnął drzwi, które stanęły otworem. Wszedł i zatrzasnął je kopniakiem. Rozległ się głośnie stuknięcie.

Ten pokój był mniejszy; pod jedną ze ścian stało masywne łoże. Otaczały je zasłony koloru wina, spływające bogatymi fałdami od sufitu do podłogi. Z jednej strony były rozsunięte i ukazywały gruby materac.

Poczuł, że Jane wierci się w jego ramionach, jęczy i odpycha go jedną ręką. Podeszedł do łoża i rzucił ją na materac, po czym nakrył ją własnym ciałem. Łoże zatrzeszczało. Wsparł się na zgiętych rękach. Miecz zadźwięczał cicho. Rozpiął klamrę i odłożył na bok pas i broń, nie wypuszczając Jane.

Czuł pod sobą jej miękkość. Usiłowała chwycić go za ramię, lecz on unieruchomił jej rękę.

- Nie, milady. Nie.

Splótł palce z jej palcami i docisnął jej dłoń do materaca i pościeli. Drugą ręką pogładził ją po policzku i wargach. Nagle znieruchomiała. Łoże było ocienione ciężkim aksamitem. Było tam przytulnie, ciepło, intymnie. Nic im nie przeszkadzało. Na całym świecie istnieli tylko oni.

Pochylił głowę. Pocałował Jane, a ona rozchyliła wargi, gorące i pachnące miętą. Spijał jej ciepło i woń; czuł łagodne poddanie, czuł, jak jego żądza udziela się jej i wraca do niego... Była jego i tym razem ją posiadzie.

- Milordzie... - szepnęła łagodnie, z zakłopotaniem, odsuwając głowę. Ułożył jej głowę tak jak poprzednio i odnalazł usta.

- Tre - szepnął, przesuwając usta po policzku do ucha. Odetchnął cicho, poczuł jej drżenie i rzekł: - Lord Devaux, trzeci baron z Brayeton.

- Lord szeryf...

- Parodia. - Odszukał jej wargi, poczuł rytmiczny oddech. Uniósł głowę. Patrzyły na niego wielkie ciemnoniebieskie oczy. Pogładził palcem wygiętą brew, próbując się opanować i nie działać zbyt szybko. - Jestem baronem, milady - powiedział dziwnym wysokim głosem. Słowa bez znaczenia, sprawdzian samokontroli.

Oblizła językiem wargi. Pogładził je kciukiem i znów schylił głowę.

Całował Jane i czuł, że oblewa go żar. Ułożył się na niej i naparł ciałem, tak by rozsunęła nogi. Miękka kobiecość... słodka podściółka pod jego pulsującym, twardym ciałem. Wzwidziony członek pocierał się o lniane gatki. Naparł mocniej i poczuł, że szerzej rozsunęła uda. Głaszcząc jej nogę, uniosł spódnicę. Jane zadrżała.

Odnalazł palcami jedwabną wstążkę podwiązki poniżej kolana; szarpnął. Jedwab ześlizgnął się na łóżko. Tre spojrzął w dół. Pod jego dłonią ugięło się białe, cudownie gładkie ciało. Gdy chwycił pończochę i zsunął, poczuł, że Jane się odsuwa.

Zanim się odezwała, zamknął jej usta gorącym pocałunkiem. Słyszał szybkie pulsowanie krwi w uszach. Był obolały, napięty, twardy i gotowy, pełen pożądania. Powoli uniosła rękę; jej palce dotykały go badawczo, głaskały po brodzie - muśnięcia motyli skrzydeł. Odwrócił głowę i ucałował koniuszki palców Jane.

- Ustępuję... - wyszeptała cicho - tylko na tyle, na ile pragnę ustąpić...

Dla zagubionych w intymnym świetle za aksamitnymi zasłonami nie liczyło się nic oprócz cichych pomruków i westchnień. Niezdolna do sformułowania własnych myśli Jane, zdawała sobie sprawę z bliskości Tre, z jego ciemnej twarzy na tle baldachimu łoża, z jego płonących oczu.

Szaleństwem będzie ustąpić, niemożliwością odrzucić...

Tre nachylił się i koniuszkiem języka polizał tętnicę pulsującą u nasady szyi Jane, która wczepiwszy mu palce we włosy, unieruchomiła jego głowę. Czuła na sobie ciężar wspaniałego samca, pełnego siły, przerażającego w gniewie i czarującego w rzadkich chwilach opanowania. Jego palce uwodzicielsko błędziły wśród koronek dekoltu, a potem niepewnie znieruchomiały.

Ta chwila niepewności obudziła w Jane niespodziewaną tkliwość. Czarne rzęsy odsłoniły płomienne szmaragdy, które spojrzały na nią tak pożądliwie, że straciła oddech i omal się nie udusiła, podczas gdy Tre oswobadzał ją z bielizny. Chłodny powiew zmarszczył jej brodawki. Westchnęła z rozkoszy, gdy chwycił ustami jedną z nich, a potem drugą.

Gorejący w brzuchu żar splewał niżej i pulsował boleśnie pomiędzy udami. Przyglądała się długim rzęsom, oceniającym policzki Tre, gdy uśmiechnął się, rozpoznając jej żądzę i gotowość.

Na jej policzki wypłynął pałący rumieniec. Zapragnęła mu się wywinąć, lecz przytrzymał ją za ramiona.

- Za późno, milady. Za... późno...

Miał rację. Wiedziała, że sprawy zaszły za daleko. I czy rzeczywiście chciała mu umknąć? Cudowne odczucia, wspa-
niały gwałt, długą oczekiwaną odpowiedź.

Jego pocałunek był mocny, nabrzmiały gorącym pragnieniem. Nagie piersi ocierały się o szorstką wełnę, drażniąc wrażliwe brodawki, aż stały się twarde i spiczaste. Nie dbała o to, że oskarżył ją o zdradę, powiedział tak, by wznieść pomiędzy nimi barierę. Usiłowania zdesperowanego mężczyzny. Lecz jego oczy i dotyk wyrażały prawdę i cała reszta stawała się nieważna. Liczyły się tylko jego smak oraz ciężar jego ciała na jej ciele.

Głaskała go po plecach, wpijając palce w czarną tunikę. Powodowała nią tęsknota, potrzeba pieśczo-
t i bliskości, spala-
nia się pod jego dotykiem. Rozkoszne płomienie pomiędzy udami sprawiały, że garnęła się do niego, pragnąc, by stali się jednością.

Usłyszała jego pomruk. Napinając potężne mięśnie, uniósł się na ramionach, by się jej przyjrzeć.

- Przeklęta... powinienem być cię aresztować i położyć kres temu...

Nie dokończył i przywarł wargami do jej ust. Rozchyliła wargi, ich języki splątały się, smakując wino i pożądanie. Odszukał pierś Jane i ścisnął palcami, tak że dyszała z podniecenia. Pogłębił pocałunek, aż przestała słyszeć gwar dochodzący spoza komnaty, aż stała się głucha nawet na przenikliwy ton rogu.

Utraciła zdolność rozumowania, stając się wyłącznie dotykiem; gdziekolwiek jej dotknął, iskrzyło. Usiłowała wstrzymać oddech. Nagle przerwał pocałunek i odsunął się, pozostawiając ją z wyciągniętymi rękami, które po chwili zacisnęła w pięści.

Głaskał ją po brzuchu. Białe ciało ugięło się pod jego

ręka; zagłębił palec w pępku i masował dłońią wzgórek łonowy. Wstrzymała oddech, gdy wsunął palce w miękkie, jedwabiste loki.

- Piękna pani... słodka tajemnica - wyszeptał ochryple. Jego wzrok wyrażał pytanie, na które nie mogła odpowiedzieć. Wsunął palce pomiędzy wilgotne fałdy i głąskał ją, aż zaczęła się wić i wygięła się w łuk.

Dla Tre był to moment oświecenia, odkrycia emocji, którym się dotychczas opierał. Czułość była dla niego nieznanym uczuciem; gotowość damy czymś nieoczekiwanym. Gwałtowne pożądanie wymagało natychmiastowego zaspokojenia...

Czuł dygotanie jej ciała, wibrowanie mięśni w rozsuniętych udach. Nie przerywając pocałunku, wsunął palec do wnętrza; wokół niego zamknęło się zapraszające ciepło. Oparł kciuk na wzgórku łonowym i głąskał włosy, a ona wypychała biodra w górę, na spotkanie pieśczoły.

Ból mieszał się z gniewem z powodu jej zdrady - dziwna mieszanina uczuć, rodząca w nim pragnienie, by posiadać Jane. Uniósł tunikę, rozwiązał tasiemki trykotów i gatek, aby się wyswobodzić. Niecierpliwą dłońią chwycił twarde i drżący członek i zastygł na chwilę przed wtargnięciem.

Wydała cichy jęk, który uciszył dzikim pocałunkiem. Szybkim ruchem wślizgnął się do środka; jej zachwycający żar omal nie pozbawił go kontroli. Oddychał gwałtownie, opanowując chęć popożowania wyłącznie swojej żądzy.

- Moja słodka - wydyszał wtulony w jej ramię, gdy skreśliła się pod nim. - Nie ruszaj się..., nie... teraz...

Ujął w dłonie jej pośladki, palce zagłębiły się w miękkim ciele. Targało nim podniecenie, które z najwyższym trudem okiełznał.

Uniósł głowę, spoglądając na Jane spod rzęs, modlił się w myśli o siłę, by opanować nowe, dzikie emocje, które go ogarnęły.

Zatracił się w jej ciele, dotykając jej, smakując ją, wślizgując

się w nią coraz głębiej z pełną erotyzmu powolnością. Pragnął odpowiedzi, chciał, by go błagała o to, co tylko on mógł jej ofiarować; chciał ją mieć całą, tylko dla siebie, teraz i zawsze.

Rzucała głową na futrzanej poduszce, unosiła biodra, pochłaniając go; gwałtowne, milczące błaganie o wszystko... jej zduszone westchnienia wzniosły się do krzyku.

Wnikał w nią mocniej, za każdym razem dobijał bliżej celu. Używał jej ciała, by ulżyć własnej męce - dzikiej żądzy, której zaprzeczał od pierwszej chwili, gdy ujrzał Jane na zalanym deszczem dziedzińcu.

Teraz wszystko minęło, zmiecione burzą fizycznego głodu i emocjonalnymi potrzebami, od których nie było ucieczki.

Objęła go nogami i unosiła się ku jego potężnym natarciom. Opuścił głowę i wsparł się na ramionach. Napięcie rosło, aż stało się tak wielkie, że na twarzy Tre pojawił się bolesny wyraz. Dyszał przez zaciśnięte zęby, z trudem chwytając powietrze. Krzyknęła cicho, wyginając w łuk plecy, rozwierając spuchnięte od pocałunków wargi.

Piękna... elegancka i zmysłowa... słodka, śliczna i taka mu oddana...

Tym razem wyszła naprzeciw jego natarciu, wydyszała jego imię; wniknęła w głąb dzikim pchnięciem, które skończyło się drżeniem i jękiem ekstazy. Zalała go wysoka fala, po czym zaczęła stopniowo opadać.

Wcisnął twarz w poduszkę obok głowy Jane. Dyszał boleśnie. Czuł drżenie jej kolan, którymi obejmowała go w talii. Była ciepłem i miękkością; gwałtowna potrzeba została zaspokojona. Był teraz dziwnie oderwany od wszystkiego, co znajome. Opanowała go nieznana słabość podobna do czułości.

A on nie chciał poddawać się czułości. Nie chciał ryzykować żadnych emocji. Nie w stosunku do kobiety... lecz Jane z Raven-shed nie była po prostu kobietą. Nie przypominała żadnej z dotychczas poznanych kobiet.

Posiadała moc, która mogłaby go zniszczyć. Wiedział o tym.

w końcu przez aksamitne zasłony o barwie wina wniknęły dźwięki zewnętrznego świata. Jane słuchała ich, zduszonych i dalekich, równie dziwnych jak jej własne postępowanie. Tre Devaux leżał obok niej nieruchomy, przerzuciwszy przez nią jedno ramię. Milczał, lecz nie spał - spoglądał na nią spod czarnych rzęs. Czuła na sobie jego wzrok.

Powinna się rumienić ze wstydu. Rąbek spódnicy zarzucony miała powyżej pasa. Bezwstydną... a jednak wcale się tym nie martwiła.

Odczuwała ostrą, piekącą słodycz, która napełniała ją wdzięcznością. Przez cztery miesiące znajomości z Tre Devaux dzieliła ich bariera nie do pokonania. Nawet teraz, po chwili największej intymności, owa bariera powoli powracała.

Czynił wszystko, by nie dać się jej poznać. A teraz leżeli razem, śmiertelny grzech w oczach Kościoła.

Poruszył się lekko i przygarnął Jane bliżej. Jego gatki były rozsznurowane, ciepły i wiotki teraz członek dotykał jej ud. Pogładził dłonią wzgórek jej piersi i natychmiast zareagował twardością i pulsowaniem. Jęknęła cicho, gdy się przy niej poruszył.

Przesunął dłoń na twarz Jane, zwrócił ją ku sobie, by na niego spojrzała. Zaparło jej dech w piersiach. Mroczne piękno, godne syna Lucyfera. Pokusa i uwodzenie.

- Jesteś piękny - wyszeptała i spostrzegła, że zdumiony szeroko otworzył oczy.

- Dziwny komplement, słodka pani. Sir Guy ma opinię ładnego rycerza, o wdzięku i urodzie trubadura. Ja jestem za ciemny i mam zbyt wiele blizn.

- Może dla innych. Dla mnie nie. - Dotknęła lekko blizny na czole Tre i pogłaskała ją. - Fizyczne blizny mnie nie martwią.

Zadrżał; ujął jej dłoń i ucałował koniuszki palców.

Westchnęła cicho. Pochylił się nad nią i ukląkł pomiędzy jej udami. Słyszała pulsowanie krwi w uszach. Świat skurczył się do nich dwójga; hałas na dziedzińcu znów przycichł.

Chwyciła go za ramiona, zacisnęła palce na twardych mięśniach pod cienką wełną tuniki i przyciągnęła do siebie. Odchylił głowę do tyłu. Mocna szyja napięła się z wysiłku, gdy naparł na nią powoli i wślizgnął się do środka, rozciągając ją tak bardzo, że z trudem to zniosła.

Poczuła w żyłach płynny żar, brodawki stężały, mięśnie ud zadrzały, a ból w dole brzucha i pomiędzy udami pulsował zgodnie z rytmem serca. Zaciskała i rozwierała palce na wełnianej tunice.

Wypełnił ją; wypełnił jej ciało i cały świat. Jego ciemna pochylona głowa, napięta twarz, drżące z wysiłku ramiona, utrzymujące jej uda w gotowości na kolejne pchnięcia. Jego silne barki pochylały się do przodu; palce zaciskały się na jej ciele. Dreszcz, następne pchnięcie, narastające napięcie i wspaniała błogość. Wsunął dłoń pomiędzy ich ciała, sięgnął do wilgotnego wnętrza i spoglądał spod rzęs, gdy krzyczała z rozkoszy.

Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. Przymknął powieki i pocierał kciukiem coraz głębiej, aż wstrząsnęły nią dreszcze.

Nie mogła złapać tchu. Powietrze zdawało się ciężkie i gęste. Wyginała się w łuk, przyjmując pieszczotę jego dłoni, aż świat zawirował i runął w przepaść, a ona, z cichym okrzykiem, poddała się uwolnieniu.

Trzymał ją mocno, wciskając w materac, aż zatrzeszczały liny podtrzymujące łożo. Tre wymamrotał coś nieartykułowanego i powoli opadł na jej ciało.

Oddychając z trudem, zdała sobie sprawę z przyduszającego ją ciężaru i zepchnęła z siebie, tak że wsparł się na jednym łokciu.

- *Cherie...* słodki mały ptaszku... delikatny jak sójka.

- Jak... sójka?

- Tak. - Powiódł palcem po wilgotnej smudze, którą jego język pozostawił na brodawce jej piersi. - Porównanie do ptaka wydaje ci się obraźliwe?

- Nie. - Roześmiała się cicho. - Ani trochę.

Mała sójka, tak nazywał mnie Robin... Przypominasz mi małego ptaszka, drażnił się z nią. Jesteś zuchwałą jak sójka.

Tak dawno temu. Teraz istniała szansa spokoju w Nottingham, lecz za jaką cenę? Gzy ośmieli się zaufać Devaux? Nie padły żadne zapewnienia o miłości, żadne obietnice, tylko porozumienie ciał. Czy nadal kocha swoją zmarłą żonę, którą wołał po imieniu w malignie...?

- Spochmurniałaś. O czym myślisz, *cherie*?

- Myślę... o twojej żonie. - Zarumieniła się pod jego spojrzeniem.

- Nie należy odnawiać dawnych wspomnień.

Głupi, głupi, zdradzam własne uczucia... Jestem taki niezręczny wobec tych nieznanych emocji.

Milczała. Próbowwała zachować godność. Na próżno usiłowała przekroczyć dzielącą ich barierę, która może osłabła, ale nie zniknęła.

Odgarnął z jej czoła kosmyk włosów i założył za ucho. Przeturlał się na grzbiet. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w cienisty baldachim.

- To było małżeństwo z rozsądku - powiedział w końcu. - Przeraziłem ją.

Mówił tonem pozbawionym emocji. Słuchała go w milczeniu, zaintrygowana, że wołał imię kobiety, której nie kochał.

Spojrzał na nią. Oczy miał pełne smutku, usta wygięte rozpaczą.

Wstrząśnięta, dotknęła dłonią jego piersi.

- Milordzie?

- Mieliliśmy dziecko. Aimee. Zabili ją anglosascy bandyci. - Odwrócił głowę i przysłonił oczy powiekami.

Obojętny ton, żadnych emocji - gdyby nie udręka w oczach, mogłaby sądzić, że nie cierpiał.

Unióśł dłonie i wykręcił palce w dziwnym ćwiczeniu.

- Schwytałem wszystkich. Każdego nikczemnika, który

ośmielił się tknąć to, co moje. Zanim ich uśmierciłem, modlili się, bym skończył. Zrobiłbym to jeszcze raz.

Wstrząsnął nią dreszcz. Tre spojrział na Jane i opuścił ręce.

'- Ty postąpiłabyś tak samo, lady z Ravenshed. Więc nie osądzaj mnie.

- Nie. Ja nie... zrobiłabym to samo. - Jej szept zabrzmiał nieprzekonująco.

Tre uśmiechnął się bez wesołości.

- Życzę, by zaoszczędzono ci takiej próby. Utrata duszy nie należy do przyjemności.

Guy de Beaufort zmrużył oczy przed oślepiającym słońcem. Wyjątkowo piękny dzień, wystarczająco ciepły, by ogrzać przemarznięte kości rycerza. Łagodny wietrzyk niósł z ognisk kowali woń dymu oraz rozpalonego żelaza.

Zamek Nottingham dźwigał swe wieże w niebo i przykrywające je obłoki. Wszędzie panował związany z uroczyściami chaos. Sprzedawcy wystawili na straganach swoje towary, zachwalali najświeższe węgorze, najlepsze wypieki i najpiękniejsze jedwabie.

Guy ruszył w stronę małego placu, na którym odbywały się występy zonglerów, tancerzy poruszających się przy dźwiękach fletów i lir, zlanych potem i natężających mięśnie zapaśników. Niedźwiedź w szerokim skórzanym kołnierzu tańczył niezgrabnie przy dźwiękach cytry. Guy zabawił tam tylko chwilę; czekanie zawsze go niecierpliwiło.

Wspiął się po spiralnych schodach na zewnętrzne mury. Wartownicy w kolczugach patrolowali umocnienia, spoglądając z dala na podniecony tłum. Guy nie czuł do nich sympatii; zanim nadejdzie jutrznia, większość z nich upije się młodym piwem i będzie rzygać do butów.

Z dogodnego punktu roztaczała się panorama aż po rzekę Trent. Był to widok przyprawiający o zawrót głowy. Pomiędzy

zamkiem i rzeką ciągnął się ocean jedwabnych namiotów, powiewających proporców, mieniających się barw baronów i rycerzy obozujących w wykwintnych pawilonach. Zajazdy były przepełnione, miejsca noclegowe zajęte. Mieszczanie i chłopci znaleźli schronienie w pieczarach lub sąsiednich lasach.

Dzwon kościelny obwieścił południe, gdy Guy zszedł z murów, by przy środkowej bramie spotkać się z Tre. Tam się umówili. Oparł się o szorstkie drewno ściany mocnej konstrukcji, teraz tak nagrzaney promieniami słonecznymi, że poczuł ciepło nawet przez tunikę. Skrzyżował ramiona na piersi i przymrużył oczy.

Z ognisk kowalskich unosił się czarny dym, który, niesiony wiatrem, piekł w oczy i nos. Po przeciwnej stronie dziedzińca ćwiczyli łucznicy, rozlegały się nieprzerwane świsty i stuki strzał kierowanych w uplecione ze słomy tarcze. Guy przyglądał się temu obojętnym wzrokiem, a jego myśli wybiegały ku jutrzejszemu dniu, kiedy weźmie udział w turnieju. Niecierpliwie oczekiwana odmiana w beczynności, szansa na napełnienie sakiewki czymś więcej niż nędzne grosze od króla. Udział w turnieju był dla nie posiadającego ziemi rycerza najlepszym sposobem wzbogacenia się, jeżeli był wystarczająco zręczny.

Zniecierpliwienie Guya narastało. Tre nie nadchodził. Czas się włókł, słońce wędrowało po niebie. Gdy dotarło do wschodniej wieży, Guy odszedł od bramy i przeniósł się na środkowy podwórzec. Tre może być w swoich komnatach, czekając równie niecierpliwie.

Minał mroczną strażnicę, gdzie rozbrzmiewały okrzyki strażników, kontrolujących przepływające tłumy. Wraz z innymi przeszedł pod śmiercionośnymi szpikulcami opuszczanej kraty. Wychodząc na światło, znowu przymrużył oczy.

- Kogo pan wypatruje, sir Guy? - rozbrzmiał łagodny głos przy jego uchu. Obejrzał się i spostrzegł lady Lisę. Na jej wydatnych ustach igrał lekki uśmiech.

Miała na sobie opończę ze złocistego brokatu opasaną w biodrach jedwabnymi koronkami, zharmonizowanymi z wzorem na brokacie. Głęboki dekolt ukazywał prowokującą obfitość kremowej skóry i zaokrąglonego biustu. Jej piękną twarz otaczały jasne włosy, przysłonięte szalem i czepkiem ze złotej siatki.

- Pani - skłamał i poznał po jej uśmiechu, że wcale mu nie uwierzyła. Ta dama nie potrzebowała iluzji. Odwzajemnił jej uśmiech i poczuł falę gorąca, która nie miała nic wspólnego ze słońcem. - Wypatrywałem pani, milady.

- Tak pan twierdzi, ale ja wiem lepiej. - Lekko stuknęła go w pierś cienką dębową laseczką. Spojrzał na posplatane mityczne smoki i gryfy, wyrzeźbione w drzewie. - Nie wygląda pan na mężczyznę wypatrującego kobiety. Wiem, bo nieraz widywałam takich mężczyzn.

- Nie wątpię- odparł z leniwym uśmiechem i lekkim wzruszeniem ramienia. - Jest pani najładniejszą kobietą w całym hrabstwie Nottingham.

Uniosła brwi, lekki uśmiech rozciągnął różane usteczka.

- A jednak nie uległ pan memu czarowi. Jak to możliwe, skoro jestem taka śliczna?

- Ze strachu, milady - powiedział szybko, a ona się roześmiała.

- Ze strachu? Pan, Guy de Beaufort? Chodzą słuchy, że jest pan najświetniejszym rycerzem, zwycięża w każdym turnieju, w którym bierze udział. Kogóż by się pan obawiał?

- Męża pani.

- Waltera? - Tym razem jej śmiech, szczery i pełen niedowierzania, rozbrzmiewał jak słodkie dzwoneczki. - Pan żartuje, sir Guy! Mój mąż nie pokonałby nawet nieżywej fretki. Jego talenty polegają raczej na czynieniu zakładów, a nie działaniu.

Wyrzekła te słowa z pogardą; jej niska opinia o własnym mężu była oczywista.

- Każdy mężczyzna posiada sobie tylko właściwe talenty, milady.

- Tak, ale niektórzy mężczyźni posiadają ich więcej niż inni, sir Guy. - Przysłoniła rzęsami bursztynowe oczy, zasznurowała usta. - Obawiam się, że jestem tu sama, bo moja pokojówka zniknęła, a męża jak zwykle ani śladu. Co gorsza, nie mogę również odnaleźć mojej kuzynki.

Guy podał jej rękę. Gdy ją ujęła po krótkiej chwili wahania, uśmiechnął się.

- Skoro nikt pani nie towarzyszy, ja oprowadzę panią po zamku.

- Będę bardzo wdzięczna, sir Guy - odrzekła, podnosząc na niego wzrok i uśmiechając się szerzej.

- W takim tłumie damie mogą się przytrafić różne nieprzewidziane przypadki.

- Tylko wtedy - powiedziała tak cicho, że musiał się nachylić, by ją słyszeć - gdy dama ma szczęście.

Podtekst był jasny. Guy poczuł szybkie bicie serca. Gdyby tylko zechciał, będzie jego. Jezu, pokusa, by zapomnieć o rozsądku, obowiązku i ostrożności, była nieodparta.

Tymczasem dama spoglądała na niego ^rozmarzonym wzrokiem, a każdy jej oddech unosił brokat i wysadzaną drogimi kamieniami szpilę, wpiętą w tkaninę okrywającą biust. Spojrzała na wzgórki jej piersi. Od czasu, gdy ujrzała ją w Ravenshed, nie przestawał o niej myśleć.

Przypomniawszy sobie jej wcześniejsze słowa i spytał:

- Wspominała pani, że nie może znaleźć kuzynki, milady. Skinęła głową.

- Miała się ze mną spotkać, ale pewnie coś ją zatrzymało.

Guy się uśmiechnął. Sprawa stała się jasna: Tre uznał, że Jane jest bardziej kusząca niż obowiązek. Ścisnął palce Lissy.

- Znam spokojniejsze miejsce.

Pociągnął ją za sobą w kierunku dolnego dziedzińca. Zanim tam dotarli, przeszli wąską ścieżką, wiodącą dookoła wewnętrznych murów, gdzie rosły kępy orlicy. Znalazł wykute w murze tylne drzwi. Choć zamknięte, tworzyły łuk, w którym panował

mrok. Przysłaniały je pnącza dzikiego wina z zielonymi i czerwonymi liśćmi. Ostra woń trybuli leśnej przywodziła na myśl oborę.

Wepchnął Lissę do ocienionego zagłębienia i przyparł ciałem do chropowatego muru. Zachwycona dyszała, gdy ujął w dłonie jej piersi i mocno je ścisnął. Pojękując, wygięła się w łuk; rozchyliła usta, gdy zwilżył je koniuszkiem języka. Poczłł ognisty żar.

Niecierpliwość sprawiła, że stał się brutalny. Całował jej otwarte usta, ugniatał piersi i napierał coraz mocniej. Narastała w nim żądza, gorąca, dzika, pozbawiająca rozsądku. Niejasno zdawał sobie sprawę, że powinien być bardziej ostrożny, ale Lissa z Gedling rozpałała jego zmysły.

- Guy... - wydyszała - proszę...

Uniósł tunikę, szukał tasiemek przytrzymujących trykoty i gatki. Smakując jej usta, wymamrotał:

- Jesteś pewna?

- Tak - odparła z prowokującym uśmiechem. - Jestem więcej niż pewna, piękny rycerzu. A ty?

Wszelka powściągliwość znikła bez śladu. Uniósł obfite fałdy jej spódnicy, przesunął dłoń po gładkiej skórze uda powyżej podwiązki. Gorąca, wilgotna, zapraszająca - rozsunała uda.

Wysuwając do przodu biodra, uniósł ją i przycisnął do muru, nadziewając jądjednym zdecydowanym pchnięciem. Lissa krzyknęła, chwyciła go za ramiona, oplótła nogami w talii i zanurzyła twarz w zagłębieniu pomiędzy szyją i barkiem.

Była lekka w jego ramionach, gdy doprowadzał ich obydwójce do szybkiego spełnienia.

Po chwili stał, opierając się o kamienny łuk i przytrzymując Lissę. Powoli wracał do siebie i zaczynał zdawać sobie sprawę z otoczenia. Czuł na szyi gorący oddech Lissy. Obejmowała go mocno, przywierając do niego niczym jedwabisty motyl.

Zmienił pozycję i uniósł ją, by zajrzeć jej w oczy; ptaki ćwierkały głośno w niszach ponad ich głowami.

- Jesteś szalony, rycerzu. - Musnęła jego wargi ustami. - Nie spodziewałam się, że zachowasz się tak nieprzezornie.

Głośno wciągnął powietrze, poczuł lekką woń róż, roześmiał się.

- Kiedy piękna dama da mi znak, nie musi mnie dwa razy prosić.

- Widzę. - Pogładziła go po policzku. Postawił ją na ziemi, zaszeleściły wełna i jedwab. - Bawidamek z ciebie, rycerzu.

Wypuścił ją z objęć, odstał w tył, by na powrót zawiązać trykot i umocować miecz wraz z przytrzymującym go pasem.

- Wydawało mi się, że nie ma pani o mnie dobrego mniemania.

- Nie wiedziałam, co mam sądzić. A teraz już wiem - odrzekła, strzelając palcami.

- Musimy wracać. Devaux pewnie mnie już szuka. Podobnie jak mąż ciebie.

Lissa poprawiła szal i czepek gestem pełnym kobiecego wdzięku, który przykuł uwagę Guya. Wychyliła się zza muru i wyjrzała na zewnątrz. Nikogo. Tylko ruda wiewiórka pomykająca ponad kępami orlicy.

Gdy się obejrzała, oczy jej lśniły jak polerowane złoto. Poczul ucisk w gardle. Była przesliczna; pozbawiony wstydu anioł. I poślubiona anglosaskiemu baronowi.

Lissa pochyliła się, by wygładzić fałdy jego tuniki. Oparła dłoń na piersi Guya. Uwodzicielskie usta wygięły się w pełnym obietnic uśmiechu.

- Bardzo pan milczący, sir Guy. Jest pan niezadowolony?

- Z pani? - Spojrzał jej w oczy i chwycił za rękę. Pochylił się i złożył na dłoni dworny pocałunek. - Nigdy.

To prawda. Po prostu czekał. W jego życiu nic nie było proste. Kobiety zawsze wszystko komplikowały. Lissa z Gedling podobała mu się, ale jej nie ufał.

- Przystojny rycerz - powiedziała, pocierając noskiem jego policzek. - Mistrz w sztuce miłosnej, tak samo jak w turniejowych potyczkach.

Słowa doświadczonej kochanki; znał je dobrze, sam się nimi posługiwał. Pogłodził kciukiem jej nadgarstek. Przycisnął usta do rozpalonej skóry.

- Tym razem moja lanca otrzymała godną nagrodę...

Wyciągnął do niej rękę. Po krótkim wahaniu położyła dłoń na jego przedramieniu i razem ruszyli wąską ścieżką ocienioną murem. Z gęstych krzaków wleciała siewka. Lissa zadrżała, gdy podmuch wiatru wzniecił pył i przyniósł odgłosy i wonie z targowiska.

Na niebie pojawiły się szare obłoki, które przesłoniły słońce. Za murem rozległ się łoskot, a potem anglosaskie przekleństwa.

Guy chciał poprowadzić Lisę w przeciwnym kierunku, lecz rozbrzmiały następne przekleństwa i Guy rozpoznał głos Ger-vaise'a Gaudeta.

Kładąc palec na wargach, nakazał Lissie milczenie. Dwa lub trzy jardy od nich mur się kończył. Szpara w piaskowcu pozwalała rozróżnić słowa:

- Baronowie przybyli, wszystko gotowe.

- A Devaux?

Śmiech Gaudeta sprawił, że po plecach Guya przebiegły ciarki. Słuchał w napięciu.

- Devaux zostanie wkrótce wyeliminowany. Wszystko idzie lepiej, niż się spodziewałem. Król przybywa, by położyć temu kres.

- Lepiej późno niż wcale...

Dziwnie znajomy, ochrypły głos. Mężczyźni rozmawiali po angielsku, lecz Guy nie potrafił rozpoznać drugiego rozmówcy. Chropowaty kamień drapał go po policzku, gdy przycisnął ucho, by lepiej słyszeć.

- Tak. Ale czas jest odpowiedni. Ta kobieta zawróci mu w głowie. - Złośliwy śmiech. - Była żoną normańskiego barona. Nie sądziłem, że okaże się tak głupia. Myślałem, że jest inna.

- Wszystkie kobiety są takie.

Głosy się zbliżały. Guy skrył się w cieniu niskiego żywopłotu

i pociągnął Lissę za sobą. Serce waliło mu młotem, zagłuszając głosy, ale nadal je słyszał...

Groźna angielszczyzna niezidentyfikowanego mężczyzny brzmiała jak syk węża.

- Tym razem pozbedziemy się przeklętego szeryfa.

- Najwyższy czas - zgodził się Gaudet. - Devaux zbyt długo jest mi cierniem w oku.

Milczenie, a po chwili:

- Może wyniosła lady Neville na coś się przyda...

Guy poczuł, że Lissa nagle drgnęła. Przytrzymał ją mocno i ostrzegł ruchem głowy. Mur pod jego dłonią był szorstki. Lissa dyszała z szeroko otwartymi oczami.

- Nie chcę się nią posługiwać - odparł Gaudet. - Stanie się zbyt wielkim ciężarem.

- To konieczne. Rób, co należy. Kiedy pozbedziemy się Devaux, otrzymasz obiecane stanowisko.

- Nie, nie stanowisko, król przysiągł mi, że otrzymam to, na co zasługuję...

Rozległy się kroki, posypał grad drobnych kamyczków. Guy natychmiast zareagował. Wciągnął Lissę w cień, odwrócił, własnym ciałem przycisnął do ściany i wtulił twarz w jej szyję. Poczul woń róż, włosy Lissy muskały go po policzku, łaskotał złoty jedwab szala.

Kroki się zbliżały. Gaudet roześmiał się, drugi mężczyzna zaklął. Przeszli.

Guy uniósł głowę, spostrzegł habit mnicha, zanim towarzysz Gaudeta zniknął z pola widzenia. Spojrzał na Lissę i po wyrazie jej twarzy poznał, że zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

- Nikomu ani słówka - powiedział cicho - bo znajdziesz się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Jak śmiesz mi grozić?

Chwytał ją za drobny nadgarstek, przytrzymał, gdy usiłowała się wywinąć.

- Grozę, by zapobiec niebezpieczeństwu, które możesz na nas sprowadzić, rozpowiadając o tym, co usłyszałaś, madame.

- Myślisz, że zechcę rozpowiadać o tym, że moja kuzynka jest kochanką szeryfa? - spytała wojowniczo. - Myślisz, że mnie obchodzi, czy z nim sypia? Nic a nic.

- Nie idzie mi o to, z kim sypia twoją kuzynka. Niebezpieczeństwo polega na tym, że wiemy zbyt wiele. Jeśli okażesz się nieroztropna, może cię kosztować życie, milady.

Zbladła.

- Będę milczała. Lecz nie dlatego, że ty tego żądasz. Wyrzuciłabym krzywdę Jane.

- Dotrzymaj słowa.

Wyrwała mu się.

- Nie jestem kłamczucha, cokolwiek o mnie myślisz.

Pragnął jej wierzyć. Życie nauczyło go podejrzliwości... a jednak, jednak...

- Powinieneś obawiać się także o własną skórę, sir Guy. Jeżeli szeryf poniesie klęskę, ty także ucierpisz.

Odeszła rozgniewana. Patrzył za nią, mrużąc oczy. Przyszłość stała się niebezpieczna.

Zmierzch utrzymywał się długo, prawie do północy. Poniżej zamku płonęły ogniska; w świetle pochodni łąki nabierały purpurowego odcienia. Rozbrzmiewały tony brzękliwej muzyki. Poza krańcami miasta zaczynał się Las Sherwood, który z góry zamkowej wyglądał jak brzeg czarnej koronki odcinający się na tle bladego nieba i okrągłego księżyca.

Drżąca od podmuchów chłodnego wiatru Jane przyglądała się nocnym obchodom wigilii świętego Jana. Wielobarwne jedwabne namioty trzepotały niczym wielkie motyle. Oparła dłoń na blance, zębatego zwieńczeniu muru obronnego, pogładziła palcami chropowaty mur.

Księża straszą ogniem piekielnym za cudzołóstwo, myślała gorączkowo. Zgrzeszyła, poszła z Tre Devaux i nie odczuwała żalu. Ani trochę. By zbawić duszę, musiałyby dać na mszę więcej srebra, niż posiadała.

Była kobietą samotną. Gdyby jej grzech wyszedł na jaw, obrzucono by ją obelgami. Kościół miał mgliste pojęcie o cielesnej naturze kobiety; dezaprobata Boga za cudzołóstwo była większa w przypadku kobiety, niż gdy chodziło o mężczyznę. Czuła odrazę do ostrej krytyki i obawiała się jej.

Powinna odczuwać skruchę, jednak pustki obawiała się bardziej niż potępienia. Doprawdy, jest straconą duszą, potępioną za własne czyny, odrzucającą pokutę.

Czuła niezwykle zmieszanie, niepewność i strach; a oprócz tych wszystkich emocji rodziła się nadzieja. Czy dla Tre była czymś więcej niż chętną samiczką do łóżka?

Nic na to nie wskazywało. Nie doczekała się ani słowa podczas wieczornego bankietu, nie otrzymała żadnego znaku, świadczącego o jego szacunku.

Jeżeli zacznie mnie unikać, nie zniosę tego...

- Milady?

Obejrzała się i spostrzegła w mroku bladą twarz Enid. Ścisnęła w palcach fałdy spódnicy, spoglądała na panią z podnieceniem. Dygnęła szybko i wybełkotała, łykając słowa:

- Lord szeryf... żąda... prosi, aby pani przyszła do niego.

Serce skoczyło jej do gardła, splotła drżące dłonie na pierśsiach.

- Naprawdę, Enid? Dokąd mam pójść?

- Jeżeli to pani odpowiada, milady, do kaplicy. W czas jutrzni.

Bluźnierstwo, następny krok w kierunku piekieł... spotkanie w kaplicy. Skinęła głową.

- Powiedz mu, że przyjdę.

Jutrznia, już niedługo... Podeszła do wieży. Ze zdenerwowania kręciło ją w brzuchu. Tak mało czasu... Czy powinna pójść do komnaty i się przebrać? Nie, nie zdąży. Dena by ją zatrzymała, mamrocząc obraźliwe słowa wystarczająco głośno, by być słyszana, wystarczająco cicho, by jej pani mogła je zlekceważyć.

Co gorsza, w komnacie może być Lissa, przejęta, niecierpliwa, pełna obaw i słów krytyki. Jane nie miała pojęcia, co ją tak zdenerwowało. Cokolwiek to było, z pewnością zwierzy się jej w swoim czasie.

W pobliżu kaplicy panował spokój. W holu trwało przyjęcie, więc na nabożeństwo szło niewiele osób. Dotarła do niej przytłumiona muzyka na piszczałkach organowych. Idąc koło królewskiej ptaszarni, poczuła podmuchy wiatru niosące woń zapowiadającą deszcz oraz kuszące zapachy z kuchni.

Trawa była wilgotna, moczyła skraj spódnicy, chociaż Jane uniosła ją powyżej kostek. Wreszcie, zadyszana i z walącym sercem, dotarła do kaplicy. Dostrzegła czarny cień na tle słabego światła, sączącego się przez wąskie okna.

- Milordzie?

- Tak. - Uczynił krok w jej stronę i nikłe światło wydobyło z mroku jego kościstą twarz. Uśmiechnął się z trudem, rzucił jej szybkie porozumiewawcze spojrzenie. Poczowała radość, mroczną i nieodpartą, cudowną i przerażającą.

- Wejźmy do kaplicy, milady.

Podał jej ramię. Dotyk przywrócił wspomnienia cichych szeptów, pieszczot, muśnięć...

- Odbędziemy pokutę? - spytała nerwowo.

- Potrzebujemy jej? - Spojrzał na nią. Było zbyt ciemno, by mogła odczytać wyraz jego oczu. Lekko uściśnął jej palce. - Szukam odludnego miejsca. Tylko tu nie grożą nam wścibskie spojrzenia.

Miał rację. Kaplica była pusta. Mrugało światło świec; stłumione dźwięki muzyki odbijały się od sufitu, jak dalekie westchnienia. Pachniało kadzidło. Dach wspierały okrągłe kolumny, rozstawione tak, by pozostawić dość miejsca stojącym wiernym.

Z przodu znajdowała się ławka dla króla; jak na ironię, bo było powszechnie wiadomo, że król Jan nigdy nie przyjmował sakramentów. Dało to podstawę pogłoskom, że ma konszachty z diabłem. Bardziej prawdopodobne było to, że kupno łaski Boga pozostawiał na później, by jak najdłużej cieszyć się pieniędzmi.

- Usiądź tutaj. - Tre wskazał jej królewską ławkę, nie zwracając uwagi na słabe protesty. - To Gaudet wezwał cię na uroczystości - powiedział bez ogródek. - Są jakieś inne powody niż ten, że jesteś ze mną związana?

- Gaudet? - spytała zdumiona. Pokręciła głową. - Nie znam go. Dlaczego miałyby mi przesłać wezwanie w twoim imieniu?

- Chce cię wykorzystać przeciwko mnie. - Zamilkł. - Gaudet jest bardziej spostrzegawczy i sprytniejszy, niż sądziłem. Z jego strony grozi ci jeszcze większe niebezpieczeństwo niż ze strony króla. Jutro wczesnym rankiem Guy dopilnuje, byś szczęśliwie powróciła do Ravenshed.

Poczuła dreszcz. Rozłożyła ręce w geście bezradności.

- Nie mam żadnych uzbrojonych mężczyzn, którzy broiliby mnie przed Gaudetem. Tutaj jestem bezpieczniejsza niż w Ravenshed.

Zaklął szpetnie.

- Tak. Wyślę moich ludzi, aby cię strzegli...

- I narazisz się na komentarze króla. - Pokręciła głową. - Nie, milordzie. Król Jan wpadłby w furję, widząc, że straża zamkowe strzegą przed nim jakąś wdowę. I... - dodała szybko, widząc, że zmrużył oczy - ściągnie to na mnie jeszcze baczniejszą uwagę.

Wstała i położyła mu dłoń na piersi. Poczuła pod palcami haft na tunice. Czarny jedwab z jednej strony, złoty po drugiej. Wyhaftowany jedwabną nicią kruk z rozpostartymi skrzydłami i uniesionymi szponami jednej łapy. Herb jego rodziny, emblemat z krukiem. Omen dla Jane z Ravenshed.

- Tutaj jestem bezpieczniejsza, milordzie - powtórzyła cicho.

Zapanowała cisza, pełna ciepła i bliskości, tak intymna, jakby znów byli schronieni za aksamitnymi zasłonami otaczającymi łoże. Czowała pod palcami uderzenia jego serca. Poruszył się, zadrgały mięśnie pod chłodnym śliskim jedwabiem. Zbyt cielesna pokusa w duchowym świecie kaplicy.

Najwyraźniej poczuł to samo, bo unióśł ramię, oswobadzając ją z uścisku. Ukryła dłonie w długich rękawach kaftana. Spojrzała w górę i bacznie mu się przyjrzała.

Rysy miał ściągnięte niepokojem. Patrzył na nią spod opuszczonych rzęs. Westchnął przeciągle i rzekł:

- Zależy mi wyłącznie na twoim bezpieczeństwie.

- Nie rozumiem...

- Owszem, rozumiesz. Gaudet nie ma dość śmiałości, by zaatakować mnie wprost. Użyje do tego ciebie. Jesteś teraz moim słabym punktem.

Załomotało jej serce, w uszach rozbrzmiało pulsowanie krwi. Podtekst był oczywisty: Jest dla niego cenna.

Do kaplicy wtargnął powiew wiatru i zdmuchnął płomień kilku świeczek. Tre spojrzął na drzwi, były zamknięte. Wyraz jego twarzy uległ gwałtownej zmianie. Stał się dziki i groźny. Jane wstrzymała oddech; gdy szeryf chwycił za rękojeść miecza, wyczuła w nim zmianę, napięcie mięśni.

Spojrzął na nią ostrzegawczo i rzekł obojętnym tonem, przeznaczonym dla podsłuchujących uszu:

- Skoro zmówiliśmy już modlitwy, możemy powrócić do holu.

Gdy opuścili kaplicę, poczucie zagrożenia wzmoгло się. Z holu dobiegał hałas, ale docierał do nich cichy i stłumiony. Wiatr wzdychał pomiędzy gałęziami drzew, niosąc woń deszczu. Jane szła, zamiatając brokatowymi spódnicami wilgotną trawę i szorstkie kamienie. Nikłe światło, padające z wąskich wysokich okien, znaczyło na ziemi szare prostokąty. Ramię przy ramieniu podeszli do wejścia. W holu rozbrzmiewały śmiechy i tony muzyki. Kiedy przystanęli na schodach, Jane usłyszała dźwięk obnażanych mieczy.

Tre położył jej dłoń na ramieniu.

- Wejdz do środka. Ja dołączę potem.

- Nie, nie chcę sama wytrzymywać wścibskich spojrzeń. - Pokręciła głową, gdy zaklął siarczyście. Uniosła brodę gestem znamionującym upór. - Nie wejdę bez ciebie, milordzie.

Ścisnął jej nadgarstek.

- Nie ma czasu na dyskusje, milady. Rób, co ci każę.

- Arogant... - Oburzona i zła, lecz zdająca sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mogłaby spowodować jej odmowa, ustąpiła wbrew sobie.

Puścił jej rękę.

- Wejdz i odszukaj Guya, milady. Przyślij go do mnie - polecił z uśmiechem.

Popchnął ją, by weszła do środka. Ruszyła po szerokich, niskich stopniach, unosząc spódnicę, starając się ich nie podeptać. Obejrzała się, lecz już go nie było. Zniknął w mroku.

Gdy weszła do holu, ułyszała szum i gwar. Przystanęła na progu. Po obu stronach drzwi stali uzbrojeni strażnicy. Poczekala, aż jej oczy przywykną do światła. Jak w takiej ciżbie odszukać Guya?

Ale on już był przy niej. Wysoki i przystojny, przypominał jej Devaux, choć mieli tak różny koloryt i usposobienie.

- Wreszcie pani przybywa, lady Jane. - Ukłonił się nisko i podał jej ramię, pytając cicho: - Gdzie on jest?

Biorąc przykład z Guya, przyklękła w dwornym dygu, opuściła twarz i szepnęła:

- Na dziedzińcu przed holem. Nie wiem dokładnie. Ktoś nas śledził.

Guy wyprostował się. Uśmiechał się szeroko, lecz w jego piwnych oczach pojawił się niepokój.

- Kuzynka nie może się pani doczekać, milady. Wygrała właśnie taniec wśród mieczy, a teraz pragnie złamać serca wszystkich mężczyzn. Mam panią do niej zaprowadzić, czy też dostrzega ją pani przy podium?

- Widzę ją - odparła, chociaż wcale jej nie widziała.

Guy uśmiechnął się, bąknął coś na temat duchoty, dymu i rozlanych perfum, po czym odszedł, minął strażę i opuścił hol.

Jane przyjęła puchar, podany przez służącego, i w rozręczeniu sączyła wino, rozmyślając o Tre i o nieuchwytnym niebezpieczeństwie. Czy szeryf niepokoił się czymś jeszcze, poza Gaudetem?

- Jane.

Obejrzała się. Odjęła cynowy puchar od ust, aby powitać kuzynkę. Lissa miała czoło zroszone potem i wilgotne włosy

przy skroniach. Policzki pokrywał silny rumieniec. Otaczała ją gęsta chmura słodkiej woni. Jane uśmiechnęła się na widok jej radosnej miny.

- Tańczyłaś. Widać po tobie i... czuć.

- Tak. Wygrałam taniec z jajkiem wśród mieczy. Kiedy spadło, prysnęły na mnie perfumy.

Suknia Lissy nosiła ślady skorupki; dowód rzeczowy po stłuczonym jajku wypełnionym perfumami. Jane wyciągnęła rękę i strąciła skorupki z ramienia kuzynki.

- Sir Guy powiedział, że cię tu znajdę.

Lissa odwróciła wzrok i niedbale wzruszyła ramieniem.

- On już się nie liczy.

- Już nie? Dopiero co byłaś w nim zadurzona.

- Nie byłam. - Znów wzruszyła ramieniem. Unikała wzroku kuzynki. - Nigdy. To była przelotna igraszka.

- Cokolwiek to było, Walter nie aprobowałby tego. - Jane zamilkła, a potem dodała: - Chociaż Waltera trudno nazwać mnichem.

Lissa spojrzała na nią wstrząśnięta. Usta miała rozchylone, oczy szeroko rozwarte.

- Mnich...

Jane chwyciła ją za rękę.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. - Odstąpiła krok do tyłu i skinęła głową. W złotych niciach szala zabłysło światło. - Nic mi nie jest... Muszę... Przebiegalska...

Odwróciła się i szybko odeszła, pozostawiając zdumioną Jane. Jednak nie poszła w stronę przebiegalski, tylko ku podium. Zaniepokojona Jane patrzyła, jak kuzynka znika za drewnianym parawanem. Zareagowała tak pewnie na wspomnienie o Walterze. Nic dziwnego, że Lissa szuka miłości poza domem, skoro jej mąż bardziej się troszczy o pijaczków z tawerny niż o własną żonę.

Zabrzmiała muzyka; Jane ruszyła przez tłum. Hol był wypeł-

niony baronami, rycerstwem, bogatymi kupcami. Stoły usunięto pod ściany, aby pozostawić pusty środek. Zaczął się taniec z pochodniami. Jane oparła się o okrągłą kolumnę i przycisnęła plecy do chłodnego kamienia. Podeszedł do niej pijany rycerz.

- Proszę mi łaskawie wybaczyć, milady - wybełkotał, zionąc winem. - Jestem pijany w bełę...

Zanim zdążyła zareagować, ktoś zainterweniował po angielsku:

- Odejdź, hultaju.

Rycerz spojrzął zaskoczony i odszedł na niepewnych nogach.

Jane uniosła głowę i uśmiechnęła się do Gilberta z Oxton. Skinął jej głową, rude włosy zabłyśły w płomieniu. W dłoni ścisnął dwie pochodnie. Podał jej jedną z nich.

- Zapraszam do tańca z pochodniami, lady Neville.

Spojrzała na formujący się krąg tancerzy. Pochodnie już zapalano. Małe języczki ognia błyskały niepewnie. Pokusa była wielka; w innych okolicznościach nie wahałaby się ani chwili.

- Nie, muszę wracać... - odparła, uśmiechając się z żalem.

- Boisz się, że twoja pochodnia zgaśnie pierwsza? - zapytał z uśmiechem. - Pamiętam twoje sukcesy w poprzednich tańcach. Powinnaś dać innym szansę na rewanż.

Odmowa byłaby grubiaństwem; szukała uprzejmych słów usprawiedliwienia i wtedy Guy przyszedł jej z pomocą.

Wyrósł nagle u jej boku, przejęty, nie zwracając uwagi na niechętny wzrok, jakim mierzył go Gilbert.

- Zechce mi pani towarzyszyć, milady? Służąca pani potrzebuje.

- Dena? Czy jest niezdrowa?

Guy wzruszył niecierpliwie ramieniem i spojrzął na nią przelotnie.

- Ja tylko przynoszę wiadomość, milady.

Jane odwróciła się i wsparła dłoń na rękę Gilberta. Dojrzała w jego oczach chłód.

- Nie mogę zostać, Gilbercie. Dena jest tutaj tylko z Enid, która nie potrafi jej pomóc. Dena jest moją starą służącą...

- Nie jesteś mi winna żadnych wyjaśnień, milady. - Oschły, oficjalny ton, przeczący ich długiej znajomości. Skłonił się lekko.

Jane poczuła żal, lecz tylko wymamrotała słowa pożegnania i wsparła się na ramieniu Guya. Jego napięte mięśnie drżały. Ukradkiem zerknęła mu na twarz, powstrzymując się przed zadawaniem pytań.

Gdy wreszcie znaleźli się na zewnątrz i schodzili po śliskich stopniach, spytała:

- Wszystko w porządku, sir Guy?

- Tak. Pani służąca jest zdrowa. Szeryf przysłał po panią.

Pociągnął ją w dół schodów i przez dziedziniec, gdzie przeszli pod pochodniami i lampami na murach. Mżył drobny deszczyk. Guy otworzył drzwi i cofnął się, by ją przepuścić. Wokół Jane zamknął się łagodny półmrok, w którym ginęła większość komnaty.

Jedynym oświetleniem były świece. Jane strzepnęła kropelki deszczu z rękawów, otrząsnęła spódnice i głęboko westchnęła. Jej uwagę przykuł cichy odgłos; i odwróciła się i zobaczyła, że Guy zamyka dzielące ich drzwi i pozostawiają samą.

Zacisnęła dłonie na fałdach spódnicy i zadrżała. Ma czekać?

Poczuła silny zapach korzennych przypraw; na małym stoliku stała butla wina i dwa małe pucharki. Aby zająć myśli i ręce, podeszła i nalała wina. Miało smak cynamonu, miodu i imbiru. Działało kojąco.

Cisza stawała się nieznośna. W końcu otworzyły się drugie drzwi. Jane zacisnęła palce na nóżce pucharu. Wszedł Tre. Spozrzegł ją i cicho zamknął drzwi za sobą. Jane poczuła dziwny, prawie bolesny ucisk w piersi. Jej dłonie stały się zimne, a twarz gorąca. Aby ukryć zmieszanie, odezwała się lekkim tonem:

- Wszystko w porządku, milordzie?

- W Nottingham tak, wszystko w porządku - odparł i uśmiechnął się niewesoło.

- Nie...- wyciągnęła rękę, by go dotknąć, lecz zmieniła zamiar i niezręcznie wzruszyła ramionami. - To znaczy, widzę, że nie jest pan ranny.

- Nie, nie jestem. - Odpiął miecz i położył na stole. Rozległo się ciche brzęczenie. - Nie mamy wiele czasu. Turniej zaczyna się jutro rano. Zanim król przybędzie, jest jeszcze dużo do zrobienia.

Zamilkł, a Jane nalała mu wina i podała pucharek. Przyjął go, musnąwszy jej dłoń; ogień i lód - zadziwiający kontrast. Popijając wino, przyglądał jej się w mroku.

- Po turnieju kapitan Oliver odeskortuj e panią do Ravenshed. Jest jednym z niewielu poza Guyem, którym mogę ufać.

- Dlaczego tak bardzo zależy panu, bym stąd odjechała? - Dłoń zdrząła jej lekko i kilka kropli wina przysnęło jej na rękaw. - Grozi mi coś? Sprawiam kłopot?

Tre wciąż miał na sobie czarno-złotą tunikę; leżała na nim doskonale, uwydatniając szerokie barki i klatkę piersiową i sięgając do połowy łydki. Podszedł, ujął jej dłoń, uniósł ją do ust i spojrzał w oczy, tak że straciła oddech.

- Nie jest mi pani ciężarem, Jane z Ravenshed. - Koniuszkiem języka zlizwał krople wina z wierzchu jej dłoni.

Dyszała szybko. Światło w jego czarnych włosach załśniło jak w skrzydłach kruka... dotknęła ich. Były jak czarny jedwab...

- Więc czymże jestem, milordzie, skoro nie ciężarem? - wyszeptwała w zakłopotaniu.

Spojrzał na nią, potarł kciukiem delikatną skórę jej dłoni. Na ustach zagrał mu lekki uśmiech. Ciemny, piękny, ironiczny archanioł...

- Jest pani śliczna - powiedział po długiej chwili milczenia - i niebezpieczna.

Słyszając jej przyspieszony oddech, uśmiechnął się bez cienia drwiny i odstawił pucharek.

- Niebezpieczna dla każdego mężczyzny, który chce panią chronić. Udaremnia pani moje wysiłki.

Nie odpowiedziała. Nie powinna mu mówić, że pragnie być

w pobliżu niego, że nie chce wracać do Ravenshed, bo nie może znieść myśli o rozstaniu. Była głupia, szalona. Posiadł ją, ale nie powiedział ani słowa o miłości, tylko o własnych potrzebach.

A jednak... a jednak nie protestowała, gdy przyciągnął ją do siebie z dzikim pomrukiem pożądania, gdy przytrzymał jej głowę i złożył na ustach gwałtowny pocałunek. Poczowała smak imbiru, cynamonu i żądz. Jego język poruszał się rytmicznie, domagając się odpowiedzi. W brzuchu odezwało się bolesne pulsowanie i przesunęło się niżej, zalewając ją ognistą falą.

Gdy w końcu uniosł głowę, zacisnęła palce na jego tunice. Kolana ugięły się pod nią, zwiśla na jego ramieniu, a on mocno ją przygarnął.

- Piękana lady, niweczysz wszystkie moje poczynania - szepnął.

Wtuliła twarz w jego pierś, uniosła dłoń, badając palcami zarys ust, policzka, szyi. Pachniał wiatrem i egzotyczną przygodą; jego serce biło mocno.

W głowie Jane kłębiły się dzikie myśli, powracały strzępki wspomnień, rodziły się niesprecyzowane tęsknoty, budziła się niepewność. Nazywał ją śliczną, jednak wartość kobiety mierzy się jej płodnością. A ona nie doczekała się dzieci. Jałowe łono, niezdolne do spełnienia funkcji, której mogła sprostać byle dziewczka. Czy wiedział o tym?

Utracił dziecko, ukochaną córkę. Czy będzie pragnął następnej? A może wziął mnie tylko, myślała, by doznać chwilowej przyjemności?

Sprzeczne emocje stawały się tym gwałtowniejsze, że pieszcząc ją, ujawniał swą skrywaną naturę. Cieleśna miłość zdradzała skomplikowany charakter mężczyzny, który trzymał ją w ramionach. Był kimś więcej niż szeryf czy baron. Kimś znacznie więcej...

Pogładziła go po piersi. Czuła, że napiął mięśnie i wstrzymał oddech. Jego bliskość sprawiała, że jej piersi stawały się wrażliwe, a brodawki wezbrane, obolałe i napięte.

Przesunął dłoń po jej plecach, ramieniu, szyi i podbródku. Uniósł jej głowę i namiętnie wpił się w usta. Drugą ręką dotknął piersi. Odczuła natychmiastowy żar. Ścisnęła drżące uda, by stłumić wznoszącą się falę ognia. Zadrżała.

Dyszał prosto w jej usta. Kciukiem i palcem wskazującym drażnił brodawkę, budząc słodką rozkosz, rozpluwając się w całym ciele. Jęknęła.

- Poddaj mi się, słodka pani. Cała, calutka, caluteńka...

Zsunął dłoń i zebrawszy spódnice, zadarł je. Przywarł do Jane, popychając ją w kierunku stołu. Płomień świecy załśnił w czarnych włosach, zaigrał na twarzy drżącym cieniem. Tre pochylił się, przyciągnął ją do siebie i wtulił usta w jej jedwabisty biust.

Z cichym westchnieniem zanurzyła palce w jego włosach, a on opadł na kolana, wsparł obie dłonie na biodrach Jane i zsunął z nich niebieski brokat. Musnął ją powiew chłodnego powietrza; zadrżała. Wstrzymała oddech, gdy wsunął palec w wilgotną szczelinę i pieścił, budząc zachwyt i przyprowadzając ją o zawrót głowy.

Osunęła się na stół. Krew w jej żyłach pulsowała oczekiwaniem, zaniepokojeniem i podnieceniem. Tre nachylił się i wstrząśnięta Jane poczuła jego język tam, gdzie przed chwilą pieścił ją palcami.

- Och... - wyszeptała. - Co... robisz? - Zadyszana, odepchnęła lekko jego głowę.

Lecz on wcale się tym nie przejął, uniósł ją i posadził na krawędzi stołu, umieścił głowę pomiędzy jej rozsuniętymi udami i lizał intymne miejsce. Dygotała ze zgrozy i zachwytu.

Wsunął język głębiej i odnalazł źródło rozkoszy. Jane opadła do tyłu i podparta na łokciach, rozsuwała uda w geście poddania. Rozległo się pobrząkiwanie pucharzków, które wreszcie przewróciły się i sturlały na podłogę.

Jane czuła się tak, jakby jej całe ciało płonęło purpurowo z podniecenia i smutku. Powinna go powstrzymać, ale uszły

z niej wszystkie siły. Ciemna głowa Tre na tle białych ud wyglądała prowokująco, szybkie ruchy języka budziły dreszcze i niepokój. Jęczała w proteście, a jednocześnie unosiła biodra, coraz bardziej spragniona.

W odpowiedzi na pełną żaru pieśczętą rodziło się w niej nieznośne napięcie, wznosiły groźne fale. Pojękiwanie przeszło w dziki krzyk ekstazy, który odbijał się o ściany i sufit, dając świadectwo doznawanej przyjemności.

Ciemna twarz Tre przesłoniła światło i sklepienie. Pocałował Jane w policzek, a potem w czoło, zbliżał wargi do jej ust, powoli przywracając ją do przytomności.

- Straciłem rozum - wyszeptał. - Wszędzie dookoła czychają niebezpieczeństwa, a ja myślę tylko o tobie... o tym... i o tym...

Ujął jej piersi w dłonie, całował wrażliwe sutki, przygryzał je zębami, rozpalając nowe płomienie. Wiła się, pragnienie znów zaczęło narastać, piekący ból stawał się nieznośny. Poczwała jego wzwód pomiędzy udami, twardy i gorący. Teraz już bez wstępów, gwałtownie wtargnął w jej wnętrze. Uniosła biodra, wyginając się w łuk.

— *Ma chérie...* - wyszeptał zadyszany.

Słodka intymność, spełnienie namiętności... i czegoś więcej. Potrzebowała go. Odczuła tkliwość w sercu. Ich ciała i dusze sprzęgły się z sobą. Pragnęła czegoś więcej niż zwykłe bytowanie, nawet za cenę niebezpieczeństwa...

Sztywny członek dźgał ją szybkimi, dzikimi ruchami, które wkrótce doprowadziły do wyzwolenia. Uniosła ręce, wczepiła palce w jego włosy, krzyczała z rozkoszy wprost w jego usta.

Chwila zawieszenia, a potem silne pchnięcie i bezruch, powolne odprężenie. Wsparty na zgiętych ramionach, leżała na niej, dysząc ochryple. Czuła jego wciąż twardy członek. Otaczała ich korzenna woń rozlanego wina.

Usiadła niezręcznie, drżąc w chłodzie. Na zewnątrz deszcz dudnił o kamienie. Poczwała wilgoć ciągnącą od otwartego okna.

- Nie potrafiłem się opanować, chociaż bardzo starałem się zachować dystans - powiedział z uśmiechem. - Niweczysz wszystkie moje zbożne postanowienia.

- Naprawdę?

- Tak. Jutro odjedziesz z Oliverem zaraz po turnieju. Nikt nie zwróci uwagi na twój odjazd. A ja pozbędę się ciebie, zanim przybędzie król.

- Jak myślisz, co Jan zamierza? Jestem wdową. Nic mnie nie wiąże. Ravenshed należy do mnie. Wniosłam je w posagu i nie można mi go odebrać. Hugh zostawił mi je w testamencie.

- Martwię się nie utratą ziemi. - Zapiął pas i poprawił miecz. - Chodzi o coś więcej. Gaudet to intrygant. Muszę mieć swobodę, by odeprzeć jego oskarżenia, nie obawiając się, że mogę sprowadzić na ciebie niebezpieczeństwo.

Ujął palcami jej brodę, unióśł głowę, pochylił się i musnął wargami usta. Chwyliła go za nadgarstek i przyłożyła sobie jego dłoń do policzka. Ogarnęło ją przerażenie.

- Milordzie...

- Nie zobaczymy się więcej. - Wyrecytował to chłodnym tonem, pozbawionym wszelkich emocji.

Ucisk w gardle, odrętwiałe usta niezdolne do odpowiedzi. Spodziewała się tego, a jednak czuła się zdruzgotana. Jej obawy zostały potwierdzone.

- Tak być musi. - Zamilkł i przyjrzał jej się z powagą. - Są ludzie, którzy chętnie wykorzystają twoją obecność przeciwko nam obydwójgu. Jeśli król się dowie, że nie aresztowałem cię za pomoc zbójnikom, może zażądać twojej głowy. Nie chcę ryzykować.

- Przywykłam do niebezpieczeństw, milordzie - odparła, wreszcie znajdując odpowiednie słowa. - To bardzo pochlebne, że chcesz mnie chronić, lecz zdajesz się zapominać, że potrafię bronić się sama.

- Czyżby? - Zanim zdążyła się poruszyć, uchwycił ją za nadgarstek tak silnie, że z trudem chwyciła oddech. - Mało

kto ostrzega przed uderzeniem. Także gdy chodzi o kobietę... nawet jeśli owa kobieta potrafi bronić się sama.

Gdy ją puścił, roztarła obolałą rękę.

- Rozumiem, o co ci idzie, milordzie. Nie zdawałam sobie sprawy, że muszę się mieć się na baczości również przed tobą.

Zabrzmiało to zgryźliwiej, niż chciała.

Spojrzał na nią lodowatymi szarzielonymi oczyma.

- Nie prowokuj mnie - wycedził cicho.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Spojrzała na drżące płomienie świec.

- Milady... Jane.

Jego głos zabrzmiał mniej szorstko, wyraz napięcia zniknął z twarzy. Wyciągnął do niej rękę; po chwili wahania uściśnęła czubki jego palców.

- Tak będzie lepiej. Mógłbym na ciebie sprowadzić śmierć. - Przyciągnął ją bliżej, odgarnął włosy z czoła. - Nie zbliż się do ciebie. Na każdym kroku czyhają szpiedzy, tak jak dzisiaj w kaplicy. Bądź ostrożna i nie słuchaj ludzi, którzy powołują się na moje imię, bo będą kłamać. Gdy nadejdzie czas, kiedy poczuję się bezpieczny, przyjadę do ciebie osobiście. Jedynym mężczyzną, któremu ufam bez reszty, jest Guy de Beaufort. Ty także możesz mu zaufać.

Nadzieja, która zakwitła w jej sercu zbyt wcześnie, przemieniła się w popiół. Usłyszała swój własny głos, spokojny, nie zdradzający gniewu:

- Odjadę z kapitanem Oliverem jutro po turnieju.

Tre znów stał się daleki, bezpieczny za wzniesioną barierą. Odprowadził ją do jej komnaty, życzył dobrej drogi powrotnej i zniknął w deszczu i w ciemności. Słyszała na schodach jego kroki, a potem stuknęły dębowe drzwi i usłyszała znajomy głos Deny:

- Milady, kąpiel gotowa.

Jane stała bez ruchu, jakby jej członki powięzła jakaś niewidoczna nić. Pozwoliła się rozebrać i zaprowadzić do

drewnianego cebrzyka. W milczeniu wysłuchiwała litanii pokojówki o tym, jak trudno było zmusić Fiskina, by wyszukał cebrzyk i przyniósł go do komnaty.

Zanurzyła się w pachnącej wodzie, która pomimo wysiłeków Deny zdążyła przestygnąć.

Wewnętrzne chłodu nie zdołało rozgrzać nawet wino. Jane drżała, dopóki Dena nie ułożyła jej w pościeli i nie okryła dodatkowym futrem.

Wreszcie została sama; Dena odeszła do pomieszczenia dla służby, gdzie położyła się spać na słomianych matach, zaścielających podłogę. W komnacie paliła się pojedyncza świeczka.

Poprzez na wpół opuszczone zasłony łoża z baldachimem docierały do niej senne pomrukiwania; Dena i Enid wiodły cichą rozmowę. Na zewnątrz także zapanował spokój. Deszcz przerwał uroczystości i pogasił ogniska. Dokoła zamku było cicho, okalał go mrok, niczym zaciskająca się pięść.

Cisza...

Jane nie rozumiała, dlaczego nikt nie słyszy krzyku jej duszy.

Po deszczowej nocy powoli wstawał ranek. Tre spotkał się z Guyem na środkowym dziedzińcu. Mokra kamienie lśniły; porywisty wiatr niósł zatechłą woń z fosy. Po wałach i moście przechadzały się straż, tupiąc głośno. Na powitanie dnia zapał kogut.

- Oliver wyjedzie dzisiaj, gdy skończy się turniej.

Guy skinął głową i powiedział:

- Strażnicy przyprowadzili kilku schwytanych zbójników. Są to Anglosasi, ale żaden z nich nie okazał się Małym Johnem ani Szkarłatnym Willem. Oliwer ma przykazane, by im nie popuszczać. Jeśli ktoś ich schwyta, to jedynie on. Zna Sherwood nie gorzej niż zarządcy lasów królewskich.

- Byle go nie znał gorzej od kłusowników. Chodzą słuchy, że widziano ludzi włóczących się w pobliżu wąwozów i leśnych ostępów. Nie pokazali się więcej. - Zmarszczył brwi i rozejrzał się po dziedzińcu. Po nocnej hulance panowała cisza.

- Modłę się o to, by schwytani zadowolili króla Jana - powiedział żarliwie Guy.

- Jana nie można zadowolić. Robi, co chce, bierze, co mu w oczy wpadnie. Ma zamiar pozbyć się mnie i zagarnąć moje ziemie, nie mam co do tego żadnych złudzeń. Nie pomogłoby mi nawet schwytanie Robin Hooda i powieszenie go ku uciesze króla.

- Jednak jeżeli Rada Baronów...

- Zwracałem się o pomoc do Geoffreya FitzPetera, lorda Essex. Jako królewski sędzia najwyższy, zarządził zwrot własności odebranych Kościołowi po nałożeniu na króla interdyktu. Arcybiskup ma wrócić do Anglii, a ma on pesymistyczny pogląd na zwrot posiadłości baronom. Jeżeli jednak uda mi się utrzymać głowę na karku do czasu, gdy moja apelacja zostanie rozpatrzona, mogę udaremnić królewskie plany zatrzymania Brayeton.

- Albo utracić wszystko.
- Tak, albo utracić wszystko.

Zamilkli. Po dziedzińcu snuł się dym z ognisk. Nottingham wracało do życia, przy bramach strażnicy kłócili się z handlarzami. Zrobiło się widniej, zza wierzchołków drzew błysnęło słońce.

Tre spojrzął na przyjaciela. Guy miał chmurne oczy, jego ruchy były pełne napięcia i niecierpliwości.

- Dowiedziałeś się czegoś od więźniów, których zatrzymaliśmy nocą?

- Nic. Powiedzieli wszystko, co wiedzą. Anglosascy rebelianci. Płatni zabójcy. Twierdzą, że nie wiedzieli, kim jesteś, chcieli cię tylko obrabować.

Tre parsknął niedowierzająco.

- W kaplicy? Bezmyślność. Nottingham jest pełne rycerstwa i żołnierzy, złodziej nie uchowa się dłużej niż świeże mięso w stadzie wilków.

- Zostali nasłani przez Gaudeta. Chętnie zobaczę, jak ponosi karę za zdradę.

- O zdradzie można mówić tylko wtedy, gdy w grę wchodziło zaufanie. Gaudet kieruje się pogardą i nienawiścią. Wątpię, czy okazywałyby królowi lojalność, gdyby nie było mu to na rękę. - Tre zmrugał oczyma. Nad różnokolorowymi namiotami baronów, rycerzy i uczestników turnieju trzepotały jedwabne proporce i chorągwie, w barwach zieleni, błękitu, żółci i czer-

wieni. - Szkoda, że Gaudet nie wejdzie w szranki. Chętnie bym się z nim spróbował.

Poza dziedzińcem rozciągał się błotnisty teren, na którym odbywać się miały potyczki; na skraju stały stragany handlarzy.

Guy ruchem głowy wskazał niższy dziedziniec.

- Wczoraj wyzvano mnie tylko na trzy pojedynki.

- Tylko trzy? Onieśmielasz przeciwników, sir Guy.

- Jednym "z przeciwników ma być sir Alfric, Anglosas z Kelham. - Guy zamilkł, po czym dodał znacząco: - Kuzyn Gaudeta.

- Jeszcze jeden kuzyn... mnożą się jak szczury. Widziałeś tego Alfrica? - Ruszyli w stronę środkowego mostu; deszcz sprawił, że zatechła woń fosy osłabła.

- Widziałem go wcześniej. - Guy ominął końskie łajno. Poniżej, na zboczu, zaspani baronowie zaczęli wychodzić z pawilonów. - Zwą go Alfric Druzgocący Cios. Przydomek, który może obudzić strach u żółtodziobów, ale nie u wytrawnych rycerzy.

- Lub mdlejących kobiet.

Guy roześmiał się cicho.

- Jeżeli on ma być najlepszy spośród Anglosasów, będę potrzebował innych przeciwników, żeby się nie zanudzić.

Tre skrzywił się, gdy mijali ogniska kowalskie na trawniku poniżej zamku. Wzlatywał z nich czarny dym, dźwięczały młoty, kujące żelazo i stal, płatnerze doskonalili swój fach w oczekiwaniu na pracę.

- Co powiesz lady Jane?

Pytanie Guya zaskoczyło Tre. Wspomniał bladą twarz i wyraziste oczy. Dawne bariery powróciły na miejsce. Powziął decyzję.

- Nic - odparł.

Guy skinął głową i zatrzymał się przy palisadzie ze świeżego drewna.

- Kapitan Oliver dopilnuje, by bezpiecznie dotarła do Ravenshed. Lepiej, żeby odjechała z tego przeklętego miasta.

- Nie chodzi o miasto, lecz o Gaudeta. Chętnie zabiłbym go za zdradę.

Na sam dźwięk tych słów, Guyowi powrócił dobry humor.

- Wyzwij go *a l'outrance*. Zemsta usprawiedliwi jego śmierć na polu.

- I miałbym słuchać zakapturzonych księży popłakujących nad potępieniem tych, którzy walczą w turniejach? Zostawiam to tobie.

- Nie chcę, żeby Kościół szczuł mnie tak jak króla.

Tre spojrzął na gęstniejący tłum; prostokątny kawałek trawnika na szranki, odgradzony był od widzów palisadą. Najbardziej niecierpliwi ustawiali się już wzdłuż drewnianych balustrad.

Guy odsunął się od ogrodzenia.

- Wniosłem opłaty i wystawiłem tarczę. Lichwiarze wycenili mego konia i zbroję, chociaż dzisiaj będę zbierał, a nie wypłacał okupy.

- Jak zawsze stawiam na ciebie. Jak dotąd nigdy tego nie żałowałem. - Tre spojrzął na galerię. - Będę cię okłaskiwał i zbierał wygraną.

- I będziesz się trapić, że tylko patrzysz, a nie walczysz. A może powinienem wejść w szranki, broniąc twego honoru, a nie honoru pięknej damy?

Jego dowcip spotkał się z mało wytwornym komentarzem. Guy wkrótce odszedł, ponieważ do rozpoczęcia turnieju pozostało niewiele czasu.

Tre minął szereg sztandarów i hełmów zwieńczonych grzebieniami, które ustawiono dla ułatwienia indentyfikacji uczestników turnieju. Gdy wspinał się na galerię, drewniane stopnie trzeszczały pod jego ciężarem. Świeże drewno wydzielało miły zapach; z baldachimu zwiślały aksamitne draperie.

Obejrzał się i omal nie wpadł na Gileasa.

- Lordzie szeryfie - zameldował służący. - Kapitan Oliver kazał pana poinformować, że dama, którą miał eskortować, zniknęła.

- Poczekajmy z tym do końca turnieju. Może jeszcze nie jest gotowa do odjazdu.

- Kapitan Oliver zdaje sobie z tego sprawę, milordzie. Jednak dama zniknęła wraz ze służbą, wierzchowcami i bagażem. Straże wypuściły ich za bramę o świcie.

Tre poczuł gwałtowny przypływ gniewu, pociemniało mu w oczach. Zaklął cicho. Giles ani drgnął. Tre spojrzął na szranki, wypełniające się pierwszymi uczestnikami turnieju.

- Przyślij do mnie Olivera. Odszukaj strażę, które widziały odjazd damy.

Za późno... słońce jest już wysoko.

Przybyli Oliver i strażnik, który potwierdził, że lady Jane wraz ze swą siostrą opuściła zamek.

- Jedź za nimi, Oliverze. - Tre usiadł pod baldachimem galerii, w krzesło o wysokim oparciu; z dłońmi położonymi na kolanach, przeklinał obowiązek, który nakazywał mu pozostać na miejscu.

- Podróżuj z wozem, milordzie - powiedział Oliver. - Powinniśmy ich szybko dogonić.

- Dopilnuj tego. Nie dopuść, by coś zakłóciło nasze poprzednie plany.

- Zrobię, co trzeba - odparł kapitan.

- Zadbaj o bezpieczeństwo damy.

- To przede wszystkim.

Kapitan zszedł z galerii, podzwaniając mieczem i kolczugą. Galeria zapełniała się nowymi widzami, rozbrzmiewały śmiechy, damy w jedwabiach zajmowały miejsca. Gaudet zasiadł samotny i czujny.

Rozległy się krzyki i Tre spojrzął na szranki. Najpierw walczyli niedoświadczeni rycerze, nierzadko łała się krew. Niezręczne ataki lancą częstsze były od skutecznych napaści. Tre poczuł zniecierpliwienie. Nie może tu siedzieć przez cały dzień. Jednak, gdyby wstał, Gaudet poszedłby za nim. Jeżeli odjazd Jane pozostał jeszcze niezauważony, Oliver będzie miał większe szanse, by ją dogonić.

Każdy ruch był podejrzany, każda obrona nieodpowiednia. Podparł brodę na pięści i utkwiał wzrok w polu walki. Przybył lord Creighton i Gilbert z Oxton. Wymienili żartobliwe uwagi. Na galerii pojawiło się więcej baronów. Tre poczuł, że w żołądku zaciska mu się bolesny węzeł. W tej grze nie był dobry; wolał aktywność od biernego oczekiwania. Ręka świerzbiała go, by chwycić miecz. Zazdrościł Guyowi, że będzie wałczył.

Szranki opuszczała pierwsza fala uczestników turnieju. Na mokrej trawie, zaśmieconej podczas poprzednich potyczek, stanęli bezstronni sędziowie. Giernkowie uprzętałi drzazgi lanc i strzępki skrwawionego jedwabiu.

Zatańczyły osiodłane wierzchowce, zaśniły jedwabne kutasy. Jeźdźcy w kolczugach, pod heraldycznymi barwami, wzniesli lance. Pochód został powitany rześistymi brawami tłumu zebranego na galerii. Oto nadchodzili mistrzowie, gotowi na wszystko, aby zdobyć nagrodę.

Pochód rycerzy objechał teren, po czym zbliżył się do ozdobionej jedwabnymi draperiami galerii. Tarcze i hełmy migotały w słońcu.

Ubrany w zieleń i w złoto, *vert* i *or*, będące barwami rodowymi, Guy wstrzymał wierzchowca przed galerią. Uniósł lancę, a siedzące pod baldachimem damy westchnęły podniecone. Twarz pod hełmem była bez wyrazu, przyłbica uniesiona. Koniec lancy ani drgnął.

Guy wybrał lady Dunham, aby przywiązała do lancy wstęgę szkarłatnego jedwabiu. Tre rozejrzał się, marszcząc brwi. Wprawdzie męża nie było w pobliżu, lecz Walter z Gedling rzadko bywał w pobliżu żony.

Lady Dunham wyzywającym gestem przymocowała jedwab. Guy zasalutował jej przyozdobioną lancą i wycofał ogiera, aby zrównać się z pozostałymi rycerzami.

Jeźdźcy powrócili do nisz, gdzie czekali na nich giernkowie, aby ich uzbroić przed walką. Nad jedwabnymi pawilonami powiewały proporce; tarcze wymalowane były w paski, kratki

i szewrony w barwach heraldycznych: *azure, gules, vert*; prawdziwa tęczą. Na tarczach i hełmach często zdarzały się oznaczenia kolejności urodzin.

Tarcza Guya de Beaufort miała gwiazdę pod złotym szewronem na zielonym polu, znak trzeciego z kolei syna. Na hełmie nie miał kity, w której mógłby uwięzić koniec miecza lub lancy. Jego zbroja i ekwipunek sprowadzone zostały do minimum; były śmiertelnie niebezpieczne, lecz nie przeładowane.

Powiał ciepły wietrzyk. Damy przykryły noski perfumowanymi chusteczkami, przed ostrą wonią dolatującą z rzeźniczych straganów i od fosy. Jaskrawe słońce obwieszczało południe. Siedzący obok szeryfa lord Creighton uniósł pucharek ze stopu cyny i ołowiu; w pierścieniu z rubinem zabłysło światło.

- Prawdziwi mistrzowie, lordzie szeryfie - rzekł z uśmiechem anglosaski baron i wskazał pole. - Powiadają, że wasz rycerz zwycięża we wszystkich turniejach jak Anglia długa i szeroka.

- Tak. Beaufort nie ma sobie równych.

- Zechce się pan założyć, że Guy pokona sir Alfrica, anglosaskiego czempiona?

Tre zmierzył go chłodnym spojrzeniem, uniósł brew i uśmiechnął się półgębkiem.

- Nie zwykłem zakładać się z Anglosasami. Uważam, że w najlepszym razie kończy się to nieprzewidywalnie, a w najgorszym, niebezpiecznie.

Creighton roześmiał się z zachwytem i trzepnął dłonią po udzie.

- Jesteś rozsądniej szy niż inni, lordzie szeryfie. Nierozsądne jest nie doceniać przeciwnika, bez względu na to, czy jest to chłop, czy król.

- Czy też Norman. - Tre uśmiechnął się, widząc, że lord Oxtton drgnął, a jego niebieskie oczy załśniły oburzeniem.

Siedzący obok Creightona Gilbert z Oxtton, sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie. Tre pamiętał, jak przed czterema

miesiącami lord usiłował uciszyć Jane. Jego jasne oczy pociemniały wtedy z gniewu. Tre wspomniał to zajście z przykrością, lecz nie miał za złe damie. Mogło się wtedy roznieść po zatłoczonym zamku, że znenawidzony szeryf interesuje się wdową po Hugh de Neville'u.

Na galerii rozległy się okrzyki; z pola doleciał szczeł lanc i ścierających się tarcz.

Tre ze zniecierpliwieniem oczekiwał końca turnieju. Guy stał, zaciskając dłonie w zbrojnych rękawicach, z hełmem pod pachą. Pod warstwą stali byłoby gorąco, nawet pomimo wyściółki z tkaniny, która miała chronić głowę przed udarem słonecznym w Ziemi Świętej. Na czole i skroniach Guya pojawiły się krople potu, jasne włosy pod wpływem wilgoci nabrały barwy błota. Otarł czoło gałgankiem, który podał mu giermek, skrzywił się, spojrzął w górę i napotkał wzrok Tre.

Uśmiechnął się z wdzięcznością. Miał zamiar pokonać sir Alfrica i przywrócić Normanom dumę, nadszarpniętą ostatnio przez poczynania zbójców i dominację króla. Odkupienie będzie miało słodki smak, jeżeli nastąpi.

Pomimo pełnych ostrożności planów, Tre nie potrafił się pozbyć złych przeczuc. Niespodziewana ucieczka lane sprowadzi na niego kłopoty. Czuł to i obawiał się tego. Ale na razie mógł tylko czekać.

21

Wielki Trakt Królewski wiódł wśród prastarych drzew, Lasu Sherwood, biegnąc wzdłuż brzegu rzeki Leen, zmierzającej na północ, gdzie opływała zamek Nottingham. Ogromne konary, grubości ludzkiego tułowia, pochylały się nad drogą, tworząc zielone sklepienie. Wszelkie odgłosy stawały się stłumione, stukot kopyt i turkot kół cichł na podściółce z błota i próchnicy.

- Milady...

Jane ściągnęła wodze rumaka i obejrzała się na wóz, podskakujący na koleinach. Dena kurczowo trzymała się wozu, twarz miała pobladłą, usta rozwarte; z trudem chwytała oddech.

Przestraszona Jane nakazała postój. Fiskin posłusznie ściągnął skórzane lejce; wstrzymał kobyłę, która rozszerzonymi nozdrzami, z ulgą, wytchnęła kłęby wilgotnego powietrza. Przywiązany do wozu juczny koń z przytroczonymi mniejszymi kuframi zarżał w odpowiedzi.

Wystraszona Enid, niczym ranny ptak, z krzykiem trzepotała nad matką rękami.

- Ucisz się - ostro przykazała jej Jane i dziewczyna ograniczyła się do słabego pojękiwania.

- Dena, co ci dolega? - Jane pochyliła się na koniu i dotknęła zroszonego potem czoła starej kobiety. Skóra była wilgotna,

choć chłodna. - Nie powinnam była tak cię ponaglać dziś rano. Fiskin, pomóż mi zdjąć ją z wozu.

We dwójkę ściągnęli tęgą Denę z wozu i ułożyli na kępie wysokiej trawy. Jane poluzowała lniany kwef, a Enid podłożyła opończę pod głowę matki, aby podać jej wodę.

- Błagam, niech mi pani wybaczy, milady - wymamrotała Dena. Jej poszarzałe usta drżały, twarz miała barwę popiołu.

Jane uśmiechnęła się i przyłożyła dłoń do policzka starej sługi.

- Nie mam ci czego wybaczać, Dena. Nie martw się. Jesteśmy przy tobie.

Pozornie spokojna i beztraska Jane, w gruncie rzeczy była wystraszona. Znajdowali się sami na drodze, stanowiąc łatwy łup dla zbójców, którzy ściągnęli do Nottingham, zwabieni turniejem i targami. Wóz i bagaże, strzeżone tylko przez służbę, budziły pokusę.

- Pozwólcie mi chwilę odpocząć, milady, i zaraz ruszymy dalej.

- Ciii, Dena. Odpoczywaj. - Jane odgarnęła kosmyk z jej pobladłego czoła; wśród ciemnych włosów spostrzegła wiele siwych pasm. Kiedy Dena tak się postarzała? Zdawało się, że jeszcze wczoraj była młodą matką o szerokich biodrach i krzepkich udach. Teraz wyglądała na starą i słabą, miała zmarszczki na dobrze znanej twarzy i obwisłe policzki. Jane dotknęła czoła Deny. - Wyślę Fiskina, żeby sprowadził pomoc.

- Nie, milady. Nie trzeba. Zaraz mi przejdzie, już tak bywało. - Stara kobieta zacisnęła palce na wełnianej opończy Jane.

- Tak, przejdzie. Ale trzeba ci ulżyć, a ja nie mam przy sobie ziół.

Łagodnie rozgięła palce służącej i wstała. Przywołała Fiskina, który niecierpliwie czekał na jej polecenia.

- Weź konia jucznego. Kobyła może być potrzebna do ciągnięcia wozu. Jedź szybko do Ravenshed i przywieź nam Edwina. Masz. - Szybkim ruchem zdjęła z szyi różaniec

i wcisnęła go w dłoń Fiskina. - Jeżeli ktoś cię zatrzyma, pokaż mu to i powiedz nazwę posiadłości. Jedź, co koń wyskoczy.

- Tak, milady. - Owinął dłoń różańcem i wepchnął go za pazuchę. Rozkulbaczonego konia, małe kufierki poustawiano na wozie. Fiskin wskoczył na siodło, uśmiechnął się i odjechał, popędzając niechętnego konia.

Jane westchnęła. Jeszcze jedno nieszczęście. Jeszcze jeden kłopot. Opadły jej ramiona, mięła palcami skraj opończy. Enid spoglądała na nią z pełnym zaufaniem, które napawało Jane przerażeniem.

Miała ochotę nakrzyczeć na Enid; nie była w stanie wyleczyć Deny ani wydostać ich z trudnej sytuacji.

Nie potrafię uratować nawet samej siebie, pomyślała.

Takie myśli były niebezpieczne i trudne do zniesienia. Utracona nadzieja, niespełnione marzenia; naga prawda zamiast głupich iluzji.

- Enid, pójdz do lasu. Poszukaj krzaku głogu. Przynies mi jagody, ile tylko znajdziesz.

Zajęcie dla Enid i dla niej samej. Podeszła do wozu, doprowadziła łagodną kobyłę w kierunku brzozy. Jasnosrebrzysta kora z czarnymi plamkami na spękany pniu; Pani Lasu z wdzięcznie udrapowanymi gałązkami i delikatnym listowiem, które drżało w lekkim powiewie wiatru.

Daj Boże, by poszukiwania Enid okazały się owocne. Jagody głogu mają właściwości lecznicze, pomagają na palpacje serca. Usiadła obok Deny, zgięła nogi i objęła kolana ramionami. Przemawiała do Deny łagodnie, a ona raz po raz zapadała w drzemkę.

Wróciła Enid. Przyniosła zaledwie kilka jagód; twardych i niezupełnie czerwonych. Wyciągnęła rękę, pokazała je i rzekła z nadzieją:

- To wszystko, co znalazłam, milady. Mogą być?

Jane uśmiechnęła się z wdzięcznością, wstała i wzięła małe jagódki.

- Enid, módlmy się, aby się nadały. Przynies z wozu worek z wodą.

Nie wiadomo, czy sprawił to odpoczynek, czy napar, w każdym razie twarz Deny zaczęła nabierać kolorów, usta normalnego odcienia. Po kilku minutach usiadła, choć trzęsła się z wysiłku.

- Jestem gotowa do jazdy, milady - powiedziała niewyraźnie. Powieki opadały jej na oczy; wciąż była chora.

Jane wahała się. Już tak niedaleko... Papplewick było tuż-tuż. Ważyć się na dalszą podróż? Wierzchowiec parsknął, nastawił uszu i zatańczył w miejscu.

Niepokój Jane wzrastał. Las przy drodze stał cichy i nieruchomy. Nawet ptaki nie śpiewały. Złe przeczucie rosło i nabierało siły. Pomogła Denie wsiąść na wóz, który zachwiał się i zaskrzypiał, gdy Dena usiadła na wąskiej ławeczce obok Enid.

- Milady... - Enid oblizwała usta i spojrzała niepewnie na spokojną kobyłę przywiązaną do drzewa. - Nigdy dotąd nie powoziłam bez pomocy...

- Mocno trzymaj lejce. Kobyła sama wie, co robić. Nie bądź taka bojaźliwa, bo nigdy nie dotrzemy do Ravenshed - powiedziała Jane z irytacją. Dosiadła wierzchowca i ruszyła naprzód. Kobyła przejęła inicjatywę. Wóz potoczył się drogą.

Podsakkiwał i trzeszczał, od czasu do czasu koła grzęzły w koleinach niemal po osie. W takim tempie minie wieczność, nim dotrą do klasztoru. Lepiej byłoby zostawić wóz i bagaże, wsadzić Denę na konia. Edwin wiedziałby, co robić dalej.

Monotonny odgłos kół i kopyt wypełniał uszy Jane. Cały świat zawęził się do drogi. Ścisnęła cugle, wierzchowiec parsknął nerwowo. Zachwiała się na siodle; obydwie stopy trzymała na małym występie odchodzącym od siodła.

Cóż za bzdura, zabraniać kobietom jazdy okraciem. Wyjątek stanowiło polowanie. Skoro istniały wyjątki, dlaczego w ogóle nie odrzucić głupiego zakazu?

Od lasu powiało chłodem i wilgocią. Słońce było ledwie

widoczne spoza gąszczy gałęzi. Dalej rosły młode drzewa, które nie ocieniały drogi; tam bieląca jasna plama światła. Pomimo najlepszych chęci, by tego nie robić, zaczęła rozmyślać o Tre Devaux.

Poczuła ostry ból w piersi; odrzucił ją i cała krótkotrwała radość minęła. Obojętny ton i pełne chłodu słowa śmiertelnymi ciosami przeszywały jej serce.

Logika nakazywała, by przyznać rację jego decyzji. Brak ostrożności byłoby niebezpieczny dla nich obydwójga. Ale eskortowanie jej przez strażę zamku również byłoby nieostrożne. Król Jan uznałby to za nieusprawiedliwione. Szczodry dar ze strony Tre, lecz ona nie ośmieliła się go przyjąć.

Wierzchowiec potknął się. Aby nie spaść, uchwyciła wysoki łęk siodła. Przeklęty płaszcz! Ciężki od błota obrąbek ograniczał ruchy *jej* nóg - schyliła się, by uwolnić wełnę uwięzioną pomiędzy stopą a koniem.

W następnej chwili wierzchowiec głośno zarzął, podskoczył dwukrotnie i omal nie strząsnął jej z siodła. Rzuciło jądo przodu na szyję konia. Chwyciła się gęstej grzywy, aby nie spaść na ziemię.

Ledwie zdołała się wyprostować, spostrzegła uzbrojonych pieszych na drodze. Serce zabiło jej gwałtownie. Jeden z mężczyzn wyciągnął rękę, by chwycić uzdę jej konia. Raptownie wstrzymała wierzchowca, który stanął dęba, po czym ześlizgnęła się z siodła i spadła w błoto.

Wrzask Enid zmieszał się z parskaniem konia, pulsowaniem krwi w uszach i gwałtownym oddechem.

Chryste! Zbójnicy!

Sir Alfric zmierzył się z Guyem dopiero wczesnym południem. Tre przyglądał się, z pozoru nieporuszony, lecz bardzo się niecierpliwił. Guy odniósł już trzy zwycięstwa, co przyniosło mu łup w postaci wierzchowca i zbroi od pokonanych rycerzy.

Właśnie uniósł zakończoną potrójnym ostrzem lancę, by

zadać śmiertelny cios. Masywny rumak zarżał donośnie i wdzięcznie zatańczył na zrytej kopytami ziemi. Jego aksamitna biała sierść lśniła w słońcu; ogon i grzywa zamiatały trawę przy każdym kroku. Ozdobny rząd i czaprak z zielonego i złotego jedwabiu mieniły się barwami, połyskiwały srebrne i złote blachy, chroniące głowę i szyję konia. Pojedynek był bardziej podniecający niż chaotyczna bijatyka grupowa. To, że potyczka odbywała się pomiędzy mistrzami anglosaskim i normańskim, pobudzało zainteresowanie widzów.

Tre patrzył, jak Guy układa lancę we wgłębieniu tarczy, przypasowuje podany przez giermka buzdygan, po czym usadowia się na siodle, wsuwa opancerzone stopy w strzemiona i skłania głowę na znak, że jest gotowy.

W przeciwległym końcu szranki sir Alfric wykonał te same czynności. Przy ryku tłumu objechali pole, podczas gdy herald obwieszczał ich nazwiska. Rumaki były kopytami w ziemię, miały rozdęte chrapy i rozedrgane z podniecenia mięśnie.

Obydwaj zawodnicy dali znak sędziom, że mogą zaczynać walkę. Mocno chwycili lance. Opadła wstęga z białego płótna. Konie ruszyły naprzeciw siebie, rozległ się grzmot ich kopyt; w powietrze wzbily się kawałki błota i trawy.

Na początku obaj badali siły i słabości przeciwnika; uderzenia lanc o tarcze, choć głośnie, nie wyrządzały żadnych szkód.

Guy skierował swego wierzchowca w odległy kraniec pola, po czym, nie zatrzymując ani na chwilę, runął naprzód, co dało mu przewagę nad rywalem. Tym razem z całą siłą trafił lancą w sam środek tarczy sir Alfrica, wytrącił go z równowagi i omal nie zrzucił z siodła. Obydwa rumaki zatoczyły się pod wpływem ciosu. Guy przyhamował wierzchowca i znów się obrócił, a sir Alfric zdążył poprawić się w siodle, lecz Guy zdobył punkt.

Tre zmarszczył brwi. Sir Alfric obrócił konia i wzniosł lancę. Guy sprawiał wrażenie zdenerwowanego, niecierpliwie postukiwał palcami w siodło, to znów zaciskał pięści.

- Lordzie szeryfie...

Rozległ się cichy, spokojny, głos Giłesa. Tre obejrzał się, dostrzegł porozumiewawczy błysk w oku służącego i wstał, by przejść za nim na tyły galerii. Giles zasznurował usta.

- Król zbliża się do Nottingham, milordzie.
- Już? - Opanował się szybko. - Przed czasem.

Giles skinął głową i rozłożył ramiona.

- Wszystko gotowe, z wyjątkiem kapitana Olivera.
- Jakie wieści z tamtej strony?

Giles nie odpowiedział, tylko wyjął woreczek spod tuniki. Potrząsnął nim lekko i na dłoń wypadła pojedyncza moneta. Podał ją szeryfowi. Pięcioboczna srebrna moneta. Tre nie musiał brać jej do ręki.

Był to znak klęski. Katastrofa. Judaszowy srebrnik. Złoto, gdy sukces, srebro, gdy zdrada...

Za ich plecami rozległ się głośny łoskot. Tre się obejrzał i zobaczył, że dwa rumaki zderzyły się z sobą. Jeźdźcy i konie krzyknęli z bólu i gniewu; widzowie wydali ryk zgrozy.

Na polu walki zapanował chaos. Znow rozległ się krzyk. Tre zbiegł na przód galerii.

Guy de Beaufort słaniał się na nogach. Zielono-złoty jedwab spływał krwią. Sir Alfric z Kelham szedł mu naprzeciw, podczas gdy giermkowie odprowadzali wierzchowce. Na obnażonych mieczach błysnęło słońce. Twarze obydwu rycerzy przybrały morderczy wyraz. Zadźwiewczała stal. Cios za ciosem, zaczęła się zaciekle walka. Rozległy się ochrypte pomruki.

Marszałek turnieju rzucił flagę na znak, że pojedynek się skończył. Zawodnicy nie zwrócili na to uwagi i podeptali tkaninę. Na galerii rozległ się ryk protestu przeciw decyzji marszałka.

Anglosas przeciwko Normanowi, walka niepodlegająca żadnym regułom. Giles podszedł do Tre:

- Lanca Beauforta łatwo pękła, lordzie szeryfie. - Zamilkł, dając panu czas do namysłu. - Tak łatwo, jakby ją kto nadwątlili...

Prowakacja... wszystko stało się jasne.

Ostrza mieczy zwarły się, ześlizgnęły, rozdzieliły i ponownie zwarły. Rozległ się trzask i miecz Guya pękł na pół, a koniec brzeszczota spadł w błoto. Sir Alfric błyskawicznie wykorzystał sytuację; jego miecz świsnął w powietrzu, ześlizgnął się po krawędzi tarczy Guya, przebił kolczugę i utkwiał w ciele. Tłum jęknął unisono z Guyem, który zgiął się ponad wbitym ostrzem.

Tre poczuł się tak, jakby ostrze miecza przeszło jego. Zacisnął dłonie na drewnianej krawędzi galerii, aż pobiełały mu knykcie. Spozrzegł, że marszałek turnieju pędzi na pole, a sir Alfric odstepuje w tył. Tre ogarnęła dzika wściekłość, gdy Gervaise Gaudet ogłosił zwycięstwo swego faworyta.

Pochwycił spojrzenie Gaudeta - jego triumfalny uśmiech zamarł na ustach. Gaudet szybko się cofnął i wpadł na barierę galerii. Tłum się rozstał. Powiewy wiatru szarpały baldachimem, który głośno trzepotał. Tre chwycił rękojeść miecza. Nie pamiętał, kiedy go wyciągnął z pochwy, ale miał go nad głową - śmiercionośne ostrze zalsniło w słońcu.

- Rozporządzenie mówi o stępionych mieczach, Gaudet - wycedził cicho, nie okazując wściekłości. - Każ aresztować sir Alfrica z Kelham. Jeżeli Beaufort umrze, sir Alfric nie dożyje następnego ranka.

Tłum na galerii umilkł.

- To było uczciwe współzawodnictwo, Devaux. - Oczy Gaudeta miały ogień, ale jego głos również brzmiał spokojnie. - Twój człowiek zaatakował pierwszy.

- Sędziowie zadecydują, obejrawszy jego złamaną lancę i miecz.

- Lordzie szeryfie, czy Anglosasi mogą triumfować w Nottingham jedynie dzięki oszustwom? - wykrzyknął Gaudet. - A może Normanowie nie potrafią przegrać w uczciwej walce, nie okrzyknawszy jej oszustwem?

Wśród Anglosasów rozległ się cichy pomruk. Do głosu dochodziły dawne nieporozumienia. Tre zlekceważył to i całą

uwagę skupił na Gervaisie Gaudecie. Uniósł miecz, ustawiając ostrze poziomo, na płask, i ostrzem dotknął szkarłatnej tuniki Gaudeta.

- Stwierdzam, że lanca został nadwątlona - powiedział cicho. - Żądam satysfakcji, sir Gervaise. Wyzywam cię na pojedynek, nie zastąpi cię żaden inny rycerz. Spotkamy się oko w oko.

- Z największą przyjemnością, Devaux. Od dawna jesteś mi solą w oku.

- Powściągnij język.

Gaudet chwycił rękojeść miecza, zacisnął na nim pięść; zacisnął szczęki, oczy błysnęły nienawiścią...

- Milordzie, czy nie powinien tego rozstrzygnąć sędzia najwyższy? - powiedział ostrzegawczo lord Creighton. - Kłótnia na oczach połowy mieszkańców Nottingham jest niestosowna.

Odrobina chłodnego rozsądku; Tre westchnął głęboko, jego furia opadła.

Poza galerią zaczął się rwetes; rozległy się niezrozumiałe okrzyki, zadźwięczały zbroje, zarżały konie. Znoszono ze szranków ułożonego na tarczy Guya, jego skrwawiona dłoń wlokła się po ziemi.

- Milordzie... - Giles dyskretnie wysunął się naprzód i lekkim ruchem głowy zwrócił uwagę Tre na peryferie terenu zamkowego.

Dźwięk trąbki obwieszczał przybycie króla. Triumfalnie powiewał, targany wiatrem, szkarłatno-złoty królewski sztandar. Na czele swej świty nadjeżdżał król.

Chwila nie mogła być bardziej nieodpowiednia.

Dajesz na siebie czekać, Devaux. - Król Jan spojrział na szeryfa z irytacją. Przymrużył głęboko osadzone oczy pod prostą linią gęstych brwi. Tępo zakończone palce bębniły o oparcie fotela; paznokcie miał ogryzione aż do krwi. Kunsztownej roboty złota korona tkwiła na jego głowie na bakier.

- Przepraszam, sir. Byłem przy łożu Guya de Beaufort.

- Tak powiedział mi Gilbert. - Jednostajne, rytmiczne bębnienie palców ucichło. - Umarł?

- Nie, panie. Ciężka rana, lecz nie śmiertelna.

- Ach. - Palce znów zabębniły; marsz niecierpliwości na niewinnym dębowym drewnie. - Mamy poważne kłopoty., Devaux.

Królewska liczba mnoga miała przypomnieć baronowi o jego znikomości. Tre specjalnie udał, że zrozumiał króla inaczej.

- Sir Guy doceni królewską troskę, panie.

Bębnienie nagle ucichło.

- Nie mówimy o pozbawionym ziemi rycerzu! - wykrzyknął król.

Tre milczał. Król Jan pochylił się do przodu.

- Mówię o chaosie, jaki zastałem, przyjeżdżając tu dzisiaj. - Wadzący się baronowie. Rozgrywki pomimo zakazu Kościoła.

Właśnie powróciłem do świętej owczarni. Chcecie, bym znów popadł w niełaskę papieża?

Było to pytanie retoryczne.

- Anglosascy baronowie przybyli do Nottingham, aby oddać hołd królowi - powiedział Tre. - Normañscy także.

- Baronowie często spotykają się, aby spiskować. A teraz nie przybyli, by honorować króla, lecz by oglądać w szrankach swoich ulubionych rycerzy. - W oczach Jana pojawiły się złowrogie błyski. - Nie żądamy innych danin poza pieniądze. Tę uważamy za jedynie odpowiednią.

- Jak sobie życzycie, panie.

- Tak. Jak sobie życzymy, Devaux. W sam czas przypomniałeś o swoich obowiązkach.

- Wypełniam swoje obowiązki szeryfa, panie.

- Czyżby? Niektórzy twierdzą inaczej.- Potarł palcem policzek; w wysadzanych kamieniami pierścieniach zaskrzyło się światło odbite w grubych złotych łańcuchach na szyi monarchy. - Powiedziano nam, że schwyciłeś rozbójników, kilku zabiłeś, resztę uwięziłeś. Opłaty zostały ściągnięte, ludzie i uzbrojenie zebrane, tak jak żądałem. Jednak pozostało jeszcze wiele do zrobienia.

Tre czekał.

Król włożył kciuk do ust. Pożółkłe za starości i zaniedbania zęby przygryzły resztkę paznokcia. Monarcha był pełen sprzeczności - słynął z tego, że niezależnie od pory roku kąpie się raz na trzy tygodnie, lecz nie dba o zęby i paznokcie. Kosztowną biżuterię nosił do poplamionego stroju ze złoconych i haftowanych tkanin. Był wystarczająco inteligentny, by knuć najbardziej zawiłe intrygi, lecz ślepy na nastroje baronów, co zagrażało sytuacji w kraju.

- Devaux, gdzie jest zbójca o imieniu Mały John? - Król wypluł kawałek paznokcia. - Korzysta z gościnności Nottingham?

- Jeszcze nie, panie.

- Jeszcze nie. - Król zacisnął pięść. - A wiesz, czy ten rozbójnik żyje?

- Żyje, panie. - Pomyślał o kapitanie Oliverze i o srebrnej monecie. Sprawa byłaby wygrana, gdyby damie nie groziło niebezpieczeństwo.

- Skąd takie informacje?

- Mężczyznę takiego wzrostu trudno jest przeoczyć. Dopadliśmy go. W ferworze walki zabił kilku naszych ludzi i umknął do lasu.

- Słyszałem inną wersję tej bajki, Devaux. Niektórzy twierdzą, że wypuściłeś rozbójników.

- Czy twierdzą również, że tańczę nago na ołtarzu w kościele? Zdarzyło mi się słuchać takich opowieści, że gdyby ich autorzy chcieli się wypowiedzieć, księża mieliby co robić przez cały rok. - Beztrioskie wzruszenie ramion i słaby uśmiech miały zachęcić króla, by podzielał jego rozbawienie.

Jan się roześmiał; krótkie lekceważące warknięcie.

- Chętnie bym cię zobaczył tańczącego nago na ołtarzu, lordzie szeryfie. To by z pewnością zainteresowało nowego arcybiskupa Canterbury, którego zaprzysięgłem. Do diabła z Langtonem i jemu podobnymi...

Bezbożny król... i szczęśliwe porównanie, które go rozbawiło, zamiast obudzić w nim gniew.

Król podniósł się z rzeźbionego tronu i podszedł do okna w południowej ścianie, wychodzącego na Królewskie Łąki i rzekę Leen. Na horyzoncie rysowały się smugi purpurowego światła; robiło się późno. Niedługo zamkną na noc bramy zamku i aż do rana nie będzie się wpuszczać żadnych maruderów.

Jan chodził po komnacie, z założonymi za plecy rękami wędrował od okna do okna.

- Przyjechałem na polowanie. Chcę, żeby rozbójnicy zawiśli, zanim odjadą do Clipstone.

- Zazwyczaj wyrok musi być najpierw ogłoszony przez Radę Baronów.

Król niecierpliwie machnął ręką.

- Zostaną powieszoni, aby ostrzec obywateli, co ich czeka, jeżeli nie wydadzą Małego Johna i jego towarzyszy. - Przerwał i uśmiechnął się lekko. - Mogłeś sam o tym pomyśleć, Devaux.

- Mój umysł nie może się równać z królewskim.

- Nie, ale masz bardzo obrotny język. Nie zapomniałem o tym.

Zapadło milczenie. Oliwne lampy rzucały światło na ściany i podłogę. Królewskie apartamenty były obszerne, komnata wygodnie umeblowana. Na kamiennych ścianach wisiały kunsztowne gobeliny, poruszające się lekko na wietrze wpadającym przez wschodnie okno.

- Twoi ludzie zbliżają się do zamku - powiedział król Jan, wskazując okno ruchem głowy. W oczach błysnęła złośliwość. - Ciekawe będzie dowiedzieć się o ich najnowszych poczynaniach.

- Mam nadzieję, że przypadną wam do gustu, panie.

- Do gustu przypadło mi twoje skuteczne działanie, nie mówiąc o usłudze.

- Usługa nie przychodzi mi łatwo.

- Ani mnie, Devaux. - Król roześmiał się zgrzytliwie. - To nas łączy, owa niechęć do uginania się. Ale ja mogę sobie na nią pozwolić, podczas gdy ty pewnego dnia będziesz zmuszony ugiąć kolano.

Zaległo złowrogi milczenie, pełne chłodu, jak zimowa mgła. To tylko gest, ale Tre nie potrafił się zmusić do zaakceptowania króla jako swego pana, bo wiedział, że Jan tylko czeka na właściwą chwilę, by go uwięzić i stracić.

Złowrogą ciszę zmaćło wejście zarządcy dworu, który energicznie otworzył drzwi.

- Cóż tam, Gilbercie? - zapytał król.

- Ludzie szeryfa powrócili z Sherwood, sir - odparł zarządca i uśmiechnął się sztucznie. - Zatrzymali rozbójników. Czekają w holu na szeryfa.

Jan się obejrzał, uniósł brew i przez dłuższą chwilę spoglądał na Tre.

- Przeszedłeś moje najśmielsze oczekiwania, Devaux.

I moje własne...

- Proszę pozwolić mi odejść, panie... - Znaczące milczenie, uprzejme oczekiwanie.

Król odesłał go niecierpliwym ruchem dłoni.

- Idź. Jeżeli jest wśród nich Mały John, powiesimy go jutro rano, zanim wyjadę na polowanie do Clipstone.

- Uczynimy to jak najszybciej, mój seniorze. - Tre wycofał się z królewskich apartamentów. Jego kroki stuknęły na kamiennej podłodze, a ściany odbijały je echem.

Nie otrzymał żadnej wiadomości *od ludzi* patrolujących las. Ani słowa o zbójnikach, ani o wojownikach, którzy dybali na nich w okolicach Sherwood. Tylko srebrną monetę od Olivera. Szybko wyszedł na środkowy dziedziniec, gdzie rozpoznał szkarłatno-żółty strój żołnierzy Gervaise'a Gaudeta.

Jedynymi ludźmi w czerni i złocie byli strażnicy, których tu ustawił. Ani śladu Olivera i jego żołnierzy.

- Lordzie szeryfie - odezwał się cichy głos. Tre obejrzał się i zobaczył Gilesa. - Schwytali nie tylko rozbójników.

Tre chwycił za rękojeść miecza.

- Gdzie są ci rozbójnicy?

- Sir Gervaise oczekuje króla w holu.

Wyczytał z twarzy Gilesa więcej, niż chciał, i aż zadrżał pod wpływem złego przeczucia.

Usłyszał stukot kopyt i szczęk broni oraz podniesione głosy. Ryk wściekłości został szybko zduszony. Zaraz potem rozległ się następny wrzask. Tre ruszył w kierunku źródła hałasów. Giles deptał mu po piętach.

Przepchnęli się przez tłum ludzi Gaudeta w szkarłatno-żółtych liberiach. Ujrzał wóz. Żołnierze w kolczugach ciągnęli kilku mężczyzn zakutych w łańcuchy, ale żaden z nich nie był szczególnie wysoki. Zszargani, ubłoceni i skuci łańcuchami

zbojnicy byli raczej żałośni niż groźni. Pełne wrogości oczy spojrzały na szeryfa z nieznajomych twarzy, zanim więźniowie zostali szturchańcami skierowani w kierunku południowego krańca środkowego dziedzińca. Znajdowały się tam pieczary, używane jako cele dla więźniów. Nad nimi usytuowany był górny dziedziniec i królewskie apartamenty.

Tre spojrzął na Gilesa, który powtórzył:

- Sir Gervaise oczekują na króla w holu, milordzie. Zachował dla króla specjalnego rozbójnika.

Ostrożny Giles był prawie równie cenny jak Guy. Lojalność i kompetencja to wielka rzadkość. Jeżeli Giles podejrzewał niebezpieczeństwo, Tre ufał jego instynktowi. Nie potrzebował słów, by wiedzieć, kogo uwięził Gaudet.

Przemoczona, posiniaczona, *drżąca* z zimna i wściekłości Jane przysiadła na skraju ławy przy kominku, lecz ciepło ognia nie docierało do niej. Prędzej by się jednak udławiła, niżli poskarżyła na niewygodę.

Gaudet przyglądał jej się z lekkim uśmiechem na ustach. Nonszalanckim gestem dłoni nakazał służącemu, by dołąć mu wina.

- Ofiarowałbym pani napitek, milady, ale powiedziała pani, że niczego ode mnie nie chce. - Upił łyk wina, uniósł brew i milczał z pucharem przy ustach. - Tak pani powiedziała, prawda, lady Neville?

Milczała pogardliwie, wpatrując się w ścianę ponad podwyższeniem. Widniały na niej tarcze, czarne i złote, lśniące w świetle pochodni. Ponad fotelem Tre Devaux wisiała tarcza ozdobiona wizerunkiem kruka z rozpostartymi skrzydłami, uniesionymi szponami, otwartym dziobem. Toczyły się tu sprawy sądowe, pobierano też grzywny i wymierzano kary. Takie były obowiązki szeryfa. Czy Tre uwierzy Gaudetowi? Miał sporo powodów, by uznać ją za winną...

- Szkoda - wymamrotał sir Gervaise, uśmiechając się na widok jej niechętej miny. - To musi być dziedziczne. Inklina-cje do bezprawia... pani wuj z tego słynał, prawda? Tak,

oczywiście. Król go nienawidził, nadal go nienawidzi, bez wątpienia, choć Robin już dawno nie żyje. Może to dobrze, że nie powiła pani zbirów, którzy zagrażaliby Anglii.

Jane poczuła, że krew odpływa z jej twarzy; zacisnęła dłonie na podołku, ale głowę trzymała wysoko. Nie okaże mu, że jego jad dotknął ją do żywego.

- Nic pani nie ma na swoją obronę, milady? - Gaudet patrzył na nią sponad pucharu. - Milczenie przemawia przeciwko pani.

Odwróciła głowę z taką pogardą, że nie mogła ujść jego uwagi; zacisnął dłoń na pucharze, aż pobieleły mu knykcie. Uśmiech spełzył z jego twarzy, zaciśnięte usta zmieniły się w wąską kreskę. Pochylił się do przodu i wyszczał:

- Kochanka szeryfa! Zobaczymy, czy będziesz taka wyniosła, gdy król usłyszy o twoich zbrodniach? Spiskowanie z rozbójnikami zasługuje na surową karę. Jednak nie tak surową, jaka grozi za posiadanie królewskiego kufra.

Bezpodstawne oskarżenie... dobrze wie, że to kłamstwo. Jednak w pewnym stopniu jestem winna. Co robi Tre? Zna prawdę, której nie zna Gaudet - uwierzy mi, czy też pomyśli, że przybyłam tu, aby odwrócić jego uwagę od rozbójników?

- Powinna pani okazać więcej rozsądku, lady Neville. Kradzież królewskiego złota jest gorsza od zdrady. Król może wybaczyć związki z rozbójnikami, ale nie wybaczy kradzieży swoich pieniędzy.

Poczuła pulsowanie w skroniach i pod powiekami. Pomyślała o chorej Denie i Enid, samych na Wielkim Trakcie Królewskim, o ich przerażeniu i bezradności. Przynajmniej Fiskin był bezpieczny, chociaż na pewno zdumiony ich zniknięciem.

Haniebne oszustwo, uknute przez diabła. Zmowa ze zbrojcami, których nie znała, oskarżenie o zbrodnie, których nie popełniła: dobrze zaplanowane szalbierstwo, które może ją zaprowadzić na subienicę.

Bolała ją szyja, lecz dumnie zadzierała głowę i prostowała plecy, nie pozwalając, by ogarnęła ją panika. Hol przypominał

jej kaplicę, obszerne nawy i grube kolumny - pragnęła się pomodlić, ale oddała różaniec Fiskinowi. Przesuwanie paciorków i liczenie modlitw o zbawienie duszy na pewno by jej pomogło.

Gdzieś za nią trzasnęły drzwi, zadźwięczała broń i Gaudet wyprostował się w fotelu, spoglądając w przeciwległy koniec hallu. Król?

Ciężkie buty stukały na kamieniach.

- Uzurpujesz sobie moje prawa i posuwasz się za daleko, Gaudet.

Tre...

Miała ochotę się obejrzeć, lecz nie śmiała. Co zobaczy w jego oczach? Gniew? Niedowierzenie?

- Czyżby, lordzie szeryfie? - zapytał kpiąco Gaudet, lecz grymas ust i pełen napięcia ton zdradzały niepokój. - Król będzie innego zdania.

- Król się o tym nie dowie. Wypuść ją. To wdowa po normańskim baronie, córka rycerza, ważna osobistość.

Jane siedziała nieruchomo. Znała ten ton: niebezpieczny, ostrzegawczy, dobitny.

- Ma konszachty ze zbójcami i innymi kanaliami, lordzie szeryfie. Ale pan już z pewnością o tym wie.

Zapanowała cisza. Jane ośmieliła się musnąć spojrzeniem szeryfa. Zaciskał dłoń na rękojeści miecza; twarz miał obojętną, niezdradzającą żadnych emocji.

- Dziwne oskarżenie, Gaudet. Jak doszedłeś do takich wniosków?

- Nietrudno było odgadnąć prawdę, gdy moi ludzie znaleźli ją w lesie z rozbójnikami. Dzielili się królewskim złotem, które skradli, gdy oglądaliśmy turniej. Dobrze to zaplanowałeś, milordzie. Przynęta na rabusiów, wysłanie straży. - Zamilkł, po czym dodał: - Rzadka okazja dla siostrzenicy Robin Hooda.

Poczuła spojrzenie szeryfa, wspomniał pewnie zdarzenie przy Dębie Kogucie Pióro. Nie dziwota, że ma wątpliwości.

- Nie jestem winna zarzucanych mi czynów, lordzie szeryfie - rzekła, przerywając milczenie.

Zielone oczy zabłysły i szybko skryły się pod gęstymi rzęsami.

- Winna czy niewinna, o tym orzecze sąd, lady Neville.

Lodowaty strach ścisnął jej serce i płuca, tak że każdy oddech stawał się torturą. Jeżeli mi nie uwierzy, będę stracona, stracona...

Poczuła na ramieniu dłoń, palce wpiły się w suknię i w ciało, mocno, lecz życzliwie.

Odcrozenie wyroku. Odetchnęła, lecz nie miała odwagi się łudzić.

Usłyszała, jak Tre mówi do Gaudeta:

- Lady podlega mojej jurysdykcji. Dopilnuję, by wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

Iskierka nadziei, która zgasła, gdy Gaudet zerwał się z miejsca.

- Nie, lordzie szeryfie, nie podlega. Zająłem się nią na polecenie króla. Król Jan interesuje się jej posiadłościami.

Tre zacisnął dłoń mocniej, zmuszając Jane, by wstała, zanim opuścił rękę i odstał na bok.

- Będzie czekała w strzeżonej celi. Odprowadzę ją osobiście.

- Ma mnie pan za głupca? - Gaudet roześmiał się rozgniewany i zdumiony. - Odprowadzi ją pan do Sherwood, zamiast umieścić dziwkę w celi...

- Trzymaj język za zębami, Gaudet, bo znajdziesz się na podłodze, pośród psów.

Pogróżka, w której pobrzmiwała furia.

Zadźwięczała obnażana stal. Jane cofnęła się, w ustach czuła suchość, serce waliło jej młotem.

- Stać! - rozległ się władczy ton i Jan wszedł do holu poprzedzony przez zarządcę. Zimne oczy spoczęły na dwóch awanturnikach, po czym spojrzały na Jane. - Jak śmiecie obnażać miecze w królewskim holu!

Devaux opuścił miecz i pochylił głowę.

- Chwilowa nieuwaga, sir.

Chłodna maska, dworny uśmiech. Jane podziwiała Tre. Od furii do całkowitego opanowania, a wszystko w mgnieniu oka - jak on to robi?

- Nieuwaga, Devaux? Obnażony miecz w moim holu trudno nazwać chwilową nieuwagą. - Jan spojrzał na Gaudeta, który wolniej wracał do siebie, więc jego oczy wciąż jeszcze lśniły gniewem. - Gdzież jest ten niebezpieczny rabuś, którego tu sprowadziłeś, sir Gervaise? Gilbert powiedział mi, że udało ci się to, czego nie zdołał dokonać Devaux, i schwytałeś człowieka z bandy Robin Hooda.

- Nie człowieka z jego bandy, panie. - Gaudet schował miecz do pochwy. - Mam siostrzenicę Robin Hooda, schwytaną na gorącym uczynku.

Król spojrzał na Jane; w jego oczach błysnęło rozbawienie i złośliwość.

- Ta dama? Wydaje się nam znajoma. Skąd możemy ją znać?

- Jestem lady Neville z Ravenshed, panie - odparła Jane, zaskoczona spokojnym brzmieniem swego głosu.

- Wdowa po Hugh Neville'u? - Na twarzy króla pojawił się wyraz zaskoczenia. - Ach, pani posiadłości leżą w granicach królewskiego lasu. Bardzo blisko Clipstone, o ile pamiętam. Te ziemie są teraz pod nadzorem Kościoła, czyż tak?

- Należą do mnie dożywotnio, panie.

- Nie ma innego wyjścia. Wdowa bez spadkobierców. - Król się uśmiechnął. - Niesprzyjające okoliczności.

- Tak, panie. Właśnie, tak.

- Nie tak jednak niesprzyjające, jak oskarżenia, które przedłożył sir Gervaise. - Niedbały ruch ręki i radca dworu podał mu puchar z winem. Na palcach i podstawie kielicha błysnęły drogie kamienie.

Jane czekała, naśladowując obojętność Tre, z założonymi rękami i z pozbawioną wyrazu twarzą. Wiele ją to kosztowało; ściśnięte mięśnie brzucha miała obolałe, z trudem wdychała powietrze.

- Taka piękna szyjka i konopny stryczek - powiedział Jan, odejmując puchar od ust.

- Całkowicie zbędny, panie - rzekł Tre. - Bardziej niebezpieczny jest błąd niż prawda. Wątpię, czy dama ma dość siły, by przenieść ciężką skrzynię z komnaty na wóz.

Król pogładził palcem górną wargę i skinął głową.

- Bez wątpienia. Znalazłeś jej współników, sir Gervaise? Ludzi Robin Hooda?

- Tak, panie. Siedmiu krzepkich mężczyzn, wszystko zbójnicy. Czterech uśmiercono. Trzech przeżyło, by zawisnąć.

- A Mały John?

- Ściągają go moi ludzie.

- Doskonale. Być może nie doceniliśmy twoich umiejętności. Wygląda na to, że dobrze się sprawiłeś, Gaudet.

Król uśmiechnął się pogardliwie.

- Najmocniej przepraszam, że przeszkodziłem, lordzie szeryfie - odezwał się Giles, spuszczać wzrok - lecz nie ma miejsca dla rozbójników, których zaarrestował sir Gervaise. Cele są zajęte przez rozbójników, których pan osadził do czasu rozprawy.

Interwencja w samą porę, subtelny sposób, by przypomnieć królowi o zasługach Devaux. Jane spojrzała na Gilesa ciepłym wzrokiem.

Gaudet Spochmurniał. Król zwrócił się w stronę podium.

- Jest już późno. Jesteśmy zmęczeni. Zakończymy sprawę jutro, przed odjazdem na polowanie w Clipstone. Gilbert, odprowadź damę do celi. - Zamilkł i utkwiał wzrok w Tre. - Oczekuję, że jeszcze dzisiaj zostanie wypowiedana i rozgrzeszona.

- Nie można jej oskarżyć bez sądu, panie.

Jan spojrzał na szeryfa ze zdziwieniem i wściekłością.

- Ośmielasz się nas pouczać?

- Nie, panie. Z najwyższym szacunkiem stwierdzam to, co oczywiste. Przedstawiono fałszywe świadectwa. Gaudet chce wprowadzić w błąd waszą królewską mość.

- Podejmiemy decyzję.
- Mam nadzieję, że gdy przybędzie opat Thomas, posłuży swym duchowym przewodnictwem i doświadczeniem w podejmowaniu owej decyzji.

Jane poczuła pulsowanie krwi w uszach; katastrofa, próżny wysiłek, by odwieść króla od jego zamiarów, co może tylko zwiększyć jego wrogość w stosunku do Tre. Pragnęła go dotknąć, by zaczerpnąć sił.

Nawiązanie do tego, że Kościół wdarł się do angielskiej praworządności, nie uszło uwagi króla. Zaciśnął szczęki.

- Być może zostanie od tego namówiony, lecz nie przybędzie tu przed obchodami Świętego Jana. Zdecydowaliśmy, że wyjedziemy stąd wcześniej.

- Jestem przekonany, że opat będzie niepokieszony, gdy się dowie, że jego rady co do losu wdowy i jej posiadłości są niepożądane.

Było do przewidzenia, że uwaga ta zirytuje króla. Ale należało sprawę wyjaśnić. Kościół także interesował się ziemią lady Neville.

- Naprzykrzasz się nam, Devaux - powiedział król i w tonie jego głosu zabrzmiała groźba.

- Przepraszam, sir. Ja tylko chcę zmniejszyć ciężar spoczywający na królewskich barkach i uchronić waszą królewską mość od niezadowolenia opata.

Gładkie wytłumaczenie. Król wysłuchał go, mrużąc oczy. Nagle zmienił front.

- Twoje oddanie i szlachetność budzą nasz podziw - powiedział z fałszywym uśmiechem. Słowa te przeznaczone były dla uszu słuchających baronów. - Lecz jesteśmy w stanie samodzielnie wypełniać królewskie obowiązki. Jeśli zaś opat przybędzie na czas, skorzystamy z jego rad.

Tre skłonił głowę.

- Stanie się wedle królewskiej woli, panie.

- Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości - odparł

Jan i uśmiechnął się wymuszenie. Ziewnął i przysłonił usta upięrczonym dłońmi. - Chcemy odjechać, gdy rozlegną się dzwony na prymę. Zwołaj sąd, aby był gotowy po psalmach. Wysłuchanie świadectw przeciwko rabusiom schwytanym na gorącym uczynku nie powinno zabrać wiele czasu. Zdążą zawisnąć, kiedy będziemy spożywać śniadanie.

Słowa te, gruboskórne nawet jak na króla Jana, wzburzyły baronów.

Wyczulony na ich reakcję, dodał sarkastycznym tonem:

- Aby uszanować twoją wrażliwość, Devaux, dama nie zawiśnie, nawet gdy uznana zostanie za winną. To by źle świadczyło o sądzie, gdyby wdowę po normańskim baronie spotkał taki sam los jak łotrów i zbójników. W naszym królewskim miłosierdziu zezwolimy damie, by odbyła pokutę w królewskim lochu, podobnie jak zezwoliliśmy na to Maud de Braose.

Jane walczyła ze słabością. Cały król Jan: złośliwy, okrutny, ofiarowujący ruinę pod pozorem łagodności. Zostanie zagłodzona na śmierć, tak jak się stało z hrabiną de Braose.

- Lady Neville - odezwał się król, przerywając pełną napięcia ciszę. - Stwierdzono, że zadawałaś się z rozbójnikami. Takie przewinienie karane jest śmiercią. Czy możesz udowodnić swoją niewinność?

Rozpacz dodała jej sił.

- Mam zostać uznana za winną bez procesu, panie? Jestem córką rycerza, wdową po normańskim baronie. Prawo daje mi szansę wystąpienia o uniewinnienie.

Powołanie się na przysługujące jej prawo powinno poruszyć króla. Ciemne oczy zabłyśły. Jane poczuła, że stojący obok niej Tre, poruszył się niespokojnie.

- Jutro odbędzie się dochodzenie, lady Neville - powiedział król szorstko. - Może pani wystąpić o uniewinnienie do naszego sądu. Kiedy stanie się temu zadość, sąd ogłosi wyrok.

Wśród anglosaskich baronów rozległ się pomruk gniewu. Przez tłum przepchał się Gilbert z Oxtton. Był bardzo wzburzony.

- Protestuję, panie. Czy wasza królewska moc chce obrazić jej tytuł i osobę, odmawiając jej przysługujących praw?

Jan był nieposkromiony. Przeszywając rudowłosego Oxtona wściekłym wzrokiem, warknął jak rozeźlony wilk:

- Jesteśmy wystarczająco długo obrażani przez rozbójników. Skoro siostrzenica Robin Hooda dopuściła się niegodnych czynów, niechaj poniesie tego konsekwencje. A ty, co? Chcesz zająć jej miejsce... a może do niej dołączyć?

Oxton pobladł, lecz nie ustąpił.

- Nie, panie. Ale nie chcę widzieć, że jest niesprawiedliwie skazana.

- O tym zadecyduje sąd. Będzie dochodzenie. Pozwala na to nawet prawo anglosaskie.

Przesłuchanie. Inkwizycja. Samo słowo wystarczało, by obudzić w niej zimny strach. Przypalanie, metalowe szpikulce, przytapianie w wodzie, wszystko po to, by udowodnić jej niewinność... o ile przeżyje.

Poprzez dzikie bicie serca usłyszała głos Tre Devaux, ogłaszającego werdykt. Obejrzała się powoli, by na niego spojrzeć. Lecz nie dostrzegła jego odwróconej twarzy. Pełna niedowierzania i przerażenia, słuchała, jak Tre ośmiela się doradzać królowi.

- Niechaj opat Thomas przewodniczy przesłuchaniu - powiedział spokojnie. - Wtedy nikt nie oskarży króla o skrzywdzenie lady Neville.

- Sprytnie, Devaux. Kusi nas, by poczekać na przybycie opata. - Zamilkł i uśmiechnął się drapieżnie. - Lecz jeśli pozwolimy, by sir Gervaise poprowadził przesłuchanie, nikt nie oskarży króla, a opatowi oszczędzimy zajmowania się przyziemnymi sprawami.

Krótki rozkaz przywołał strażę. Jane została otoczona przez wojowników, których twarze zakrywały przyłbice. Uniosła wysoko głowę i pełna godności odeszła z nimi.

Gilbert z Oxtton nie przestawał protestować; twarz mu

pobladła, rude włosy nastroszyły się jak grzebień koguta. Wszystko na próżno.

Milczący, nieruchomy jak głaz Devaux nie powiedział ani słowa, by ją ratować. Opuścił ją? Tuż przed odejściem zebrała resztki odwagi i spojrzała mu w oczy - i nie pożałowała, że tak uczyniła.

W narożnikach i korytarzach czaiły się cienie podobne do leniwych zwierząt. Na murach zamku sterczały pojedyncze postacie strażników, pojawiające się jak duchy w świetle pochodni. Bramy zostały zamknięte; aż do świtu nikt nie wejdzie na teren zamku. Panowała głucha cisza; wszyscy spali.

Rozległ się odgłos kroków, stukających o kamienie. Tre się zatrzymał, zmarszczył czoło, cicho zaklął rozpoznawszy widmo, wyłaniające się z mroku. Poczekał, aż zjawa podejdzie bliżej i spytał rozniewany:

- Co cię skłoniło, by się zwlec z łoża boleści?

W odpowiedzi rozbrzmiał cichy śmiech. W smudze księżycowej poświaty pojawiła się twarz Guya. Połyskujące jasne włosy odcinały się na tle pogrążonych w mroku murów.

- Wiedziałem, że cię tu znajdę. Idziesz ją uwolnić.

Nie czekał na potwierdzenie swoich słów. Czas uciekał.

- Wracaj do łóżka, Guy. Będiesz mi zawadą.

- Ty szelmo. Potrzebujesz mnie.

- Potrzebuję całego mężczyzny, nie jego połówki.

- Jest mnie wystarczająco wiele, bym mógł ci pomóc.

Jestem ranny, nie zabity.

- To się może szybko zmienić, jeśli nas znajdą. Nie możesz władać mieczem ani bronić się przed strażnikami.

- Mogę ich zatrzymać swoim bezsilnym ciałem!

Tre roześmiał się w ciemności.

- Tak, albo przerażą się, że widzą lunatyka.

- Król ma rację. Jesteś bardzo wygadany. - Guy błysnął zębami w uśmiechu. - Mam w tym własny interes.

W świetle księżyca zajaśniał płócienny bandaż, którym obwinięte było zranione ramię Guya.

Unosząc rękę, dodał ponuro:

- Cud boski, że mam wszystkie palce, chociaż jeden mogę jeszcze utracić. Tak, mam swój interes w tym, by pokrzyżować plany Gervaise'a Gaudeta i jego kuzyna z piekła rodem.

Tre skinął głową i zerknął na boczną bramę, wiodącą na górny dziedziniec.

- Skoro jesteś taki uparty, mogę cię wykorzystać. Zajmij jakoś strażnika.

- Jeżeli to jeden z ludzi Gaudeta, najchętniej bym go zasztyletował.

- A jeśli to królewski strażnik, zawieśmy jutro razem z rozbójnikami.

W nocnej ciszy rozległ się szcęk kluczy i zgrzyt zamka, a potem skrzypienie nienaoliwionych zawiasów. Brama stanęła otworem. Głębokie, wilgotne naturalne pieczary stanowiły doskonałe miejsce na przetrzymywanie więźniów oraz przechowywanie zapasów. Strome schody prowadziły do niedawno wybudowanej krypty z podwójnym łukowym sklepieniem. Po przeciwnej stronie, pod trzema dymiącymi pochodniami, stali trzej strażnicy, mający doskonały widok na schody.

Tre przykłęknął w ciemności u szczytu schodów i nasłuchiwał, jak strażnicy rozprawiają o dziewczuchach i o grze w kości. Wymienili z Guyem rozbawione spojrzenia; żołnierze zawsze rozmawiali o tym samym. Rozległ się stukot rzuconych kości. Tre rozważał sytuację; nasuwał się tylko jeden wniosek: Tej sprawy nie uda mu się załatwić dyskretnie.

Strażnicy nie byli jego wojownikami, którzy nigdy nie

kwestionowali jego rozkazów, lecz podwładnymi króla. Guy poruszył się u jego boku. Tre wiedział, że przyjaciel myśli to samo.

Uwalniając Jane, ryzykuje życie. Król nie był głupcem. Przecistawiając się Janowi, skaże się na powolną bolesną śmierć. Ale pozostawiając Jane w lochu, doprowadzi do tego samego. Kiedy zabito Aimee, umierał za życia, dopóki nie spotkał Jane z Ravenshed. Piękna dama... uratowała go leczącym dotykiem. A potem miłością.

Teraz on wyratuje ją.

Guy położył mu dłoń na ramieniu i pokręcił głową. Tre napotkał przerażony wzrok swego zaprzysiężonego rycerza i uśmiechnął się lekko. Nie miał *innego* wyboru.

- Jesteś moim wasalem, Guyu de Beaufort? - zapytał cicho.

W piwnych oczach Guy a pojawił się błysk zrozumienia, krótko skinął głową.

- Tak, wiesz, że nim jestem - odparł ochrypłym szeptem.

- Zawsze okazywałeś mi posłuszeństwo. Zrób teraz to samo. Wracaj na swoje legowisko i nie wstawaj, dopóki nie skończę. Udawaj, że o niczym nie wiesz. Nie chcę, żebyś miał kłopoty z mojego powodu. A teraz przysięgnij, że po mojej śmierci zajmiesz się lady Jane.

- Mój Boże... Tre...

- Przysięgnij, bo jeśli nie, przeklnę cię ostatnim tchnieniem.

- Musi być jakiś inny sposób...

- Przysięgnij natychmiast. Czas ucieka, a ja nie chcę, żeby przeżywała katusze. Przysięgnij!

Guy zamknął oczy i dygocąc na całym ciele, powiedział cicho:

- Przysięgam ci, że zaopiekuję się twoją damą.

- Dobrze, - Tre spojrzął na strażników, wciąż grających w kości przy świetle pochodni. - Zbyt późno się zorientowałem, że jestem głupcem, Guy. Idź już, żebym nie miał na sumieniu jeszcze jednej śmierci.

Wstał i wyciągnął miecz z pochwy. Rozległ się metaliczny odgłos; jeden ze strażników spojrział w kierunku mrocznych schodów. Tracił swego towarzysza, a Tre zaczął schodzić po stopniach.

U wagę Jane zwrócił słaby odgłos. Klęcząc, uniosła głowę i spojrzała na okratowany otwór w drzwiach, przez który wpadały nikiłe smugi światła. Chrobot w dźdźbłach słomy budził w niej odrazę. Szczury i zatęchły odór brudu...

Znów ten dźwięk, tym razem bliżej, ale na zewnątrz celi - podzwanianie kluczy. Zesztywniała. Czy to już czas? Nie odmówiła jeszcze wszystkich modlitw, nie odbyła pokuty... nie okazała skruchy za grzech nieczystej miłości. Straciła wszelką nadzieję. Była przeklęta przez Boga i przez Kościół, a nie odczuwała wyrzutów sumienia. Nawet na myśl o tym, co ją czeka o poranku, nie żałowała chwil spędzonych z Tre Devaux.

To było coś całkiem nowego, nieznanne emocje, zapierające dech w piersiach i przerażające duszę. Odrodziła się w niej nowa nadzieja... zły urok minął.

Spojrzała w twarz Tre, wyrażającą uczucia, i nabrała pewności, że on ją kocha. Słowa mogły kłamać, ale ona zajrzała w jego oczy, w zwierciadło duszy. Jego ostatnie płonące spojrzenie wyjawiało więcej niż cztery miesiące znajomości.

Kiedy ich oczy się spotkały, poczuła, że ten mężczyzna obawia się zaufać miłości, lecz poddaje się uczuciu. Dla niej była to chwila wybawienia.

Zazgrzytał klucz w zamku, zwracając jej uwagę na drzwi i na to, co ją czeka. Zamknęła oczy i znowu zaczęła się modlić.

- Jane.

Na dźwięk znajomego głosu, gwałtownie uniosła powieki. Zerwała się na nogi. Strach i radość mieszały się z niepewnością.

- Tre... wszystko w porządku? Król cię nie aresztował?

- Król - odparł z sardonycznym uśmiechem - jest dziś

w nocy zajęty wesołą ladacznicą. Z całą pewnością łapie od niej syfilis, na co w pełni zasługuje. Pośpiesz się. Nie mamy czasu.

- Zostanę uwolniona?

- Tak. Lecz nie z rozkazu króla. Jane... - słowa zamarły mu na ustach. - Pośpiesz się, zanim zatrzymają nas obydwójce.

Strażnicy nie zwracali sobie głowy łańcuchami, natomiast zabrali jej buty. Bose stopy piekły ją od chodzenia po kłującej słomie i zimnej kamiennej posadzce. Nie zwracając uwagi na ból, podbiegła do stojącego w drzwiach Tre. Stał oświetlony od tyłu, tak że nie widziała jego twarzy.

- Muszę odnaleźć Denę i Enid - powiedziała, znalazłszy się w ciemnym i zimnym korytarzu. Drżąc, spojrzała na Tre i zamarła przejęta grozą.

Świeży siniec i sącząca się krew pokrywały jedną stronę jego twarzy. Spozrzegł jej reakcję, skrzywił się i położył dłoń na ramieniu Jane.

- Jest tylko jedno przejście. Odwróć wzrok, gdy będziemy mijać strażników.

Metaliczny zapach krwi wypełnił jej nozdrza; milcząco skinęła głową. To dla niej nic nowego, lecz śmierć zawsze jest odrażająca. Nie jest taka, jaką wychwalają pieśni, śpiewane przez mężczyzn.

Migotliwe płomienie pochodni ukazywały dziwne bezładne formy i odbijały się w rozlanych na kamieniu ciemnych kałużach. Jane przeniknął dreszcz, poczuła na plecach ciarki. A potem wspięli się po stromych schodach i znaleźli się na zewnątrz. Zachłysnęła się świeżym powietrzem, które nie pachniało śmiercią, podwinęła bose palce stóp i spojrzała na Tre. Był słabo widoczną sylwetką na tle mrocznego nieba i ciepłym dłoni na jej ramieniu. Z wrażenia szczykały jej zęby.

- M... musimy uratować D... Denę i Enid.

Mocniej zacisnął palce i pociągnął ją na strome zbocze prowadzące do górnego dziedzińca. Ponad nimi wznosiły się wysokie mury, słabe światła pochodni znaczyły drogę.

- Uwolniłem je, zanim zamknięto bramy. Wróć do Ravenshed. Jane, ty nie możesz tam wrócić. Król będzie cię tam szukać, gdy tylko się dowie o twoim zniknięciu. Giles bezpiecznie odprowadzi cię do klasztoru.

- Nie idziesz ze mną?

- Nie, nie mogę. Musisz to zrozumieć.

- Jakże mam to zrozumieć? - zaprotestowała zrozpaczona. - Jeśli tu zostaniesz, król cię zabije.

Zatrzymał się i spojrzał jej w oczy.

- Jestem baronem. Mój pradziad posiadał ziemie, które teraz zagrabił Jan. Te ziemie należą do mnie.

- Tak. Ale je utraciłeś.

Spokojne przypomnienie bolesnej prawdy. Światło księżyca igrało na ściągniętych rysach Tre. Odetchnął gwałtownie.

- Król może zabrać moje ziemie - powiedział z goryczą. - Ale ja nie oddam mu ich po dobroci. Nie ośmieli się mnie zabić. Baronowie by się zbuntowali. Nie z miłości do mnie, lecz ze strachu przed niebezpiecznym precedensem. Jan o tym wie.

Rozpacz podyktowała jej słowa pełne okrucieństwa, o jakie sama siebie nie podejrzewała.

- Głupcze, myślisz, że Jan o to dba? Będzie ci szarpać ciało po kawałku, myśląc tylko o dochodach, które przyniosą mu twoje posiadłości. Przecistawiając się, tylko ułatwisz mu sprawę. Zasłużysz na los, który cię spotka!

Nic nie odpowiedział, tylko pociągnął ją wyżej po stromej pochyłości. Bosa stopy poślizgnęły się na mokrej trawie i na błocie. Jane upadła na kolano. Z jej ust wyrwało się łkanie. Tre zatrzymał się, pochylił i uniósł ją w ramionach, po czym ruszył w górę zbocza. Niósł ją bez wysiłku, jakby nie czując ciężaru.

Słyszała jego równy oddech, ciepły i pachnący winem. Oparła dłoń na wełnianej tunice i poczuła mięśnie.

- Błagam cię, mój słodki lordzie, nie oddawaj się w ręce Jana.

Jedyną odpowiedzią była ponura wytrwałość. Wielkimi susami wspinał się na górny dziedziniec. Poruszając się ze zwinnością dzikiego kota, wkroczył w gęsty mrok i ruszył wzdłuż muru.

Miała ochotę łkać, błagać, złorzeczyć, byle tylko odwieść go od szaleństwa. Lecz wiedziała, że byłyby to próżne wysiłki. Przesunęła dłoń i łagodnie pogładziła go po policzku. Przytknęła wargi do jego szyi. Poczwała ciepłą wilgoć: krew zabitych strażników.

Zamknęła oczy, wstrząsała nią dreszcz.

- Dopiero cię odnalazłam. Nie porzucaj mnie.

- O, Boże. Jane. - Przystanął, przygarnął ją mocniej i przycisnął usta do czubka jej głowy. Włosy miała w nieładzie, *splątane* warkocze opadały na plecy. - Nie porzucam cię. *Po* prostu nie ma innego wyjścia. Jeżeli ucieknę, inni zapłacą za moje czyny. Guy został ranny. Nie zniesie uciążliwej podróży. Ranny jest także kapitan królewskiej gwardii. Ludzie Gaudeta zaatakowali go na drodze do Ravenshed. Oliver jest lojalny. Wiele ryzykował, wracając tu, aby mnie ostrzec. Nie pozostawię tak lojalnych ludzi na pożarcie wilkom, a już szczególnie wilkowi andegaweńskiemu.

Ogarnęła ją rozpacz. Jak mogła uważać, że jest nieszczerzy. Był najuczciwszy z wszystkich mężczyzn, jakich poznała. A teraz mogła go utracić; przed nią rysowały się niekończące puste dni, po jego śmierci pozbawione wszelkiej radości i nadziei. Wraz z jego odejściem straci szansę na szczęśliwe życie. W życiu nie miała wielu szans.

- Skoro masz umrzeć, pozwól, że umrę razem z tobą - wyszeptwała.

Przycisnął ją mocniej i, nie do wiary, roześmiał się.

- Taka namiętna... słodka pani, ja nie mam zamiaru umierać. I nie mam zamiaru pozwolić, byś uczyniła coś równie głupiego.

Postawił ją na ziemi i trzymając dłoń na jej ramieniu, spojrzął na okragłą wieżę przed nimi. Cienie spowijały wewnętrzne schody i wejście na położone wyżej mury.

- Możesz biec w razie konieczności?
- Tak. - Skinęła głową.
- Gdy znajdziemy się na schodach, musimy iść bardzo cicho. Za chwilę przejdzie strażnik, wtedy ruszymy.

- Dokąd? - Spoglądała niepewnie na wieżę i na dziedziniec. Po bokach wieży znajdowały się królewskie apartamenty i kaplica, której Jan nigdy nie używał, strażnica i spichlerz. Nie widziała drogi ucieczki.

Tre ujął jej rękę w swoje dłonie. Uśmiechnął się z przymusem.

- Ufasz mi, Jane?

- Tak, Tre Devaux. Całym sercem - odparła bez wahania.

Westchnął i przycisnął usta do jej dłoni, a potem do nadgarstka. Czuł pod wargami szybkie i dzikie pulsowanie jej krwi.

Spojrzał w jej oczy.

- Więc usłuchaj mnie, nie zadając żadnych pytań. Od tego może zależeć życie nas obydwójga.

- Rozumiem - wyszeptała.

Pogładził kciukiem jej dłoń.

- Wiedziałem, że zrozumiesz.

Ponad nimi zabrzmiały kroki; towarzyszył im brzęk kolczugi i miecza. Tre skrył się w mroku i pociągnął ją za sobą. Poczekali, aż kroki ścichną, a strażnicy wymieniają hasło, potwierdzając, że wszystko jest w porządku.

Uścisnął dłoń Jane, sygnalizując jej, że jest gotowy. Ruszyli do wieży, w której panowały ciemności. Wypuścił dłoń Jane i odsunął się od niej. O jego obecności świadczyły tylko ciche odgłosy. Drżąca, nasłuchiwała nikłego zgrzytu metalu, a potem chrzęstu kamieni. Owionęło ją wilgotne, pachnące rzeką powietrze.

Z ciemności wyłoniła się ręka Tre. Poprowadził Jane kilka kroków, szepcząc do ucha ostrzeżenia, by stąpała cicho. Miała wrażenie, że spada; dwa ostrożne kroki i natrafiła na solidne oparcie. Pod bosymi stopami poczuła żwir. Piaskowce... pieczara?

Nie znała pieczar Nottingham, a były wszędzie. Pod piwiarniami, tawernami, ulicami i pod sklepami. Używano ich na magazyny, a nawet mieszkania. Większość z nich była obszerna, ale nie łączyły się z sobą. Jane poślizgnęła się i oparła na Tre. Przytrzymał ją; niezachwiany i dający poczucie bezpieczeństwa.

Dalej otwierała się próżnia. Jane macała dłonią chłodną piaskowcową ścianę. Dyszała ciężko.

Stromy spadek i całkowita ciemność, wilgotne powiewy, oczekiwanie czegoś strasznego. Zaszło jej w ustach, dłonie spotniały.

- Tre... - wyszeptała.

Pochwyił ją, zanim upadła. Niósł w ramionach, coraz głębiej i głębiej, aż czarna nicość poszarzała, a potem stała się ciemnogramatowa. Jane poczuła świeże powietrze, pachnące rzeką.

Zaczęła jaśniej myśleć, przyspieszony rytm serca powracał do normy. Usłyszała plusk płynącej wody, łagodny wietrzyk owionął jej twarz. Wreszcie Tre przystanął.

- Możesz stanąć? - zapytał cicho.

- Tak. Jesteśmy w pobliżu rzeki?

- Leen płynie tuż poniżej. Nie patrz w dół, nie mam ochoty cię wyławiać.

- Tre. - Oparła się ręką o jego pierś, aby utrzymać równowagę. - Nie umiem pływać.

- Nie liczyłem na to, że będziesz umiała. Giles czeka z łodzią. Pośpiesz się, Jane. Musimy zdążyć, zanim odnajdą zabitych strażników.

Zadrzała; jej palce odnalazły złoczonego kruka na wełnie tuniki. Za wcześnie, pomyślała. Nie kochałam go wystarczająco długo...

Postara się odejść z godnością i z wdziękiem.

- Odnajdziesz mnie? Przyjedziesz do mnie, gdy król opuści Nottingham?

- Tak, moje serce. - Poglądził ją po policzku i po ustach. Chmury się rozstały i na skale zajaśniało światło miesiąca. Tre czule ucałował Jane. Przywarła do niego, wspinając się na palce.

- Nie zwlekaj, bo uschnę z tęsknoty.

- Jesteś na to zbyt silna, Jane z Ravenshed. - Zdjął z ramion jej ręce i ścisnął dłonie. - Nie zapominaj, że masz mi być posłuszna. Czas się rozstać.

Zdjęta wielkim smutkiem, skinęła głową. Do jej oczu napłynęły łzy, gorące i oślepiające.

Tre odwrócił ją plecami do siebie, wszedł na gładką skałę piaskowcową i zawołał:

- Jane nadchodzi!

Zanim zdążyła zaprotestować, chwycił ją, zamachnął się i rzucił ją ponad wodą. Gwałtowny upadek sprawił, że straciła oddech; z niezbyt delikatnym odgłosem wylądowała na płaskim dnie łodzi. Giles starał się utrzymać łódź za pomocą długiej żerdzi i rozstawionych nóg, ale woda chlusnęła przez burty i zmoczyła zszargane spódnice Jane.

Poprzez plusk wody usłyszała słowa Tre:

- Pilnuj jej, Giles, i dbaj o siebie.

- Tak, milordzie. Z Bogiem.

Spojrzała w górę i zobaczyła Tre na tle skały. Poświata księżycy wydobywała z mroku jego twarz i włosy. Gdy Giles odepchnął łódź żerdzią od skały, Jane usiłowała wstać.

Piaskowcowe wzgórza porośnięte były krzakami posrebrzonymi światłem księżycy. Poruszał nimi lekki wiatr. Ten sam wiatr przyniósł jej pożegnalne słowa Tre:

- Mógłbym cię pokochać, Jane Ravenshed...

Nagle zrozumiała prawdę: katastrofa. Groziła mu śmierć.

Rzuciła się na tył łódki, kołysząc nią na boki. Giles chwycił ją za ramię, gdy stawiała stopę na burcie.

- Proszę nie niweczyć jego poświęcenia, milady.

Puścił ją, a Jane powoli opadła na dno łodzi. Giles z cichym

pluskiem długiego kija kierował łodzią, a Jane wpatrywała się w skałę, na której jeszcze przed chwilą stał Tre.

Dziobata skała z dziurami jak puste oczodoły, które spoglądają w przeszłość. Jane czuła się tak, jakby coś w niej powoli obumierało, i wiedziała, że już nigdy nie będzie taka sama jak dawniej.

Ja k przystało na prawdziwego Andegawńczyka, Jan zareagował w sposób dający się przewidzieć. Odgłosy królewskiej furii słyszeć było w całym zamku.

Guy de Beaufort stał, opierając się o ścianę w głównym holu, i bezsilnie słuchał, jak Jan skazuje Tre na śmierć.

Przeszył go dreszcz, gdy król wymieniał tortury, jakie spotkają skazańca, zanim wykonany zostanie ostateczny wyrok.

Tre zaś nie okazywał najmniejszego zainteresowania zapowiadany mi katuszami.

Rozsierdzony król pochylił się naprzód, zaciskając pięści na poręczach swego tronu.

- Nie będziesz taki spokojny, gdy zaczną ci odrywać ciało od kości, Devaux. Będziesz kwiczał jak zarzynana świnia.

Wśród baronów rozległ się pomruk. Nie aprobowali królewskich zamiarów. Guy spostrzegł, jak Adam de Lincoln wymienia porozumiewawcze spojrzenia z Walterem Foliot. Nawet baronowie anglosascy sprawiali wrażenie oburzonych. Czy Tre także to zauważył?

Z pewnością tak, bo wreszcie spojrzął na króla; wykrzywił posiniaczone usta w słabym uśmiechu.

- Zrobisz ze mną, co zechcesz, panie. Nie będzie to gorsze

od tego, co znosiłem przez ostatnie lata. A dokonaliście tego wraz z moim zdradzieckim suzerenem.

- Welburn zdradził także koronę.
- A jednak powrócił na swoje ziemie.

Jan uśmiechnął się krzywo i zmrużył oczy.

- Tak się stało. Uznaliśmy za słuszne przywrócić mu ziemie i tytuł oraz obiecać posiadłości po niewiernych baronach. Myślisz, Devaux, że będzie miłował Brayeton równie mocno jak ty?

Tre wyraźnie się wzdrygnął. Król uśmiechnął się z zadowoleniem i opadł na oparcie tronu. Przywołał skinieniem swego służącego.

- Dopilnuj, by tak się stało, Gilbert.
- Tak, panie.

Pióro zaskrobało na pergaminie, pisarz starał się nadażyć.

W przeciwległym końcu holu powstało drobne zamieszanie; przybywali nowi baronowie. Wieści o ucieczce Jane i o aresztowaniu szeryfa szybko się rozniosły. Guy westchnął głęboko. Daremnie szukał jakiegoś rozwiązania tej tragicznej sytuacji.

- Panowie - powiedział Tre, zwracając się do zebranych baronów. - Uczcie się na moim przykładzie. Najpierw uznano, że oszukiwałem swego suzerena, potem, że zdradziłem mego króla. Za to, oraz za to, że uwolniłem wdowę po baronie, której jedyną winą było posiadanie ziem, na które król spogląda zawistnym okiem, mam zostać skazany na śmierć. Myślicie, że gdy król zapragnie waszych ziem, nie postąpi z wami tak samo jak ze mną?

Rozwścieczony Jan potoczył wzrokiem po sali, żądając natychmiastowego osądu. Baronowie nie drgnęli, nie licząc tych, którzy uczynili krok do tyłu, dając wyraz odmowie. Nie będą osądzać Devaux. Bez względu na to, jak był nieczuły na stanowisku szeryfa, żaden baron nie zechce ryzykować precedensu oskarżenia bez powodu.

Nastała pełna napięcia cisza. Zabłysła iskierka nadziei. Jeżeli

żaden z baronów nie przemówi przeciwko Tre, pomyślał Guy, król będzie go musiał uwolnić...

- Osądzam go za winnego, panie.

Te słowa rozbrzmiały z tyłu holu. Zebrani rozstąpili się na boki, by przepuścić mównicę. Guy zamarł, spoglądając na zbliżającego się barona oraz na mężczyznę za nim - na Gervaise'a Gaudeta.

Jan znów się pochylił do przodu, a jego oczy zalsniły triumfalnie.

-- Wypowiedz swoje imię, tak aby wszyscy mogli je usłyszeć.

- Walter z Gedling, lord Dunham i Kelham - powiedział. Otaczający go baronowie pomrukiwali zaniepokojeni. Dunham wcale się tym nie przejął. Omiótł wzrokiem salę, aż natrafił na stojącego pod ścianą Guya. Zaciśnął usta, a w jego oczach pojawił się wyraz pogardy. - Baron i par, panie. Osądzam lorda Devaux za winnego nieposzanowania królewskiego prawa.

Guy odszedł od ściany. Był wściekły i czuł się winny. On wie o Lissie, pomyślał, i uderza we mnie poprzez Tre...

Zanim zdążył przemówić, naprzód wystąpił inny baron. W przymglonym świetle zalsniły jego rude włosy.

- Lord Dunham nie mówi w imieniu wszystkich baronów, panie - powiedział Gilbert z Oxton. - Nie osądzamy lorda Devaux i nie godzimy się na to, by został skazany. Żądamy, by sprawa została przedstawiona sędziemu najwyższemu podczas najbliższej rady.

Guy był wstrząśnięty; nie spodziewał się takiego poparcia ze strony anglosaskich baronów. Nie spodobało się to Gaudetowi ani Dunhamowi, którzy wymienili uwagi, po czym znów zwrócili się w stronę króla. Król skrzywił się z niezadowolaniem.

Walter z Gedling wystąpił krok naprzód, a Gaudet zwrócił się do zarządcy dworu.

Dunham mówił normańską francuszczyzną i śpiewne słowa padały jak kamienie.

- Zgłaszam mistrza do próby walki, jeśli taka twoja wola, panie.

- Przyjmuję. - Zabrzmiały słowa Tre. - Będę walczył z kimkolwiek, kogo wystawi Dunham w swoim imieniu. Chcę dokazać własnej niewinności i odzyskać tytuł i posiadłości.

Było jasne, że król nie chce stracić ziem Devaux. Pociemniałymi oczami spojrzął na baronów, ogryzając paznokcie. A potem roześmiał się ochryple.

- Wygląda na to, Devaux, że więcej masz odwagi niżli rozsądku. Nie ma sensu, bym ogłaszał próbę sił, skoro zostałeś osądzony za winnego jako mianowany przeze mnie urzędnik. Tak, jako szeryf, a już nie baron, nie masz żadnych praw...

- Ale ja jestem baronem, panie, pozbawionym ziem i tytułu, mianowanym szeryfem, tylko przez królewski dekret. To fakt, którego nie można podważyć ani zlekceważyć.

- Za pozwoleniem, panie - przemówił Dunham z uśmiechem - pojedynek zakończy tę farsę.

- Równie dobrze może doprowadzić do uwolnienia tego zdrajcy - warknął król. - Jeżeli zwycięży, dołączy do innych baronów z północy kraju, którzy chcą opróżnić moje skrzynie ciągłymi rebeliami i odmowami płacenia daniny lennej.

Radca dworu pochylił się nad królem i wyszeptał coś do ucha Jana, po czym cofnął się o krok. Król skierował spojrzenie na Dunhama.

- Mów, Walterze Gelding. Rozpatrzmy twoją propozycję.

- Jeżeli lord Devaux się zgadza, jego pojedynek z przeciwnikiem, którego wybierzesz, panie, rozstrzygnie sprawę.

- Zgadzam się - powiedział Tre, spoglądając pogardliwie na lorda Dunhama. - Będę walczył z każdym, kogo wybierze.

- Pojedynek na śmierć i życie -*jouste a Voutrance*.

- Tak, najchętniej na śmierć, lordzie Dunham.

Król Jan opadł na oparcie tronu i zadowolony skinął głową.

- W takim razie, niech tak się tak stanie. - Zatarł dłonie i potoczył wzrokiem po zgromadzonych. — Niech tu wystąpi

sir Guy de Beaufort. On będzie przeciwnikiem Devaux i w razie zwycięstwa uzyska jego tytuł i ziemie. W razie odmowy, będzie sądzony wraz z szeryfem.

W halu zapanowała pełna napięcia cisza.

Poblady Guy słuchał, jak Tre protestuje, tłumacząc gniewnie, że nie może walczyć z własnym wasalem, na co król odparł gładko, że to sprawa jego wolnego wyboru, a nie rozkaz.

- A co powie Guy de Beaufort? - zapytał król ze złośliwym uśmiechem. - Czy kiedy wyzdrowiejesz, dasz Devaux szansę na odkupienie? Tytuł i dobra, oto nagroda dla zwycięzcy pojedynku... chyba godne wynagrodzenie.

Guy w mgnieniu oka przejrzał zamiary króla. Jeżeli odmówi, Tre umrze poddany torturom. Jeśli się zgodzi, stanie twarzą w twarz z mężczyzną, którego kocha jak brata. Bez wahania podjął decyzję.

Wystąpił naprzód, tak szybko, jak pozwalały mu na to odniesione rany, skłonił się przed bezlitosnym królem i rzekł:

- Zgadzam się, panie.

Jesteś głupcem, Guy. - Tre wyglądał przez okno komnaty, która była jego celą więzienną. Gniew ścisnął mu gardło, sprawiając, że głos brzmiał ochryple. - Nie zgadzam się z tobą pojedynkować.

- Przysięgałeś przy świadkach, że będziesz walczył z rycerzem, którego wybierze król. Teraz nie masz wyboru.

Gorzka prawda.

- Żałuję, że nie zabiłem Gaudeta, kiedy miałem ku temu okazję. To on za tym stoi.

- To Walter z Gelding był owym mnichem, który rozmawiał z Gaudetem tamtego dnia - powiedział Guy. - Sądziłem, że to był Welburn.

- Dziwne, że dama nie rozpoznała głosu własnego męża - zauważył Tre.

Guy stłumił przekleństwo.

- Zdradliwa suka... twierdzi, że go nie rozpoznała.

- A ty jej nie wierzysz.

- Nie, nie wierzę. - Zamilkł, po czym dodał kwaśnym tonem. - Powinienem być ciebie posłuchać. Niewierna kobieta zdradza nas wszystkich, nawet własną kuzynkę. Milczy ze strachu przed mężem, a tymczasem mnie się powinna obawiać.

- Przebac tej damie, Guy. Jest taka jak większość kobiet i nie umie przeciwstawić się burzy.

- Nie potrafię. Z trudem opanowuję się, by jej nie udusić gołymi rękami.

Na zewnątrz padał deszcz; słysząc było delikatne bębnienie kropli. Dziedziniec pokrywało błoto. Za murami miasta widać było ginące w szarej mgle strzeliste drzewa Lasu Sherwood. Tre pomyślał o Jane.

- Są jakieś wieści o lady Neville? - spytał Guya.

- Giles przekazał wiadomość, że doprowadził ją do Blidworth Bottoms. Tam uparła się, by ją zostawił samą. Nie jest we dworze, bo król wysłał tam na poszukiwanie swoje strażę. Mam nadzieję, że schroniła się w klasztorze.

Tre oparł dłonie na kamiennym parapecie okna; czuł pod palcami jego zimno. Więc jednak nie stracił zdolności odczuwania. Od czasu gdy widział Jane, odpływającą z Gilesem, miał się raczej za martwego niż żywego.

- Proszę cię jeszcze raz - powiedział Guy - uciekaj z Anglii i pozwól królowi ochłonać. Masz po swojej stronie baronów, którzy ofiarują ci schronienie.

- Miałbym uciekać, niczym pies z podwiniętym ogonem? Nie ma mowy. Uciekając, ściagnąłbym na siebie pogardę baronów, jaką odczuwam w stosunku do Roberta FitzWaltera i Eustace'a de Vesci, którzy zdradzili króla, po czym uciekli. Wolę śmierć niż życie tchórza. - Wyrzwał przez okno. - Jesteśmy zbyt dobrze pilnowani, Guy. Stąd nie ma ucieczki, nawet gdybym się na nią zgodził.

- Król i baronowie wracają z Clipston Palace jutro rano - powiedział Guy, przypominając Tre, że czas nie stoi w miejscu. - Ponieważ Jan musi szybko być w Bishopstoke, pojedynek został ustalony na godzinę po jego powrocie do Nottingham. Przystano księdza, który udzieli nam ostatnich sakramentów.

- Jan nie traci czasu. - Tre spojrzał na Guya. Twarz rycerza wyrażała napięcie. Piwne oczy pociemniały, po obu stronach ust zarysowały się głębokie bruzdy. - Guy, wciąż jesteś moim wasalem, związanym przysięgą posłuszeństwa. Kazałem ci przysiąc, że po mojej śmierci zaopiekujesz się lady Jane.

Zapadło milczenie. Guy posmutniał. Powoli pokręcił głową.

- Jestem rycerzem nie posiadającym ziemi ani żadnej innej własności. Moja śmierć przejdzie niezauważona. A ciebie kocha lady Jane. Odebrać jej ciebie byłoby okrucieństwem, jakiego nie dokonałem nigdy dotąd.

Tre zadrżał. Wiedział, co Guy zamierza. Myśl o tym była nie do zniesienia.

- Nie przeciwstawiaj mi się. Nie mógłbym żyć, splamiwszy dłonie twoją krwią.

- A myślisz, że dla mnie byłoby to łatwiejsze? Zbyt długo byłeś moim suzerenem i przyjacielem. Jezu, przeklinam diabelski umysł, który uknuł taką intrygę, bo żaden z nas nie zasługuje na takie tortury.

Cichy chrobot za nimi zwrócił ich uwagę na drzwi do komnaty. Otworzyły się do wewnątrz ze zgrzytem zawiasów.

- Synowie - odezwał się ochrypły głos z głębi przepaścistego kaptura - uważam, że obydwaj jesteście zbyt chętni, by niepotrzebnie umrzeć dla kaprysu króla. Śmiertelny grzech dumy.

Tre zamarł ze zdumienia. Do komnaty wkroczył korpulentny mnich. Cicho zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami.

Tre odzyskał mowę.

- Powinnością mnicha jest ofiarowanie odkupienia, a nie osądzanie.

- A jeśli ofiaruję wam wolność?

- To nie leży w twojej mocy.

Mnich się roześmiał i postąpił naprzód ze zręcznością nie-spodziewaną u tak tęgiej osoby.

- Mam pozwolenie od Boga oraz od opata, aby was stąd bezpiecznie wyprowadzić, jeśli przedkładacie życie nad niepotrzebną śmierć.

- Kim jesteś? - zapytał Tre, otwierając oczy ze zdziwienia.

- Niektórzy zwaą mnie Bratem Tuck.

- Dlaczego się nami zajmujesz?

Mnich wsunął pulchną dłoń pod sutannę i wyciągnął różaniec. Uniósł go tak, aby padło nań światło z okna, i załuźtał nim delikatnie.

- Przysyła mnie dama.

Tre przyjrzał się paciorkom różańca i przypomniał sobie, że widział go na szyi Jane, gdy nerwowo obracała w palcach małe kuleczki. Powoli przeniósł wzrok na ocienioną twarz mnicha.

- Nie jestem człowiekiem skłonnym do ucieczki, Bracie Tuck. Wolę honorować śmierć niż życie w hańbie.

Pod kapturem rozległo się westchnienie.

- Ostrzegała, że okażesz szlachetność graniczącą z idiotyzmem. Nie patrz na mnie z taką wściekłością. Ja tylko powtarzam słowa damy. Ofiarowuje ci znacznie więcej, niż się spodziewasz, i więcej, niż na to zasługujesz, skoro jesteś dość głupi, by to odrzucić. Baronowie są po twojej stronie. Nie ma żadnej hańby w tymczasowej ucieczce po to, by zebrać siły i zaplanować obronę. Skażesz na śmierć lojalnego rycerza, aby stało się zadość twojej samolubnej dumie? Ten człowiek jest szlachetniejszy od ciebie, lordzie Devaux.

Tre poczuł się jak spoliczkowany. Odetchnął gwałtownie. Wspomniał Brayeton, teraz na zawsze utracony, i jeszcze boleśniejszą utratę Aimee. Od trzech lat bezustannie rozmyślał o nienawistnym Pell Ewingu. Spojrzał na Guya - lojalnego, skłonnego do poświęcenia własnego życia.

Szlachetny, tak nazwała go Jane. Absurd. Tre miał ochotę się roześmiać. Przeniósł wzrok na mnicha.

- Co masz ze mną zrobić, Bracie Tuck?

- Nareszcie - westchnął mnich. - Istnieje dla ciebie nadzieja, milordzie. - Pogrzebawszy pod brązowym habitem, wyjął dwa ubrania, co sprawiło, że jego tusza znacznie się zmniejszyła. - Włóżcie obydwaj te sutanny. Ale szybko. Król wkrótce nadjedzie. Sir Guy, wolisz być opatem czy trędowatym?

Gęsta i piękna zieleń ciągnęła się całymi milami. Słońce przesłaniały grube konary dębu. Rozlegał się świergot ptaków, przerywany parsaniem oburzonej wiewiórki, przemykającej po splekanej korze. Oto Las Sherwood.

Jane czekała, pełną strachu i nadziei. Powietrze przenikał aromat bluszczu. Przyciągnęła kolana do klatki piersiowej. Kaftan i rajtuzy były w lesie bardziej praktyczne niż suknia.

Wciąż nękała ją niepewność. Możliwe, że Tre odrzucił pomoc. Nie miał tak prozaicznego podejścia do honoru jak ona. Jej mistrzem był Robin, który wypracował bardziej giętką perspektywę widzenia świata.

W pogmatwanej polityce Anglii, Jaye, istnieje wiele interpretacji terminu honor. Ja wolą tą bardziej praktyczną tendencję, która pozwala przeżyć.

Dziwne, że jego interpretacja doprowadziła do tego, że zmarł w gorącym, jałowym kraju wśród pogan...

Bawiła się źdźbłami trawy, rosnącej pomiędzy stopami obutymi w wygodne wysokie buty. Wzdrygnęła się, gdy jej dłoń natrafiła na parzące liście pokrzywy. W pobliżu rósł szczaw, gotowe antidotum na poparzenie przez pokrzywę, od której poczerwieniała jej skóra. Sama wybrała sobie ścieżkę wśród pokrzyw, w różnym znaczeniu tego słowa.

Wszystko się pogmatwało. Pomyślała o swoich rodzicach, o matce. Kruczowłosa Clorinda o roześmianych oczach, dama

i żona. Odeszła z tego świata w młodym wieku, podobnie jak inni, których Jane kochała. Czy straci również Tre?

W zamyśleniu pocierała dłoń płaskim liściem szczawiu, dopóki nie przeszło pieczenie.

Powietrze przeszył wysoki dźwięk i Jane uniosła głowę. Z bijącym sercem rozpoznała sygnał. Cichy świst strzały ostrzegł ją o nadejściu gości. Jane wstała, zebrała z ziemi łuk i kołczan ze strzałami i zapominając o pokrzywach, ruszyła pośród splątanych pędów winorośli i wysokich traw.

Szkarłatny Will odnalazł ją na wąziutkiej ścieżce, która jak nikła wstążka wiła się wśród leśnego gąszczu. Zajrzał w oczy Jane i odczytując w nich pytanie, wzruszył ramionami.

- Mały John dał ten sygnał. Ale nie podszedł bliżej.

Jane westchnęła i pokręciła głową.

- John boi się o nas. Nie wie, komu można zaufać.

- Musisz przyznać, milady, że Devaux nie dał nam powodów, byśmy mu ufali - powiedział Will sucho. Spojrzał poza nią na drogę. - Jeżeli Devaux tu przyjdzie, król gotów jest spalić całutki las, żeby go uwędzić.

- Król Jan zbyt lubi polowania, by ryzykować życie choćby jednego jelenia. - Odetchnęła powietrzem wonnym od kwitnących pnączy. - Dziś mijają trzy dni od czasu, gdy Tuck wyruszył w drogę. Myślisz, że mu się powiodło?

- Wkrótce się dowiemy.

Jane przełożyła łuk do drugiej ręki, westchnęła i ruszyła za Willem po stromym zboczu wiodącym do rzeki.

W oddali ktoś śpiewał. Z czasem pieśń stawała się coraz bardziej zrozumiała. Nabożna melodia pozwalała zidentyfikować śpiewającego.

Will roześmiał się cicho.

- Tuck jest w wyjątkowej formie. Jeżeli ma towarzystwo, jego kompani z pewnością woleliby ciszę.

Jane była zbyt przejęta, by mu odpowiedzieć. Z napięcia drżały jej ręce. Tak mocno ścisnęła łuk, że zbiały jej palce.

Czy on tam jest? Czy też będzie musiała się modlić za jego duszę? Przymknęła oczy i zmówiła modlitwę pełną nadziei. Te same słowa brzmiały w dochodzącej z dala pieśni:

Gloria tibi, Domine...

Słyszac łacińskie słowa, gwałtownie uniosła powieki. Melodia była radosna i zwiastowała sukces. Jane weszła do rzeki, unosząc łuk nad głową, aby go nie zamoczyć. Nie czekając na Willa, wspięła się na przeciwległe zbocze.

Ujrzała dobrze sobie znaną pęką sylwetkę Tucka, idącego pomiędzy Tre i Guyem. Cała trójka była zmęczona i zakurzona. Dwóch pieszych rycerzy, rzadki to widok, tłumaczący trzy dni oczekiwania. Ich obłocone buty nadawały się do konnej jazdy, nie do pieszych wędrówek. Sutanna i suknia trędownego sięgały im do łydek, a nie po kostki.

Ich świecki wygląd nie oszukałby nawet najbardziej tępego żołnierza. Jane wyszła zza drzewa, wsparła łuk o pień i czekała.

Rozpoznał ją. Uniósł brwi i uśmiechnął się do niej.

Mój kaftan przypomina mu dzień pod Dębem Kogucie Pióro, pomyślała.

Nagła ulga zupełnie ją sparaliżowała. Jane stała w pełnym wdzięczności milczeniu. Tre przyśpieszył kroku, by wysforować się przed Tucka i Guya. Podszedł i bez wahania, mocno przycisnął Jane do piersi.

Z podniecenia i radości zwiotczały jej mięśnie. Tre wzburzył jej włosy, wsunął palce w ich pasma i prawie brutalnie ujął jej głowę i uniósł ku sobie.

- Uparta dama - powiedział cicho - nie poddajesz się łatwo.

- O, tak, milordzie. Nie poddaję się łatwo. Ale ostrzegałam cię o tym.

Ucałował ją tak mocno, że omal nie posiniaczył jej ust.

- Tak - powiedział w końcu - ostrzegałaś. Uważam, że to uciążliwe, ale i przyjemne.

Roześmiała się, a jej oczy zwilgotniały od łez. Żyje i jest ze mną, pomyślała, to wszystko, czego pragnę...

Ogarniała ich ciemność podobna do czarnego całunu. Niebo i ziemię rozsrebrał półksiężyc, wąskie strugi światła przenikały baldachim z liści i docierały do legowiska z traw i płótna. Przytulna altanka.

Tre trzymał Jane w ramionach. Spała skulona. Szczupłe biodra wtuliła w zgięcie pomiędzy brzuchem i udami Tre. Ogarniał go niezwykle spokój, cisza po burzy.

Nie tracił czasu na czułe zaloty, lecz wziął ją w akcie szorstkiej desperacji, jakby się miała rozpuścić we mgle, zanim zdąży ją dotknąć, przytulić, posmakować. Teraz nie mógł zasnąć; tulił w ramionach tę niezwykłą kobietę, która zdołała przełamać jego opór. Tuck miał rację, Jane nie była damą, o której wystarczyło mieć dobre zdanie. Nie zniosłaby tego. Ją należało czcić.

A co z miłością? Był gotów oddać za Jane życie, ale jego miłość w końcu by ją zniszczyła.

Pogładził jej ramię. Taka śliczna... skóra jak aksamit, a serce jak u lwa. Mogłaby uczyć króla Ryszarda.

Zacisnął palce na delikatnym mięśniu, wystarczająco silnym, by naciągać cięciwę łuku, dość delikatnym, by uleczyć upartego barona, który ma więcej tupetu niż rozsądku. Elegancka dama, pełna dumy i odwagi. Zawstydziała go. Tre zamknął oczy i wdychał ulotną woń mięty.

Cienie nocy wysysały z lasu ciepło dnia i do altanki wniknęła chłodna mgła. Byli przykryci tuniką Tre oraz rajtuzami i kaf-tanem Jane. Tre zmarzł.

Robiło się późno. Powinien wrócić do pieczary i nocować z mężczyznami, pozostawiwszy Jane samą w altance. Tak zaproponował Tuck i Tre się zgodził. Tylko Jane zaprotestowała. Uśmiechnął się.

Tutaj byli oddzieleni od pieczary drzewami i rzeką Maun. Dobiegały tu jedynie stłumione odległością śmiechy. Kryjówka zbójników, których niedawno ścigał, stała dla niego otworem. Przyjęli go bez oporu.

Wszyscy z wyjątkiem Małego Johna.

Olbrym miał zbyt dobrą pamięć. Gdyby nie obecność Jane, John z Hathersage wolałby skrzyżować miecz z jego mieczem, zamiast łamać się chlebem z byłym szeryfem Nottingham. Nie robił z tego tajemnicy; na jego twarzy często gościła uraza i nieufność, lecz wystarczyło jedno spojrzenie Jane i olbrym gryzł się w język.

I cóż się dziwić?

Tre się nachylił i ucałował koniuszek jej ucha. Rozpuszczone włosy otaczały głowę Jane niczym jedwabna przędza. Pojedyn-cze pasmo tworzyło wdzięczną pętlę wokół jednej piersi. Trć pogładził delikatny wzgórek, a Jane zadrżała lekko pod jego dłonią. Badawczym ruchem przesunął palce po żebrach, wąskiej kibici, aż do krągłej linii bioder.

Tu się zatrzymał. Przyłożył dłoń do okrytego koszulą brzucha. Znów poczuł żądzę, nieprzepartą i natarczywą. Nigdy dosyć... Ucałował puls za jej uchem.

Poruszyła się i zwróciła ku niemu uśmiechniętą twarz. Serce ścisnęło mu się boleśnie, westchnął i przycisnął czoło do jej czoła. W ten sposób życzył jej dobrej nocy. Miał szczery zamiar zostawić Jane samą i powrócić do pieczary.

Jej wiedzione bezbłędnym instynktem dłonie dotknęły go właśnie tam i wywołały natychmiastową reakcję. Westchnęła;

powolny wydech przez półotwarte usta był gorący, uwodzicielski i bardzo wymowny.

Dobre intencje Tre rozwiały się niczym poranna mgiełka pod wpływem promieni słonecznych. Jęknął pod pieśczętą jej dłoni. Muskała go lekko jak piórkiem, badając na całej spęczniałej długości, sprawiając rozkosz i cudowny ból. Zadrzał.

- Lady, obracasz wniwecz moje dobre intencje.
- Tak, lordzie, modłę się o to, by mi się udało.

Ogarnęła go gwałtowna chęć, by posiadać ją jeszcze raz, chciał, żeby nic ich nie dzieliło.

Ucałował jej szyję, usta, uniósł do pasa lnianą koszulę. Jane rozchyliła wargi. Przywarła do niego w skurczach, które brały początek w dole brzucha.

Usiadł, jednym ruchem zdart z niej koszulę i odrzucił ją w ciemność. W słabej księżycowej poświacie ciało Jane lśniło jak alabaster. Śliczne. Doskonałe. Okrągłe piersi, szczupłe biodra i uda, a pomiędzy nimi słodka obietnica. Pogładził dłonią kuszącą krzywiznę, poczuł gorącą wilgoć. Jęknęła z rozkoszy. Z rozmysłem, nie zwracając uwagi na to, że wygięła się w łuk, doprowadził ją do granic wytrzymałości. Wtedy przerwał.

Wijąc się i wzdychając, chwyciła go za nadgarstki, wpijając palce w ciało, nalegając, by nie ustawał.

Pochylił się, przeciągnął językiem po wezbranym sutku i uśmiechnął się, słysząc, że znów westchnęła. Przesuwał badawcze dłonie, pieścąc zagłębienia i wzgórki jej ciała. Kolanami rozsunał jej uda. Krzyknęła w podnieceniu, a on ucałował ją żarliwie. Zassał jej dolną wargę, a potem zsunął usta niżej, na szyję, w przerwę pomiędzy piersiami, i dalej na brzuch. Jej dłonie bezsilnie, jak skrzydła wróbla, trzepotały przy policzkach Tre.

- Powiedz mi, *cherie* - wyszeptał zdyszany - na co masz ochotę.

Wsunęła palce w jego włosy i, w niemym błaganu, przycis-

nęła twarz Tre do swego brzucha. Wsunął język do jej pępka i powędrował niżej, ku wżórkowi łonowemu, pozostawiając wilgotną smugę. Poczłł smak mydła i mięty, luksusu i dzikości. Widział w pieczarze przepiłowaną na dwoje beczkę na wino, która służyła za wannę. Sprytna dama; udało jej się wprowadzić cywilizację do niecywilizowanego świata.

- Tre... proszę.

Urywany oddech, namiętny szept.

Zdjął trykoty i gatki, po czym nachylił się pomiędzy nogami Jane. Czuł rozpaczliwą żądzę, której tak długo zaprzeczał. Powoli wnikał nie tylko w jej ciało, kołysząc się delikatnie, aż zaczęła reagować. Poniosła go pełna słodczy dzikość i hamowana dotychczas brutalność, a Jane zachłannie odpowiadała na jego silne pchnięcia.

Wyczerpany, dygotał z ulgi. Ściskając Jane w ramionach, dyszał boleśnie. Poczłł, że jego mięśnie powoli się odprężają. Ucałował twarz Jane i poczłł sól.

- To łyzy?

Skinęła głową i westchnęła.

- Myślałam już, że cię straciłam. Odkąd tydzień temu opuściłam Nottingham, nie odważyłam się żywić nadziei. A teraz jesteś tutaj. - Spojrzała na niego poprzez mrok. Jej lśniące oczy wyrażały miłość, nadzieję, wierność... wszystko to, czego Tre się obawiał. Wszystko to, co już zaczął czuć...

Delikatnie dotknęła jego twarzy i wyszeptła słowa, które przeniknęły go do szpiku kości:

- Kocham cię.

Trwał nieruchomy, oniemiały od targających nim emocji. Nie powiedział tych słów żadnej kobiecie; teraz ciążyły mu na języku, choć król nazwał go wygadany. Zamknął oczy, westchnął gęęboko.

Kocham cię, moja Jane, pomyślał.

Jane odciągnęła łączyśko od cięciwy, poczuła jej drzenie i uwolniła strzałę, która poszybowała do tyłu i utkwiała w grubym pniu drzewa za jej plecami. Tre skinał głową z aprobatą. Jane poczuła, że rozpiera ją duma.

- Jesteś jeszcze lepsza, niż zapamiętałem, lady Jane. Przyłożył komuś grod do gardła, stojąc za jego plecami, to wymaga wielkiej biegłości.

- Nietrudno zaskoczyć mężczyznę, zajętego sprawami niecierpiącymi zwłoki - odparła, wzruszając ramionami.

Rozciągnięty pod dębem na gęstej trawie, spoglądał na Jane spod półprzymkniętych powiek, uśmiechając się lekko. Przesiane przez liście słońce upstrzyło go złocistymi plamkami. Nie miał na sobie czarnej opończy z wizerunkiem kruka, tylko kaftan z zielonego sukna, ledwie odcinającego się od bujnej zieleni lasu.

Stał się teraz jednym z drużyny - zbuntowanym rozbójnikiem, wyjętym spod prawa, ubranym w zamszowe buty do kolan i uzbrojonym w miecz. Kompania przyjęła go do siebie, ale wciąż nie darzyła całkowitym zaufaniem. Devaux był tu człowiekiem nie na miejscu.

Jane wiedziała o tym i obawiała się tego. We właściwym czasie odejdzie z lasu, a jej nie uda się go powstrzymać. Na razie uczyni wszystko, by jak najlepiej wykorzystać ofiarowany jej czas, wycisnie z owych dni ostatnią drobinę radości.

- Gdzie się nauczyłaś sztuki posługiwania się łukiem, *cherie*?

Obojętny temat, miłe urozmaicenie. Usiadła obok niego, podwijając pod siebie nogi i czując na nich jego pełen zachwyty wzrok.

- Kiedy byłam dzieckiem, do Ashfield przybył pewien łucznicz, przyjaciel mojej matki. Nauczył mnie strzelać, mimo protestów mamy. - Zamilkła i powiodła dłonią po łagodnej krzywiźnie łuku, którego łączyśko było gładkie jak jedwab. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. - Kiedy okazało się, że

mam pewne umiejętności, wuj podarował mi ten łuk. To dobry łuk, zrobiony z rdzenia cisu.

- Twój wuj. - Tre wyciągnął długie muskularne nogi, opięte zielonymi pończochami. - Robin Hood.

Skinęła głową, nie zwracając uwagi na nutkę szyderstwa w jego tonie.

- Tak, tak go kiedyś nazywano. Naprawdę nosił imię Robert z Locksley. A potem, gdy król Ryszard za lojalność i męstwo nadał mu tytuł i ziemie, stał się hrabią Huntington.

- Teraz Huntington należy do króla Jana - zauważył gorzko. - Jana, który całą Anglię utrzymuje w stanie zawieszenia. - Zacisnął pięści.

Zapanowała cisza, w której Jane słyszała bicie własnego serca. I wtedy w niebo wzleciała beztroska i radosna pieśń skowronka, prawdziwy balsam na ich napięte nerwy.

Nachyliła się nad Tre i położyła mu dłoń na policzku. Spojrzał na nią cierpiącym wzrokiem.

- Tutaj nas nie dostanie, milordzie.

Ujął jej dłoń.

- Nie. Sherwood jest niedostępny nawet dla samego króla. Możemy tu pozostać do końca świata i nikt nas nie podejdzie.

Podniósł jej dłoń do ust. Spojrzał zabójczo spod rzęs.

- Czy to dla ciebie takie okropne, milordzie? - wyszeptwała z trwogą, która nie uszła jego uwagi.

Uśmiechnął się, przygryzł leciutko koniuszki jej palców, a potem zamknął jej rękę w swoich wielkich i silnych dłoniach, gestem pociechy i obietnicy.

- Nie, moja słodka, jeśli tylko ty jesteś blisko mnie.

Mówi wszystko, tylko nie to, co pragnę usłyszeć, pomyślała.

Od strony leniwej rzeki Maun doleciał plusk. Ostrzeżenie, że do ich liściastej altany zbliża się gość. Tre wypuścił dłoń Jane. Wyjrzał niespokojnie i dostrzegł sylwetkę Małego Johna.

Wciąż odnosili się do siebie z rezerwą, żaden z nich nie był gotowy, by zaufać drugiemu. Jane obejrzała się i uśmiechnęła na widok ogromnej postaci, zasłaniającej wejście do szałasu.

- Will znów cię wypędził z pieczary swym utyskiwaniem?

- Nie. To te uszczypliwe piosenki, które wyśpiewuje Alan. Wołę już pobyt w lochach Nottingham. - Jego jasne oczy spoczęły na Tre i zaraz umknęły w bok. - Jest wiadomość z Ravenshed.

Jej uśmiech zgasł.

- Nie...?

John skinął głową.

- Tak. Ujęta przez króla służba uciekła do lasu. Sir Guy i Will szykują się, by ich tu sprowadzić.

Tre wstał, rozprostowując gibkie ciało i zatarł dłonie.

- Chętnie zrobię coś więcej, ponad przyglądanie się, jak rośnie trawa.

John zmierzył Tre chłodnym wzrokiem.

- Co przyniesie nam sławę pogromców Normanów - powiedział tonem pełnym wrogości.

Jane podniosła się z ziemi i rzekła lekko:

- W Sherwood znajdzie się dość miejsca dla wszystkich. Normanów, Anglosasów i służby. Wszyscy, których niesłusznie skazano, są w lesie mile widziani.

John zgodził się z tym wbrew sobie i niechętnie skinął głową.

- Tak. To prawda, milady. Król związał nas z sobą, bez względu na to, czy tego chcemy, czy nie. - Silne barki Johna odprężyły się nieco, na ustach pojawił się nikły uśmiezek. - Mamy trochę dobrego wina z piwnic Nottingham, które Brat Tuck znalazł na Królewskim Szlaku.

- Musi to być ten sam trakt, który nęci dziczyznę gotową, by ją podać na stół. Wygląda na to, że jest to błędna droga pełna niespodziewanych datków dla tych, którzy potrafią je tam odnaleźć.

- Tak, na to wygląda - odparł Mały John z rozbawieniem. -

Mówiono mi, że z. przeciwległych stron drogi roztaczają się różne widoki.

- Otóż to, Mały Johnie. Otóż to. Szczęście, że ludzie z Sherwood są tacy spostrzegawczy.

Napięcie zniknęło. Jane pozwoliła sobie na nadzieję, że z upływem czasu Tre przywyknie do przebywania w Sherwood.

Starała się nie dopuszczać myśli o tym, że poza knieją czyha niebezpieczeństwo.

Na gęstym listowiu cicho szemrał deszcz. Tre klęczał u wejścia altanki Jane, która odmówiła zamieszkania w pieczarze.

- Czuję się tam tak, jakby jej ściany zamykały się wokół mnie. Nie mogę oddychać - tłumaczyła. Tre wspomniał ich ucieczkę z Nottingham. Czarna noc, odważna kobieta... rozpaczliwa sytuacja, w jakiej nie chciałby się znaleźć nigdy więcej.

Zakołysał się lekko na piętach, patrząc, jak Jane sadowi się na legowisku ze słomy i lnu. Miała pociemniałe oczy i ściągnięte rysy twarzy, wyglądała na nieszczęśliwą, ale nic nie mówiła.

- Wiesz, że muszę odejść, Jane.

Skinęła głową i zmartwiona spuściła wzrok.

- Tak. Rozumiem.

- Jesteś niewiarygodną kłamczucha. Jest jasne jak słońce, że nic nie rozumiesz.

- Tak. Masz rację. Tutaj jesteś bezpieczny! Król wyjechał z Nottingham, a Gaudet ma pełne ręce roboty, pełniąc obowiązki szeryfa... Żołnierze boją się zapuszczać w głąb lasu. A nawet jeśli się odważą, i tak nas nie znajdą. Nie, nie rozumiem, po co masz ryzykować!

- Nie jestem mężczyzną, który potrafi całe życie ukrywać się w pieczarze, Jane. Muszę z tym skończyć. - Westchnął

ciężko, oparł dłonie na kolanach, przykrytych grubymi wełnianymi pończochami. - Minęły już przeszło dwa miesiące, a ja nie mogę przywyknąć do noszenia kaftana i wciąż tęsknię za koczugą. Nie potrafię tak żyć. Tak samo jak ty.

Nie odpowiedziała, więc spojrzął poza moknące drzewa, w kierunku Nottingham.

- Tuck przyniósł wiadomość, że baronowie wyrazili chęć wystąpienia przed radą w mojej obronie. To szansa, że zdejmy ze mnie werdykt i przestanę być wyjęty spod prawa.

- Albo że cię powieszają!

Wypluła te słowa jak parszająca kotka. Spojrzął na nią i uśmiechnął się lekko.

- Nie owijaj w bawełnę tego, co do mnie czujesz, słodka pani.

Mruknęła coś nieeleganckiego i ukryła twarz w dłoniach. Na skórzanym kaftanie zalśniły splecione w luźny warkocz włosy. Wszyscy leśni ludzie nosili ubrania w odcieniach zieleni i brązów, dzięki którym stawali się niemal niewidzialni. Ostrożny człowiek mógł przeżyć wśród drzew całe życie. Tre zaczynał rozumieć, dlaczego tak trudno ich było odnaleźć.

Potoczył wzrokiem po spowitych we mgle zieleniach. Zamykały się wokół niego jak nieprzenikalne ściany.

- Odejdziemy za godzinę. Tuck zaaranżował spotkanie z Gilbertem z Oxton i lordem Creightonem. - Umilkł, usłyszał stłumione westchnienie Jane i mówił dalej: - Król jest w Winchester, więc na razie nie stanowi zagrożenia. Musimy działać szybko, zanim powróci do Nottingham.

Zapadło milczenie. W końcu usłyszał, że Jane się porusza, zaszeleściła słoma i płótno. Poczul dłoń Jane na ramieniu. Pod jej dotykiem stężały mu mięśnie. Aby zająć czymś ręce, podniósł z ziemi cienkie źdźbło trawy.

- Przebacz mi, Tre. Chciałabym cię powstrzymać i uczynić z ciebie kogoś, kim nie jesteś. A wszystko dlatego, że się o ciebie boję.

- Nie opuściłbym ciebie z własnej woli, słodka pani -

powiedział ochryple. Odchrząknął i dodał: - Robię to nie dla siebie, lecz dla nas obojga. Nie mógłbym cię poślubić, skoro król obiecał nagrodę za moją głowę. Jan nie zawaha się użyć żon swoich baronów przeciwko nim.

Ścisnęła palcami jego ramię.

- Tak. Wiem. Odejdź więc, a towarzyszyć ci będzie moja miłość, nadzieja i modlitwa. Będę na ciebie czekała, tu, gdzie jestem bezpieczna, przy Małym Johnie i Willu.

Ofiarowała mu spokój ducha. Przyjął go, po czym złożył na jej wargach żarliwy i pełen rozpaczycy pocałunek.

- Pożegnajmy się teraz, bo chcę cię zachować w pamięci, kłęczącą pod baldachimem zielonych pędów i kwiecia.

Zobaczył, że w jej oczach zabłyśły powstrzymywane łzy. Dzielna kobieta, spoglądająca na niego z uśmiechem, ofiarowująca mu to, czego nie miała dla samej siebie.

Kiedy spotkał się z Oxtonem i Creightonem, wciąż miał przed oczami jej obraz.

Znajdowali się w mrocznej i pachnącej kadzidłem nawie kościoła i sanktuarium Najświętszej Marii w Edwindstowe. Tuck dyszał ciężko, a jego głośny oddech odbijał się echem od wysokiego sklepienia. Poprawił na sobie habit, spojrzął na obydwu baronów i na Guya, po czym rzekł:

- Pośpieszcie się, panowie, bo nie mamy wiele czasu, a ja zabawię księdza uczoną dysputą.

Gilbert z Oxton uklęknął jak do modlitwy. Lord Greighton spiesznie poszedł w jego ślady. Obydwaj byli zaniepokojeni.

- Jakie nowiny, milordowie? - zapytał Tre, uklękawszy przy nich. Trzej modlący się baronowie, pilnowani przez rycerza.

- Czwartego sierpnia król Jan spotkał się z najwyższym sędzią i z wszystkimi biskupami z Winchester w Saint Albans. Proklamowano pokój w ścisłej zgodzie z kartą praw ustaloną przez króla Henryka. — Oxton zamilkł, po czym dodał, wykrzywiając usta: - Król surowo nakazał, by szeryfowie, leśniczy

i inni oficerowie królewscy porzucili złe praktyki, jeżeli cenią sobie życie i własne członki.

- Szlachetne starania - skwitował Tre. - Czy Gaudet porzucił złe praktyki?

- Nie - mruknął Creighton, zaciskając dłonie w bezsilnej złości. - Nałożono nowe podatki, zażądano więcej pieniędzy. Wszystko za namową króla, który udaje niewiniątka.

Oxton przygładził rude włosy.

- Król powierzył rząd opiece najwyższego sędziego i biskupa Winchesteru, oczekując, że opuści Anglię, by walczyć z Francuzami w Poitou. Jego rycerze odmawiają przyłączenia się do króla. Żądają zwrotu kosztów poniesionych na jego dotychczasowe usiłowania, ale Jan nie zapłaci. To jeszcze nie wszystko, baronowie z północy także odmawiają. Zapewniają, że zgodnie z tytułem posiadania ziem, nie są zobowiązani wspierać króla w jego najazdach na Francję. Jan popłynął do Jersey, ale gdy nikt nie pośpieszył za nim, wrócił rozwścieczony, przeklinając dzień i godzinę, gdy zgodził się na pokój. - Oxton się uśmiechnął. - Twierdzi, że został oszukany.

Tre roześmiał się cicho, a Guy mu zawtórował.

- W takim razie, sytuacja dojrzała do działania.

- Tak, milordzie, jeśli się pośpieszysz. - Oxton westchnął głęboko i wymienił spojrzenia z Creightonem, po czym uśmiechnął się z przymusem. - Stoimy za tobą, wraz z Adamem de Lincoln, sir Walterem Foliot i Thomasem de Gray. Przysięgniemy, że lord Dunham kłamie, spiskując, by osiągnąć własne cele. Walter z Gedling nie jest lojalny, rzuci Gaudeta andegaweńskiemu wilkowi na pożarcie, gdy tylko spostrzeże, że jest przyparty do muru. Wystarczy pozbyć się Gaudeta, a zaszachujemy Dunhama.

- Musimy się pośpieszyć i wykorzystać sytuację, podczas gdy król wybrał się na północ ze swymi najemnikami i zagranicznym gościem, by przywołać do posłuszeństwa buntowników z północy - mruknął Creighton.

- Tak - zgodził się Oxtan. - Ale najpierw zajmijmy się Gaudetem. - Rzucił okiem na Tre. - Rada Baronów ma się zebrać za dwa dni. Jesteśmy gotowi pomóc. Wystarczy jedno słowo.

- Jestem gotów, panowie. - Tre spojrzął na Guya i zobaczył w jego oczach wyraz niecierpliwego oczekiwania.

Zamek Nottingham górował nad miastem. Wyniosłe mury fortecy stanowiły doskonałą zaporę. Tre siedział wraz z Guyem w Zajeździe Pielgrzymów, poniżej warowni, i czekał, popijając piwo z wielkiego cynowego kufła z pokrywką. Czy Oliver dostał jego wiadomość? Czy kapitan zechce udzielić mu pomocy? Wkrótce się przekona.

Obok niego Guy poruszył się niecierpliwie, wymamrotał coś o zwłóce, która działa na nerwy. Rozległ się szcęk żelaza o kamień. To dwóch ludzi w barwach Gaudeta bawiło się pierścieniem, służącym do kółkowania byka. Pierścień zwiślał na końcu długiej liny, przymocowanej do sklepienia. Mocno rzucony, zmierzał do celu umieszczonego na ścianie.

- Przyłącz się do gry - powiedział Tre i uśmiechnął się na widok niepewnej miny Guya.

Jeden z żołnierzy właśnie rzucił pierścień, który wzleciał w powietrze i musnął byczy róg, wystający z drewnianej klamry przymocowanej do ściany. Zadźwięczała rzucona moneta i drugi mężczyzna podszedł, by rzucić pierścień. Już przy pierwszej próbie, kółko nadziało się na róg.

Obok strażnicy znajdowało się tylne pomieszczenie, usytuowane za naturalnym kominem skalnym. Do wyłobionego przez czas i ludzi korytarza, który łączył się z siecią pieczar, prowadziło sekretne wejście.

- Zajmij ich jakoś - mruknął Tre - a potem wróć do nas.

Guy skinął głową. Podniósł się z ławki i podszedł do grających. Przebrany w strój leśnego człowieka, nie budził

podejrzeń. Nie miał przy sobie rzucającej się w oczy broni, tylko przypasany do pasa sztylet.

Przyłączył się do gry, pyszniąc się swoją rzekomą zręcznością. Korzystając z nieuwagi strażników, Tre przemknął przez strażnicę i obszedł szorstką skałę w formie komina. Otoczyła go ciemność. Tre pomacał dłonią powierzchnię muru i natrafił na klamkę drzwi, otworzył je i wszedł do środka.

Z korytarza dobiegały odgłosy umykających szczurów. Tre czekał, dysząc z niecierpliwości. Wszystko zależało od tego, czy uda mu się pokonać Gaudeta. Jeśli nie, straci wszystko.

Pomyślał o Jane, bezpiecznej w Lesie Sherwood. Przynajmniej na razie. Jeżeli mu się nie uda, Oxton zadba o jej bezpieczeństwo.

Zajmą się nią, milordzie - obiecał Gilbert ze spokojną godnością. - Już od dawna... podziwiam tą damą.

Na myśl o tym, że Gilbert zaopiekuje się Jane, Tre odczuwał ulgę.

W końcu rozległo się skrzypnięcie drzwi i do środka wślizgnął się Guy.

- Przegrałem wszystko co do grosza - mruknął i zamknął za sobą drzwi. Ogarnęła ich ciemność.

Szli, macając ściany, w poszukiwaniu przejść, które dziurawiły skałę. Pod stopami mieli strome zbocze. Pod podeszwami butów zgrzytał żwir.

W końcu pojawiło się światło. Szare i wytęsknione. Trafili do wieży. Tre spojrzął na Guya.

- Sprawdźmy, czy uda się nam stąd wyjść przed zachodem słońca - powiedział cicho i uśmiechnął się, słysząc przekleństwo Guya.

Dziedziniec był dziwnie opuszczony. Na murach stali strażnicy, lecz w pobliżu królewskich apartamentów panował spokój. Wraz z królem odjechał jego liczny dwór, pozostawiając za sobą upragnioną ciszę.

Ruszyli wzdłuż murów, trzymając się cienia, lecz zachowując

się swobodnie, aby nie wzbudzić podejrzeń. Stromymi schodami zeszedli na środkowy podwórzec.

Spostrzegli stróżówkę, ciemną przeszkodę na ich drodze. Jeżeli Oliver rozsądnie wybrał własne bezpieczeństwo i zrezygnował z udziału w eskapadzie, nie wydostaną się stąd.

Z cienia wyłonił się strażnik z piką.

- Oliver - szepnął Tre i mężczyzna skinął głową, ustępując im z drogi, aby mogli wejść na środkowy podwórzec i do głównego holu.

Oliver nie zawiódł. Teraz wszystko powinno się udać...

Oliver wyszedł z niszy obok holu.

- Wasze miecze, milordzie.

Tre spojrzął w oczy kapitana i odebrał broń.

- Jeżeli w końcu zwyciężę, Oliverze, znajdziesz u mnie podziw i bezpieczeństwo.

- Moja żona bardzo się z tego ucieszy, milordzie - odparł kapitan. - Kate marzy o spokojnym życiu na wsi.

- On ci wcale nie obiecuje spokojnego życia, Oliverze - roześmiał się Guy, przypasując swój miecz. - Lecz długą walkę, zanim nadejdzie dzień zwycięstwa.

- Tak się toczy nasz świat, sir Guy. Człowiek musi sobie zapracować na nagrodę.

- Chodźmy zażądać naszej nagrody od Gaudeta - powiedział Tre ważąc miecz w dłoni.

Hol był zatłoczony. Przybyli liczni baronowie, by wziąć udział w radzie. Towarzyszili im rycerze. Tre rozpoznał ludzi Oxtona, Adama de Lincoln, Foliot i Creightona stojących pośród służby Gaudeta. Dotrzymali obietnicy, baronowie normańscy i anglosascy, połączeni, by go wspierać przeciwko wspólnym wrogom - królowi Janowi i sir Gervaise'owi Gaudetowi.

Z naciągniętymi na głowy kapturami przeciskali się przez ciżbę. Na podium przy wysokim stole zasiadali Gaudet z lordem Dunhamem z jednej strony i opatem z Croxdale z drugiej. Buława szeryfa lśniła w świątłach pochodni.

Gaudet był w swoim żywiole. Prezydował zgromadzeniu z arogancją należną mu z racji urzędu. Jaskrawa, szkarłatno-żółta tunika odcinała się od bardziej stonowanego ubioru Dunhama i skromnej sutanny opata. Na palcach Gaudeta błyskały liczne pierścienie; złoty łańcuch podzwaniał przy każdym jego ruchu. Ptak o barwnym upierzeniu, napuszony i niebezpieczny.

Baronowie rozstępowali się w milczeniu. Tre zatrzymał się przy grubej kamiennej kolumnie, poczekał, aż Gaudet skończy rozmawiać z opatem i odwróci się, by spojrzeć na zgromadzonych.

Wtedy wystąpił naprzód i przemówił głośno wśród zapadłej nagle ciszy:

- Sir Gervaise, co z oskarżeniem stwierdzającym, że spiskowałeś z baronem, aby zdefraudować królewskie skrzynie z pieniędzmi?

Gaudet zeszywniał, spojrzął na tłum, by zidentyfikować mówcę.

- Nie skierowano przeciwko mnie takiego oskarżenia. Kto to powiedział?

- Co z oskarżeniem o krzywoprzysięstwo wobec króla przeciw baronowi - mówił Tre, nie zwracając uwagi na pytanie Gaudeta - i co z fałszywym zeznaniem przeciw wdowie po baronie, aby przejąć jej dobra? Dobra, które należą także do Kościoła, a więc przestępstwo wobec ludzi i wobec Boga.

Gaudet potoczył po sali wściekłym wzrokiem. Zerwał się na nogi.

- Straże! Znajdźcie mi tego człowieka!

Tre odsunął się od kolumny, przeszedł przez tłum i stanął przy podium. Guy postępował za nim. Strażnicy przepychali się przez stłoczonych mężczyzn, torując sobie drogę pikami. Ściągali na siebie przekleństwa i gniewne spojrzenia.

Oxton uniósł dłoń, by zwrócić na siebie uwagę Gaudeta.

- Co z tymi oskarżeniami, lordzie szeryfie? Czy są ważne?

- Kłamstwa! Podstępne kłamstwa, rzucane przez człowieka, który jest zbyt tchórzliwy, by się pokazać mnie i wam...

Niestrudzony Oxton ciągnął dalej:

- Jednak przypominam sobie, że poprzedni szeryf, baron z urodzenia i inwestytury, został pozbawiony swych praw do rozprawy przed sędzią najwyższym i przed radą.

- Lordzie Oxton. - Dunham pochylił się nad stołem. Jego oczy lśniły niebezpiecznie. - Zawodzi cię pamięć. To było tutaj i Devaux zrezygnował ze swych praw, zgadzając się na pojedynek.

- Nie, lordzie Dunham - powiedział Creighton stanowczym tonem, wznoszącym się ponad hałasy czynione przez strażników, przepychających się przez hol. - Nie było tak, jak mówisz. Było nas wtedy tutaj wielu i dobrze pamiętamy, że król odmówił lordowi Devaux prawa do rozprawy przed sędzią najwyższym. Podobnie było z lady Neville, wdową, której dożywcotnie dobra oddano Kościołowi pomimo sprzeciwu króla.

Zaniepokojony opat zwrócił się do Dunhama i Gaudeta:

- Czy to prawda? Nalegam, by na te oskarżenia odpowiedziano bardziej szczegółowo...

- Nie daj się zwieść oskarżeniom dwojga ludzi, którzy walczą o własne interesy - warknął Gaudet. - Wszyscy wiedzą, że Gilbert z Oxton ma chrapkę na wdowę, choć zadaje się ona z rozbójnikami z Sherwood. Jej wujem był Robin Hood, co stanowi kiepską rekomendację dla jej charakteru.

Tre stał w milczeniu i czekał na odpowiednią chwilę; opat rozważał oskarżenia i przeciwoskarżenia, a wśród baronów narastały różnice zdań. Jeszcze jedna zwaśniona rada. Z tego, co widział, normalny bieg spraw.

Stojący za stołem Gaudet z bezsilną złością spoglądał na baronów. Stało się oczywiste, że fala niezadowolenia obróciła się przeciwko niemu. Anglosascy baronowie zjednoczyli się z normańskimi we wspólnej sprawie, która zagrażała ich osobistej i politycznej sytuacji. Jeżeli król może odrzucić

autorytet Kościoła, skazując jednego normańskiego barona, to samo może się przytrafić każdemu innemu baronowi, który zasłużył sobie na królewskie niezadowolenie.

- *Merdel* - zaklął Guy i Tre powiódł oczami za jego wzrokiem.

Zanim któryś z nich zdążył się poruszyć, rozległ się czysty kobiecy głos:

- Lordowie! Przynoszę dowód w tej sprawie!

Gaudet i Dunham odwrócili się, na ich twarzach pojawił się wyraz niedowierzania. Sir Gervaise opanował się pierwszy i wydał rozkaz wyprowadzenia damy z holu. Lecz opat zaprotestował.

- Proszę podejść, milady, i przedstawić się nam, zanim podzielisz się dowodem.

Tre poczuł, że Guy zeszywniał. I znał tego przyczynę.

Lady przepchała się przez tłum i, niespieszona spojrzeniami, stanęła obok podium. Piękną główkę trzymała wysoko.

- Jestem lady Dunham, żona Waltera z Gedling, lorda Dunhama, siedzącego teraz u boku szeryfa. Monseigneur, przynoszę dowód i skargę, i proszę o łaskę.

- Przedstaw je, milady. - Opat uciszył Gaudeta, który usiłował protestować. - Jest to sprawa Kościoła i Korony, ponieważ dotyczy ziem aktem prawnym oddanych Kościołowi. Radzę wysłuchać mojej rady, sir Gervaise, i nie przeszkadzać mi w wysłuchaniu damy.

Tre patrzył niedowierzająco, jak Lissa podaje opatowi złożony pergamin, będący, jak powiedziała, podpisanym i noszącym pieczęć dowodem spisku jej męża i Gaudeta. Nie spojrziała na męża, podczas gdy on wpatrywał się w nią groźnym wzrokiem.

Opat zakończył czytanie i zwrócił się do damy:

- Świadczy pani przeciwko mężowi?

- Błagam Kościół, by przyszedł mi w sukurs, monseigneur. Proszę o przywilej wstąpienia do klasztoru, w zamian za moje

posażne ziemie. Szukam schronienia przed mężem, człowiekiem brutalnym, pozbawionym honoru i zdrajcą korony i Kościoła.

Było to dobrze zaplanowane przemówienie. Tre usłyszała, jak Guy westchnął gwałtownie, gdy opat zgodził się, by wstąpiła do zakonu. Kościół nie odmawiał przyjęcia hojnych darów w zamian za przyjęcie za mury zakonu. Nieszczęsna dama. Może odnajdzie wyteśniony spokój, modląc się, zamiast kłócić.

- Zadecydowaliśmy - przemówił opat - aby sprawa lorda Devaux została rozpatrzona. Odrzucam skierowane przeciwko niemu oskarżenia i kieruję sprawę do Rady Baronów, aby zadecydowali, czy ma ją rozpatrzyć sędzia najwyższy w terminie dla wszystkich dogodnym.

Gaudet i Dunham milczeli. W końcu anglosaski baron skłonił głowę akceptująco, choć jego oczy zalśniły złośliwie.

- Będzie tak, jak sobie życzysz, monseigneur.

Gaudet nie poddał się tak łatwo, ale szybka odpowiedź Dunhama zamknęła mu usta. Baronowie zaczęli głosować. Gilbert z Oxtton odnalazł Tre wśród kłócących się mężów.

- Załatwione, milordzie. Żaden sędzia cię nie oskarży. Nie ma dowodu winy, skoro baronowie są gotowi przysiąc, że jesteś niewinny.

Tre skinął głową.

- Teraz walczymy ze wspólnym wrogiem, lordzie Oxtton, chociaż przedtem walczyliśmy przeciwko sobie. Normanowie przeciw Anglosasom.

Oxtton uśmiechnął się lekko.

- Tak, wszystko zmieniło się ze względu na twoją damę. - Zamilkł i dodał cicho: - Gdybym nie zobaczył na własne oczy twej pogardy dla króla, nawet w obliczu śmierci za uwolnienie Jane, sądziłbym, że nie jesteś jej wart.

Tre nie miał na to odpowiedzi, więc stał w milczeniu, dopóki Oxtton nie odszedł. Zauważył, że Guy podchodzi do lady Dunham i coś do niej mówi. Rada zakończyła dyskusję.

Już po wszystkim. Obeszło się bez przelewu krwi. Zbyt łatwo...

Oczekiwał walki. Krew pulsowała żywo, podniecenie ścisnęło żołądek. Czuł przy lewym udzie dotyk miecza. Pod prostym ubraniem człowieka lasu ukrywał skórzaną kolczugę. Obeszło się bez miecza i kolczugi.

Odwrocił się na pięcie i ruszył w kierunku dwuskrzydłowych drzwi w przeciwnym końcu holu. Spozrzegł tam kapitana Olivera. Jego sylwetka przypomniła mu o długu wdzięczności. Jeden z ludzi Gaudeta zasadził się na niego przy Wielkim Trakcie Królewskim i omal go nie zabił, wyrzynając większość oddziału Olivera. Kapitanowi udało się jednak przestać do Tre umyślnego z ostrzeżeniem.

W Brayeton i innych dobrach przyda się taki człowiek. W zamkach potrzebni są kasztelani, odpowiedzialni ludzie, którzy zawiadują zamkami w czasie nieobecności właściciela. Walka z królem jeszcze się nie zakończyła. Jan nie zaprzestanie wojen i waśni, już taką ma naturę. Zawsze złośliwy, zawsze zachłanny. Niewielka nadzieja, że powstrzymają go edykty prawne lub kościelne.

Bezpieczeństwo zależało od umiejętności chronienia własnych dóbr. Tym razem nie powtórzy tego samego błędu.

Dotarł do drzwi, lecz Oliver zniknął. Oślepiiony jaskrawym światłem słonecznym Tre przystanął, mrugając. Sierpień ustąpił miejsca wczesnemu wrześniowi, ale dni nadal były ciepłe. Od fosy niósł się zatęchły odór, którego wcześniej nie odczuwał, zbyt zajęty obowiązkami szeryfa.

Napięcie zaczęło słabnąć. Pomyślał o Jane. Czekając na zebranie się najwyższej rady sądowej, wysłał wiadomość do Jane, aby się nie niepokoila. Od czasu, gdy ją opuścił, minęły trzy dni. Teraz, uwolniony od napięcia, mógł się przyznać do tego, nad czym nie miał czasu się zastanowić. Naprawdę ją kochał.

Odnalazł nowe emocje. Czekają go nowe życie, u boku kobiety o wielkiej odwadze...

- Milordzie!

Uniósł gwałtownie głowę, mrużąc oczy. Spozstrzegł błysk światła odbitego przez metal i uskoczył w bok. Świst miecza wywołał natychmiastową reakcję. Bez namysłu wyjął z pochwy swój miecz, poczuł w dłoni dobrze znaną rękojeść i odwrócił się, by odeprzeć zagrożenie.

Oślepiiony światłem, kierował się instynktem. Miecze zwały się, metal głośno zadźwięczał. Rozległy się krzyki. Obejrzał się i z trudem utrzymując równowagę, wskoczył na strome stopnie, które prowadziły z holu na dziedziniec.

Zaciekle pchnięcia miecza, atak i obrona. Musiał uważać, by nie spaść ze schodów. Rozpoznał już swego adwersaży. Szkarłat i żółć. Na szyi Gaudeta nie było już złotego łańcucha; na palcach nie miał pierścieni. Przybył tu, by walczyć.

Choć lubiący zbytek, Gaudet był doskonałym przeciwnikiem. Walczył podstępnie i złośliwie. Lecz ktoś ostrzegł Tre okrzykiem - *Oliver?* - i Gaudet, straciwszy przewagę wynikającą z zaskoczenia, nacierał z furją, zmuszając do wspinania się na strome schody, co groziło upadkiem.

Tre z radością powitał niebezpieczeństwo i napięcie. Koniec poczucia, że ominęła go oczekiwana walka. Oto znalazł się oko w oko z mężczyzną, który deklarował się jako jego wróg.

Gaudet ruszył naprzód i natarł, trzymając miecz oburącz. Potężny cios, którym odrąbałby głowę Tre, gdyby ten na czas go nie spostrzegł. Ostra klinga przecięła luźny rękaw lnianej koszuli, pozostawiając purpurową smugę krwi. Piekący ból pobudził Tre do walki.

Zanim Gaudet odzyskał równowagę, Trę zaatakował wściekłe. Usłyszał brzęk miecza na kolczudze pod szkarłatną tuniką i poczuł, jak ostrze ześlizguje się z metalu, nie uszkodzwszy ciała. Uwolniwszy miecz z tkaniny i metalowych kółek, zamachnął się znów i runął naprzód.

Zaskoczył Gaudeta, który cofnął się o krok. Jego stopa nie trafiła na stopień; zachwiał się, zdekoncentrował. Tre tylko na to czekał... potężne uderzenie miecza, błysk słońca na śmier-

cionośnym ostrzu, spodziewany wstrząs, gdy ostrze przebiło tunikę, kolczugę, ciało i żebro.

Skrwawione palce ściskające miecz; w oczach Gaudeta błysnęło światło zrozumienia. Z ust wydobyła się czerwona bańka, smuga krwi spłynęła po złotawym zaroście na brodzie.

- Bądź przeklęty, Devaux! - krzyknął Gaudet.

Tre wyszarpnął miecz; Gaudet runął ze schodów na kocie łby dziedzińca.

Tre stał ze wzniesionym mieczem. Gorąca krew pulsowała mu w uszach. Powoli docierał do niego wzrastający tumult. Uniósł głowę i zobaczył Olivera. W drzwiach ukazał się Guy. Z tyłu rozległ się znajomy dźwięk rogu. Obejrzał się i zobaczył lśniące w słońcu chorągwie i powiewające na wietrze złoto - szkarłatne proporce.

Obwieszczały przybycie króla.

To wchodzi w zakres królewskiej jurysdykcji. Nie leży w gestii Kościoła.

Harde słowa Jana nie ułagodziły opata.

- Sprawa została przedstawiona Radzie Baronów, panie. A teraz rozpatrzy ją sędzia najwyższy - odparł.

Prawdziwy koszmar. Guy słuchał przejęty. Wydarzenia dnia i przedwczesny powrót króla przyprawiły go o zawrót głowy. Tre został ujęty przez ludzi króla i ponownie aresztowany.

- Nie mam na to czasu! - wściekał się Jan. - Jestem w opactwach. Otaczają mnie zbuntowani baronowie i rozjątrzony kler! - Opat wzdrygnął się na te obraźliwe słowa, a król przemierzył wielkimi krokami posypaną sitowiem podłogę. - Gilbert - warknął Jan, zwracając się do oczekującego w stałym pogotowiu zarządcy dworu - czy bramy są zamknięte?

- Tak, panie. Zgodnie z rozkazem.

Zebrani w holu zaniepokoiли się. Król był w niebezpiecznym nastroju.

- I co powiesz, Devaux? - zwrócił się do Tre. - Jesteś oskarżony o zamordowanie królewskiego urzędnika.

Okrwawiony, skuty łańcuchami, Tre wytrzymał spojrzenie króla.

- Zostałem zaatakowany od tyłu, panie. Każdy z tutaj obecnych poświadczy moje słowa.

Król tylko machnął ręką lekceważąco, po czym podszedł do podium i chwycił puchar z winem.

- To nie ma znaczenia. Ta zbrodnia podlega mojej jurysdykcji. Opat chrząknął.

- Devaux jest baronem, wasza królewska mość. Powinien być sądzony przez radę nawet za takie przestępstwo.

Król uciszył opata wzrokiem. Guy zacisnął dłoń na rękojeści miecza; byli tak bliscy zwycięstwa... tak bliscy. Świadcstwo Lissy skierowane przeciw mężowi sprawiło, że dotychczas nieprzekonani baronowie przeszli na ich stronę. A teraz ten przeklęty andegaweński pomiot wszystko niweczy.

Guy, z ciężkim sercem, wycofał się w głąb holu, dalej od króla i chaosu. Musi zaczerpnąć świeżego powietrza, inaczej skompromituje się w obliczu zebranych baronów i królewskich straży.

Ktoś szarpnął go za rękaw i Guy zatrzymał się. Spoglądał w mrok, aż rozpoznał Liszę. Jej pobladła twarz jaśniała pod złotymi włosami i niebieskim kwefem.

- Czy opat potrafi przeciwstawić się królowi? - spytała szeptem.

- Nie. Obawiam się najgorszego.

- Chodź ze mną. - Gwałtownie pociągnęła go za rękaw.

Wyrwał się jej.

- Poprzysięgłaś wieść życie duchowe i porzucić cielesność. Nie będę...

- Głupiec! - syknęła ze złością, co z kolei rozgniewało Guya.

- Niewierne białogłowy. Oszukałaś mnie, by teraz nazywać głupcem?

- Oszukałam? Powiedziałam ci, że Walter nie pozostawił mi wyboru. - Rozejrzała się dookoła; jej oczy zalśniły w mroku. - Chodź ze mną. Nie będę tu z tobą dyskutować.

Zły i niechętny, poszedł za nią. Podwórzec był zatłoczony ludźmi króla i baronów.

Zatrzymali się przy ptaszarni królewskiej, gdzie sokoły i ich pióra wlatywały niespokojnie.

- Mów, czego ode mnie chcesz - zażądał Guy bez ogródek. - Muszę wracać, zanim król dobędzie miecza.

- Chyba żartujesz. A teraz słuchaj mnie, ty cnotliwy świętoszku. Mam dla ciebie wiadomość.

- Nie ufam żadnym przekazany przez ciebie wiadomościom.

- Nie? - Zamilkła, a potem dodała drżącym głosem: - Skoro nie kochasz swego lorda, kochaj przynajmniej swoją damę. Wiadomość pochodzi od niej.

- Nie mam żadnej damy.

- Nie? A co z damą lorda Devaux? Nie ślubowałeś mu, że będziesz jej rycerzem?

Guy zmarszczył czoło.

- Masz wiadomość od lady Jane?

- Tak. Ona mi ufa, niezależnie od tego, co ty o mnie myślisz. Och, Guy... - przerwała. - Przebac mi choć trochę. Uczyni to choćby ze względu na twego lorda.

Otoczała ją nikła woń róż. Guy wspomniał jej gładką skórę, pomyślał o tym, jak dobrze mu było w jej ramionach...

- Przekaż mi tę wiadomość - powiedział, a ona oparła mu dłoń na ramieniu i przytuliła się lekko.

Tre stał wyprostowany; każdy ruch powodował dzwonięcie łańcuchów. Król wciąż się wściekał; opat i baronowie słabo oponowali. Trudno było mu się przeciwstawić, gdy popadł w taki nastrój.

Jeszcze gorzej było zgadzać się z nim.

W holu snuł się dym z pochodni i ognia na kominku. Tre piekły oczy. Wyglądało na to, że król osiągnie swój cel. Walka się skończyła; kapryśny los oddał go w ręce króla. Przeznaczenie można opóźnić, lecz nie można mu zapobiec, tak mówił ojciec. Nie wierzył mu, aż do dziś.

Stał otoczony przez strażę. Beznamiętnie słuchał toczącego się sporu, jakby nie dotyczył jego. Myślał o swojej damie. Kiedy się dowie, będzie go opłakiwała.

Jane, pomimo swojej głupoty, naprawdę cię kochałem...

Paplaninę króla i baronów zagłuszył jakiś ostry głos w tyle holu. Zaraz potem zapadła cisza. Tre patrzył przed siebie. Spóźniony żal nie miał już sensu.

Usłyszał zbiorowe westchnienie, jakby zaszło coś ważnego.

Uniósł głowę, król już się nie wściekał.

- Jeszcze jeden cud, wasza eminencjo - powiedział kpiącym tonem. - Przenika pan przez ściany?

Tre obejrzał się i rozpoznał sutannę mężczyzny podchodzącego do podium, na którym czekał Jan z bluźnierczym uśmiechem na ustach.

- Wszedłem przez otwarte bramy, jak większość ludzi, panie. Stephen Langton, arcybiskup Canterbury. Nemezis Jana.

Tre spostrzegł Olivera i jego ludzi, którzy otoczyli straż królewską. Napotkał wzrok Guya, który skinął głową. Przypadkowe przybycie - czy to Guy otworzył bramy przed Langtonem?

Arcybiskup spojrział na Tre, a potem zwrócił się do króla:

- Ten mąż jest baronem, czy tak?

- Był - odparł Jan, mrużąc oczy. - Ośmiela się eminencja strofować mnie w związku ze świecką sprawą?

- Sprawa nie jest świecka. - Langton zlekceważył parsknięcie króla i ciągnął dalej: - Lord Devaux jest baronem. Przestrzegałem waszą królewską mość przed zemstą na baronach.

- Tak, przez całą drogę do Northampton. I teraz znowu. Nie powinien arcybiskup przebywać w Londynie? Tamtejsza rada bardziej go potrzebuje niż my tutaj.

- Gdybym tak uważał, panie, zostałbym u Świętego Pawła, zamiast uganiać za nieudolnym królem, który zasługuje na naganę.

- Zajmuje pan wysokie stanowisko, eminencjo, lecz nie

ściga pan jelenia czy bobra. Poluje pan na króla. Nie przypadamy do ziemi jak łatwa zdobycz.

- Zrezygnujesz, panie, ze zmuszania baronów do posłuszeństwa?

- Nie zrezygnujemy. Przekłęci, zbuntowali się przeciw płaceniowi hołdu i tarczowego - odparł Jan z goryczą.

Langton postąpił naprzód, omiótł wzrokiem hol zamku, komnatę tak zatłoczoną baronami, że nie dałoby się wcisnąć nawet szpilki. Podniesionym głosem człowieka nawykłego do rozkazywania, rzekł:

- Powiadam, że jeśli natychmiast nie zrezygnujesz, panie, rzucę klątwę na każdego - z wyjątkiem króla - kto weźmie udział w *militarnej ekspedycji. Jeżeli oskarżasz, panie, któregoś z baronów, wyznacz dzień na rozprawę, a odbędzie się ona. Nie przestanę ścigać króla, dopóki nie uzyskam jego obietnicy.*

Rozwścieczony Jan wreszcie ustąpił.

- Wyznaczamy dzień Wszystkich Świętych. Niechaj baronowie przybędą do sądu i odpowiedzą na oskarżenie o rebelię.

- A ten człowiek - Langton wskazał Tre - ma być natychmiast uwolniony.

- Devaux jest oskarżony o morderstwo, nie o rebelię. Nawet Kościół nie może usankcjonować nieusprawiedliwionego zabójstwa królewskiego urzędnika.

Tre nie był zaskoczony. Przebiegły Jan chwyci się każdego sposobu, by dać upust swej złości.

- Wasza eminencjo! - Grupa mężczyzn wystąpiła naprzód, ściągając na siebie uwagę króla i zainteresowanie arcybiskupa. - Jesteśmy gotowi przysiąc, że sir Gervaise Gaudet zaatakował pierwszy, na schodach do holu, i że lord Devaux był zmuszony się bronić.

Arcybiskup zwrócił się do Jana:

- Mam nadzieję, że ten dowód będzie wystarczający, panie.

Na twarzy króla odmalowały się kolejno niedowierzanie, gniew, wreszcie porażka. Zapadł się w tron za stołem i pokręcił głową.

- Jestem osaczony.

Tre westchnął, tłumiąc rosnące podniecenie. Za wcześnie... zmienne szczęście może mnie jeszcze opuścić, pomyślał.

Nawet gdy zdjęto krępujące go łańcuchy, nie pozwolił sobie na radość. Czekał, obserwował twarze, opierał się plecami o kamienną kolumnę. Dłoń świerzbiła go, by chwycić miecz. Z bronią w ręce poczułby się lepiej. Wolał zginąć, walcząc jak mężczyzna, niż z kaprysu króla.

Iluzoryczna wolność, mająca tuż poza jego zasięgiem, w jednej chwili obiecująca i odmawiająca.

Ponad głowami zebranych dostrzegł dominującą sylwetkę Małego Johna. Jego złote włosy, przesiane siwizną. W pierwszej chwili był zaskoczony, potem zatroskany. Skoro Mały John jest tutaj, gdzie się podziewa lady Jane?

Odsunął się od kolumny w pobliżu podium i wmieszał w tłum, nie zwracając uwagi na wyciągniętą rękę (Mona, który chciał doprowadzić Tre do popierających go baronów.

- Johnie z Hathersage - powiedział cicho i Mały John się obejrzał. Dobrze mu znany srogi wyraz twarzy zniknął, ustępując miejsca radości.

- Tak, milordzie?

- Gdzie jest moja dama?

John gwałtownie spowaźniał.

- Dama jest bezpieczna. Inaczej nie byłoby mnie tutaj. - Padła cicha, pełna godności odpowiedź.

Tre mu uwierzył.

- Gdzie ona jest?

John uśmiechnął się lekko, jego oczy załśniły.

- Kiedy widziałem ją po raz ostatni, stała ze strażą przytkniętą do gardła Normana. To twoja dama otworzyła bramy przed arcybiskupem.

Tre był wstrząśnięty i pełen złych przeczuc. Odetchnął głęboko.

- Zostawiłeś ją samą?

- Nie, milordzie. Zostawiłem ją w najlepszych rękach. Zapewniam, że nie grozi jej niebezpieczeństwo - tajemniczo odparł Mały John.

- Skoro nic jej nie zagraża, dlaczego nie przyszyła do holu?

- Czekaj w Oberży pod Dzwonkiem. Zdała od zamku i od króla. Wkrótce wszystko wyjaśni, milordzie.

Tre skinął głową. Nikt nie próbował go zatrzymać, gdy opuszczał hol i zamek. Zmierzchało.

Dzwony kościoła obwieszczały nieszpory. Rynek nie był zatłoczony; przejście zablokowane było końskim ścierwem, Tre obszedł je, wybierając drogę obok równie cuchnącego straganu garbarza.

Na wpół zawalona i podparta stemplami Oberża pod Dzwonkiem mieściła się przy wąskiej uliczce. Tre pchnął drzwi i wszedł do małej salki z niskim belkowanym stropem i gipsowanymi ścianami, które niegdyś były białe. Na jego widok nastała cisza, mężczyźni obejrzeli się, przerywając rozmowy. Nic dziwnego. Koszulę miał splamioną krwią, a nadgarstki otarte przez kajdany.

- Szukam damy - powiedział do nikogo w szczególności i nikt się nie odezwał ani nie poruszył

Po chwili zgrzytnęła odsuwana od stołu ławka i w mrocznej sali odezwał się znajomy głos:

- Proszę przyjąć moją pomoc, panie. Jestem dobry w odszukiwaniu dam.

Tre nawet się nie uśmiechnął; nie miał na to dość energii. Nie uśmiechnął się nawet wtedy, gdy stanęła przed nim Jane i buńczucznie wsparła ręce na biodrach. Miała na sobie kaftan z kapturem i trykoty; na ramieniu łuk, a przy boku kołczan ze strzałami.

Położył jej dłoń na karku i przyciągnął do siebie, po czym rozpaczliwie ucałował. Poczul na ustach lekkie westchnienie. Całował ją, dopóki nie pozbył się wypełniającej go pustki. W końcu znów mógł oddychać. Nie wypuszczając jej z objęć, przycisnął usta do okrywającego jej głowę kaptura.

Kiedy uniósł głowę, spostrzegł, że mężczyźni przyglądają mu się ze zdumieniem. Tylko jeden z nich uśmiechał się z aprobatą.

Jane szturchnęła Tre i odstaąpiła do tyłu, by mu się przyjrzeć.

- Wracamy do domu, sir?

- Tak, jestem gotów. - Odetchnął wonią mięty. - Jestem gotów spędzić z tobą resztę życia. Moje serce bije dla ciebie. Teraz i na zawsze. Ale ty przecież o tym wiesz.

- Wiem o tym od dawna, mój przystojny lordzie - odrzekła ze śmiechem. - Jednak długo trwało, zanim ty to zrozumiałeś.

- Niektórych trzeba przekonywać dłużej niż innych - skomentował to jasnowłosy nieznajomy, który przyglądał im się z pobłażliwym rozbawieniem.

Tre zmrużył oczy. Po minionych przeżyciach reagował szybko i gwałtownie. Chwytał rękojeść miecza i rzekł zuchwale:

- To nie pańska sprawa, sir.

- Czyżby? - Spojrzały na niego dziwnie znajome niebieskie oczy. - Nie bądź tego taki pewny, lordzie Devaux.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Jane oparła mu dłoń na ramieniu, czując napięte mięśnie.

- Milordzie, pozwól, że ci przedstawię powszechnie kochanego syna marnotrawnego, który powrócił do nas jak zza grobu. Bohater wreszcie wrócił do domu.

Mężczyzna z niedbałym wdziękiem podniósł się z ławki, wysoki i uśmiechnięty.

- Pochlebiasz mi, mała sójko. „Marnotrawny” to właściwsze słowo niż „bohater”. Gdybym był bohaterski, wróciłbym do domu na czas, by pomóc w odpieraniu Normanów. Niestety, skradłaś moją glorię własnymi wyczynami, przewyższającymi umiejętności dziewczynki, którą zapamiętałem z przeszłości.

- Wtedy byłem dzieckiem. Teraz jestem kobietą.

- Widzę. - Niebieskie oczy spojrzały na Tre szacująco. - Kobieta dla jedynego, wartego jej mężczyzny.

Tre domyślił się prawdy, zanim Jane powiedziała:

- Przedstawiam ci mojego wuja, Roberta Locksley. Hrabiego z Huntington.

Lockley uniósł brew; załśniły jasne włosy. Czas i podróże naznaczyły jego twarz zmarszczkami, ale poruszał się jak młodzieniec. Niebieskie, uśmiechnięte oczy spoglądały na Tre, który powiedział cicho:

- Robin Hood.

CZEŚĆ CZWARTA

**BARNSDALE
W LESIE SHERWOOD
ZAMEK HUNTINGTON
20 grudnia 1213 r.**

Z zamku Huntington pozostał jedynie zrujnowany szkielet; okna, podobne do pustych oczodołów, spoglądały na otaczający las. Porośnięte winem i bluszczem mury odcinały się płowym brązem od zieleni liści.

- Król odrestaurował pałac w Clipston, używając budulca z mego zamku - powiedział hrabia z niesmakiem, wskazując na niegdyś elegancką posiadłość.

Jane skinęła głową. Bolesny powrót po wielu latach, wizyta złożona resztkom ze szczęśliwszych czasów, wspomnieniom drzemiącym w ciemnych szczelinach dębowej wykładziny. Pozbawiony dachu, otwarty dla zwierząt leśnych, Huntington niczym nie przypominał wielkiej warowni, jaką był przed łąty.

Jeszcze boleśniejszy był widok Robina, przyglądającego się pozostałościom dawnej świetności. Na widok zniszczeń, stracił wszelką nadzieję.

- Odbudujesz go, Robinie? - spytała Jane, wrywając go z zamyślenia.

Uśmiechnął się słabo i wzruszył ramieniem.

- Nie mam dość grosza, by wybudować choćby oborę.

- Co z obietnicą króla, że pokryje szkody poniesione przez baronów, którym wyrządził krzywdy? Czy to nie wystarczy na odbudowę Huntington?

- Wystarczyłoby, ale ugoda wciąż jest odkładana. Po dniu Wszystkich Świętych odbyły się jeszcze dwa spotkania. - Robin zawahał się i pokręcił głową, po czym westchnął ciężko. - Złożyłem petycję. Kłątwa nie zostanie zdjęta do czasu zawarcia porozumienia. Anglia jest pozbawiona aprobaty boskiej, zdana na kaprysy króla Jana.

Wiatr rozwiął złote włosy Robina, ukazując nową dla Jane siwiznę. Był teraz nieco inny, niż zachowała go w swych dziewczęcych wspomnieniach. Oto mężczyzna, który wiedziony przez demony, stał się sławny walecznością i szaleństwem. Szlachetny, waleczny, rycerski, jak wielu innych śmiertelników; teraz podziwiała go jeszcze bardziej niż wtedy, doceniając wielkość jego ducha, która kazała mu tak ryzykować.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- W Ravenshed zawsze jest dla ciebie miejsce. Moja matka pragnęłaby, byś tam zamieszkał.

- Ach, słodka Clorinda. - Pokiwał głową. - Wciąż wspomnam ją i czasy spędzone w Sherwood. - Uśmiech rozjaśnił mu twarz. - Opowiadała *ci* kiedyś o tym, jak schowaliśmy się przed szeryfem w dziupli Dębu Kogucie Pióro? Przejechał obok nas. Clorinda ostrzegawczo trafiła strzałą w jego szkatułkę z pieniędzmi z podatków. Koń szeryfa popędził drogą, a Hugh Bardulf przywarł do jego szyi jak rzep.

- Moja matka strzeliła z łuku do szeryfa?

Robin uniósł przyprószoną siwizną brwi.

- Ano, co w tym dziwnego? Czy Alan nigdy nie śpiewa o tamtych czasach, mała sójko? O pięknej Clorindzie, łuczniczce lepszej niż niejeden mąż, a według niektórych dorównującej nawet samemu Robin Hoodowi?

- Nie. Nigdy. - Jane wpatrywała się w wuja. Pamiętała jedynie gniewne protesty matki, która nie godziła się, by jej jedyna córka uczyła się strzelać z łuku. Robin nalegał ze śmiechem. - Nikt mi o tym nie powiedział.

- No, cóż. Kiedy poznała twego ojca, chciała mu się przy-

podobać. Chciała, aby wszyscy zapomnieli, że nosiła kaftan i trykoty i zbójowała z resztą bandy. Myślałem jednak, że teraz ktoś ci o tym opowiedział. - Spojrzał na nią; dobre oczy, wielkie serce, dar prawdy, który wreszcie jej oferowano. - Masz jej zręczność i nieustraszone serce. Kiedy czegoś zapragnęła, nigdy nie ustępowała. Ty jesteś taka sama.

To jej o czymś przypomniało.

Tre znów odjechał, powrócił na północ do Brayeton, pozostawiając ją pod opieką Robina. Pełne obaw noce ciągnęły się bez końca. Pojechał odzyskać tytuł i dobra, ale czy wróci po nią?

Westchnęła. Powietrze pachniało śniegiem. Skubnęła zamrożone wątrobiane ziele, porastające zrujnowane mury; pokruszyło się w palcach.

- Robi się późno - rzekł Robin. - Dena będzie się niepokoić, jeżeli nie wrócimy przed zmrokiem. I Marian będzie się gniewać, że tak długo nas nie ma.

Jane nawiedzały niewypowiedziane wątpliwości, mącąc jej spokój ducha. Mogło się zdarzyć wszystko. Król nie wyleczył się z nienawiści do Tre. No i był jeszcze Pełł Ewing, hrabia z Welburn, który spowodował śmierć Aimee. Jeżeli Tre zechce szukać zemsty, doprowadzi do katastrofy. W najlepszym razie znów utraci dobra, w najgorszym, straci życie.

- Sójko, on nie jest głupcem - odezwał się Robin, zupełnie jakby czytał w jej czarnych myślach. Król, niczym jego sokoły, czyha na najmniejszą omyłkę. Devaux o tym wie. Nie będzie ryzykował po to, żeby się mścić.

- To go zżera, Robinie.

- Tak. Kiedy przez lata siedziałem w arabskim więzieniu, czułem to samo. Zemsta, nienawiść, wściekłość: niepotrzebne emocje. Niszczą człowieka, a nie przynoszą ulgi. Wolność przychodzi z porzuceniem pustych uprzedzeń. - Obejrzał się i wskazał na ruiny zamku Huntington. - Zrujnowany, ale ja go nie opłakuję. Mogę odbudować inne marzenia i stać się dzięki temu bogatszy. Hrabia czy rozbójnik, nie sprawia mi

różnicy, sójko. Mam teraz coś, czego nikt mi nie może odebrać, coś z trudem wypracowanego przez ostatnie lata. Pogodę ducha. Potrzebną zarówno w ogniu walki, jak i w leśnej ciszy.

Jane milczała. Robin uniósł jej brodę i spojrzął w oczy.

- Zaufaj mu.

Zaufaj mu... Cóż z tego, że ufam Tre, skoro nie ufam królowi ani losowi.

Opuściwszy Bransdale, udali się na północ, poprzez gęste las. Szare światło słabło. Mknąc wśród zimowego krajobrazu, szybko pozostawili za sobą Goosedale i Longdale.

Czekało ich Ravenshed z dobrze znanymi światłami na murach. Przemarznięta i oprószona śniegiem Jane zsiadła z konia, powitała Fiskina skinieniem głowy i oddała mu lejce.

- Mróz rośnie, milady - powiedział Fiskin. - Mamy gości.

Ciekawość ustąpiła niedowierzaniu. Rozejrzała się i spostrzegła niezwykle poruszenie: przy stajniach uwijali się okutani przed zimnem mężczyźni.

- Kto to jest, Fiskin?

Lecz Fiskin był już przy Robinie, pochlebiając słynnemu zbójnikowi. Jane stłumiła westchnienie. Schyliwszy głowę przed wiatrem, weszła po stopniach wiodących do holu.

Otworzyła drzwi i owionęło ją ciepłe powietrze, pachnące ziołami i wygodą. Dena utyskiwała, odbierając od niej opończę i otrzepując z niej śnieg.

- Proszę usiąść przy ogniu, milady. Lady Marian czeka na panią.

Marian. Wciąż piękna, wciąż elegancka, posiadająca tę samą pogodę ducha, o której mówił Robin. Lata spędzone w klasztorze pogłębiły jej wiarę, uchroniły przed ciosami życia i dodały wdzięku. Jane nieomal jej tego zazdrościła.

- Nie przemęczaj się, Deno - powiedziała, pozwalając się prowadzić. Daremnie. Dena nie słuchała żadnych napomnień i wypełniała swoje dawne obowiązki, jakby wciąż była służącą. Mimo słabego ciała, była silna duchem i to ją trzymało przy życiu.

Jane rozpoznała opasłą postać na ławie przy kominku, usłyszała śmiech i przyspieszyła kroku.

- Tuck! I Mały John, wszyscy tutaj!

Wstali. Tuck, John, Will i Alan z Dolin, z nieodłączną lutnią w dłoni.

- Zbliży się *Christes Masse* - powiedział Tuck ze śmiechem. - W tym roku mam celebrować Pasterkę w Blidwort. - Chyba nie sądziliście, że nie wpadnę z wizytą, będąc tak blisko?

Enid i Dena przyniosły następną tacę z korzennym winem. Płonące na kominku drwa, dymiły i sypały iskrami. Zebrani przy ogniu podróżni grzali się w ich ciepłe. Na pobielonych wapnem ścianach tańczyły złociste i szare cienie. Alan nastroił lutnię i ku uciechu zebranych zaśpiewał pieśń o słynnym, wyjętym spod prawa, hrabim i jego pięknej damie.

Świece paliły się spokojnym płomieniem, lampy syczały, w miarę jak skracały się ich knoty. Nagle płomień pochylił się w przeciagu. Pies uniósł głowę i spojrzał w przeciwległy koniec holu. Wstał i zaszczekał śpiewnie.

Jane podniosła się z ławki, mężczyźni zastygli, zaalarmowani.

- Wesoła kompania - odezwał się kpiący głos. - Hałaśliwa jak stado kawek i równie przykra dla uszu.

Zalśniły złote włosy, błysnęła stal i z mroku wychynęła znana postać rycerza.

- Zawstydzasz nas, sir Guy - powiedział Robin ze śmiechem. - Alan będzie niepoczyszony.

Wokół Jane rozbrzmiewały wesołe powitania, lecz ona stała nieruchomo, czekając, i serce podeszło jej aż do gardła. Za Guyem poruszył się drugi cień, wystąpił z mroku. Jane podbiegła po trzeszczącym sitowiu.

Tre schwylił ją w objęcia. Tulił ją mocno. Pachniał wiatrem i śniegiem. Jego twarz była zimna, a oddech gorący.

Obydwoje milczeli; wystarczał im uścisk. Czuła jego mocne mięśnie. Uniósł głowę Jane, by na niego spojrzeć. Patrzyła na

jego uśmiech i czuła bolesny ucisk w piersi. Przepętniały ją ulga, radość i miłość, których nie potrafiła wyrazić słowami.

- Oto wróciłeś, milordzie - powiedziała wreszcie i pogładziła go po policzku. - Brakowało nam ciebie.

- Naprawdę? - zapytał cicho i intymnie. - Dobrze znowu być tutaj.

- Tak bardzo chciałam cię zobaczyć...

Przycisnął jej dłoń do swego policzka.

- Przywożę wiadomość od twojej kuzynki.

- Co z Lissą? Czy...

- Ma się dobrze. - Tre zerknął na Guya. - Prosiła, by przekazać, że poszukuje spokoju, o którym jej mówiłaś.

Bolesne wspomnienie, nieszczęsna twarz Lissy.

- Modliłam się, by go odnalazła, choć nie sądziłam, że będzie go szukać w klasztorze.

- Tam jest bezpieczna poza zasięgiem Dunhama. - Oczy Tre zaszyły mgłą. Znow spojrzał na Guya. - Myślę, że uciekła nie tylko przed mężem.

Jane zrozumiała. Choć Guy śmiał się i żartował, czuło się w nim pustkę, jakby cierpiał z powodu jakiejś wielkiej straty. Możliwe, że Lissa znaczyła dla niego więcej, niż okazywał.

- Pozwól nam go powitać, milady - powiedział Tuck, podchodząc do Tre. - Zanim zupełnie się zestarzejemy.

- Za późno na to, Bracie Tuck. - Tre spojrzał na niego z uśmiechem. - Ale nie jest za późno na wieści, które przynoszę.

- Chodź tutaj, usiądź przy ogniu - zaprosił go Robin. - I opowiadaj.

Nie przestając obejmować Jane, Tre podszedł do kominka, rzucił opończę i przyjął kielich gorącego wina z korzeniami. W powietrzu uniosła się woń imbiru i cynamonu, mocna i kusząca.

Jane przyglądała mu się niespokojnie, sprawdzając, czy nie jest ranny, lecz nie spostrzegła żadnych nowych obrażeń. Szybki rzut oka na Guya upewnił ją, że obydwaj są zdrowi i cali. Napięcie minęło.

Tre skinął głową, pozdrawiając zbójników, których jeszcze niedawno ścigał z ponurą determinacją.

- Jan zgodził się w końcu zapłacić to, co jest winien. Do oszacowania szkód, które król ma zrekompensować pokrzywdzonym baronom, powołane zostały dwie grupy komisarzy; jedna przez Koronę, druga przez papieża.

Lady Marian zachłysnęła się powietrzem i spojrzała na Robina wzrokiem pełnym nadziei.

- Robinie! Będziesz mógł odbudować Huntington!

- Tak. Na to wygląda. A co z tobą, lordzie Devaux? Twoje dobra są bezpieczne?

- Tak. Do naszego powrotu Brayeton jest pod opieką kapitana Olivera. Jest świetnym kasztelanem. A Gill doskonałym doradcą. - Zamilkł i spojrzał na Guya. - Jedną z posiadłości obiecałem memu lojalnemu rycerzowi, z wdzięczności za jego służbę. Oto Guy de Beaufort, lord z Ravenscar.

Guy przyjął to pasowanie poważnym skinieniem głowy, lecz piwne oczy załśniły, gdy rzekł z sardonicznym uśmiechem:

- Lord Devaux mówi o wdzięczności, a darowuje mi ziemię, o których utrzymanie będę musiał walczyć z królem. Po prostu chce mieć jeszcze jednego sprzymierzeńca wśród baronów z północy.

- A będziesz walczył z królem, gdy nadejdzie taka potrzeba, lordzie Ravenscar? - zapytał Robin lekkim, lecz znaczącym tonem.

- Tak, jeśli zaistnieje potrzeba, będę walczył. - Zamilkł, po czym dodał cicho: - Król nie zaprzestał represji. Okazał wżgardę baronom i krajowi, przywracając łaski ludziom, którzy złamali prawo. Eustace de Lowdham znów został szeryfem Nottingham. FitzWalter i de Vesci odzyskali swoje dobra. Karta Wolności uchwalona przez króla Henryka nie jest przestrzegana, a arcybiskup boi się mu sprzeciwić. Bez buntu się nie obejdzie, możecie być pewni.

- Tak - powiedział Tre ponuro. - Niektórzy już się zbun-

towali. Niewierni suzereni wiele ryzykują, podejmując przedwczesne działania. Jan czeka na pomyłkę, jak sokół na zdobycz.

W powietrzu zawisło niezadane pytanie. Jane czekała w napięciu, aby temat został poruszony. Mszcząc się na Welburnie, Tre mógł utracić swoją niepewną pozycję.

Tre spojrział na Jane spod przymrużonych powiek.

- Mam nowego suzerena - powiedział.

Wiadomość powitano milczeniem. Serce Jane zamarło. Pokój osiągnięty z takim trudem znowu zniszczony. Król znalazł sobie nowe narzędzie prześladowania Tre.

Zacisnęła pięści tak mocno, aż pobieleły jej knykcie. Słyszała słowa Tre, jakby docierały z bardzo daleka.

- Zbyt długo planowałem zemstę. Oddychałem nią. Żyłem nią. Stała się dla mnie wodą i powietrzem. Pragnąłem zabić Ewinga za śmierć, którą spowodował.

W holu było tak cicho, że trzask palącej się szczapy zabrzmiał jak huk grzmotu. Marian wzdrygnęła się i westchnęła.

- Ale to by mi nie przywróciło Aimee. Kiedyś nie miało to dla mnie znaczenia. - Spojrział na Jane i wytrzymał jej wzrok. - Teraz nie chcę ryzykować życia za coś, co minęło.

Oczy Jane zaszyły łzami; bolało ją ściśnięte gardło.

- Okazało się- ciągnął Tre- że Pell Ewing jeszcze raz zawiódł króla, spiskując przeciwko niemu. Kiedy się to wydało, uciekł do Francji. Interesujące, że lord Dunham także jest oskarżony o udział w tym spisku.

- Nie zapytasz, kto jest tym nowym suzerenem, milady? - nie wytrzymał Guy. - To dotyczy także ciebie.

Ulga na wieść o tym, że Tre nie zabił Welburna, przerosła wszystko inne, lecz Jane skinęła głową.

- Tak, ciekawe, który baron otrzyma teraz dobra Welburna.

- Zagwarantowane są człowiekowi, który zwrócił się do króla z petycją o rekompensatę za stracone ziemie i zamek. Hrabiemu z Huntington.

Jane zastygła w bezruchu. Pełna niedowierzania spojrzała na Robina, który uśmiechnął się i wzruszył ramieniem.

- Chciałem rozszerzyć swoje dobra, a Yorkshire jest bardzo malownicze, czyż nie, lordzie Devaux?

- O, tak. Yorkshire jest piękne, prawie takie jak Sherwood. - Tre wstał i wyciągnął rękę. - Teraz, kiedy klątwa została zdjęta, ślubu udzielać może ksiądz i mnich. Jeżeli Brat Tuck pozwoli, pobierzemy się w dniu Bożego Narodzenia.

- Tak, milordzie - odparł Tuck bez chwili wahania. Udzielę wam ślubu w obliczu Boga i ludzi.

Tre uściskał dłoń Jane.

- Jane z Ravenshed, w obliczu Boga i ludzi przysięgam ci miłość.

Po niebie przepływały pędzone wiatrem chmury. Błede promienie słońca igrały na stopniach kościoła Świętej Marii w Edwinstowe. Wybrali to miejsce z powodów sentymentalnych. Na tych samych stopniach pobrali się kiedyś Robin i Marian.

Jane miała wianek z bluszczu i ostrokrzewu. W luźnej niebieskiej sukni wyglądała pięknie jak nigdy dotąd.

Tuck odchrząknął. W uroczystym stroju był prawie władczy.

- Niechaj wystąpi ten, który wydaje za mąż pannę młodą...

Wystąpił Robin w hrabiowskich szatach. U jego boku stanęła Jane. Spojrzała na Tre. Jej niebieskie oczy lśniły, serce łomotało tak głośno, że omal nie zagłuszyło słów Tucka.

- Niechaj ujmie jej prawą dłoń i oddają mężowi za prawowitą małżonkę. Bez obrączki na palcu, ponieważ jest wdową.

Robin z powagą umieścił dłoń Jane w ręce Tre. Jej długie palce zdrzały na nadgarstku ukochanego. Tre spojrzał w jej oczy i dojrzał w nich swoją przeszłość i przyszłość. Niezręcznie wsuwał obrączkę kolejno na trzy palce prawej dłoni Jane; zgodnie z rytuałem - w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. A w końcu wsunął obrączkę na serdeczny palec lewej ręki i uściskał jej dłoń.

Woń mięty konkurowała z korzennym zapachem świerków rosnących za kościołem.

Wysłuchał słów przysięgi Jane:

- Poślubiam cię tym pierścieniem, czczę cię tym złotem, wyposażam cię tym wianem...

Jane uklękła u jego stóp, pochyliła głowę. Jej wspaniałe włosy załśniły w świetle poranka. Tre pomógł jej się podnieść, wziął za rękę i poprowadził do kościoła po błogosławieństwo.

Wśród ciszy i zapachu kadzidła, otoczeni przez byłych rozbójników, zostali złączeni na zawsze. Później pobłogosławiona zostanie ich ślubna sypialnia, a takie małżeńskie łoże, co scementuje ich jako małżonków w obliczu Kościoła.

Rytuwały dla ludzi i dla Boga, ale nie dla Tre. On przysięgał miłość do Jane z Ravenshed na długo przedtem w swoim sercu i swojej duszy. Nie potrzebował niczego więcej.

Przed kościołem czekali domownicy Jane. Machali wiązkami pszenicy, co miało zapewnić nowożeńcom dobrobyt i błogosławieństwo. Nieco na uboczu stali Oxton i Crayton, wyrażając aprobatę swą milczącą obecnością.

Tre posadził Jane na śnieżnobiałym wierzchołku, przybranym na tę okazję girlandami późnych kwiatów i kłosów pszenicy. Nie wypuszczając z dłoni jej kibici, spojrzął na pannę młodą, odchrząknął i rzekł:

- Być może Tuck powinien kazać ci przysiąc, że nigdy więcej nie podniesiesz na mnie ręki, lady Devaux. Uważam, że jesteś wspaniała.

- Naprawdę, mój mężu? - Na jej ustach igrał uśmiech, oczy • lśniły w promieniach zimowego słońca. - Ja także uważam cię za wspaniałego. Oby tylko nasz syn nie miał twojej hardej natury.

- Jeśli będziemy mieli syna, jestem pewien, że odziedziczy on słodycz swej matki.

- Syn czy córka, milordzie, dowiemy się w dniu świętego Jana.

Tre znieruchomiał na chwilę, spoglądając na żonę z niepewnym uśmiechem i z błyskiem nadziei w oczach.

- Jesteś pewna?

- Tak, serce moje. To mój prezent ślubny dla ciebie...
dziecko twojej miłości.

Zadźwięczały struny lutni, popłynęły w niebo akordy, a Alan zaczął śpiewać:

I wtedy szeryf i jego gibka ukochana
Odeszli w las, trzymając się za ręce,
A ptaki szczebiotały w wesołym Sherwoodzie
I trwała najszczęśliwsza z chwil...

Była to obietnica, której dochowali, nowy początek dla nich obojga i dla nich wszystkich.